Maggie O'Farrell

Zniknięcie Esme Lennox

(The vanishing art of Esme Lennox)

Przekład Katarzyna Karłowska

Dla Saula Seamusa

Czyste Szaleństwo to najwyższy Rozum –
Gdy je przeniknąć Zrozumienia błyskiem –
A czysty Rozum to upadek w Obłęd –
Lecz Większość – jak we Wszystkim –
Narzuca swoje Kategorie –
Przyjmij je – jesteś Normalny –
Odrzuć – czekają na Furiata
Kajdany i Kaftany

– Emily Dickinson
[przeł. St. Barańczak, z *Wiersze wybrane,*
Wydawnictwo Znak, Kraków 2000]

„Nie chcę, by moje szczęście powstało ze zła... nieuczciwości; wyrządzonych komuś krzywd. [...] Jakież życie moglibyśmy zbudować na takich fundamentach?"

Edith Wharton
[przeł. U. Łada-Zabłocka, z *Wiek niewinności,*
Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 1993]

Zacznijmy od dwóch dziewcząt na balu.

Obie znajdują się na skraju sali. Jedna siedzi na krześle, otwiera i zamyka swój karnecik dłońmi w rękawiczkach. Druga stoi obok, przygląda się kolejnym odsłonom tańca, wirującym parom, połączonym w uścisku dłoniom, rytmicznie postukującym butom, skotłowanym spódnicom, sprężynowaniu desek podłogi. To ostatnia godzina starego roku i okna za ich plecami wypełnia pustka nocy. Dziewczyna na krześle ma na sobie coś jasnego, Esme nie pamięta, co dokładnie, ta druga jest ubrana w ciemnoczerwoną suknię, w której jej nie do twarzy. I zgubiła gdzieś swoje rękawiczki. To się zaczyna tutaj.

A może nie tutaj. Może wcześniej, przed tym przyjęciem, zanim się przebrały w te nowiutkie, odświętne stroje, zanim zapłonęły świece, zanim podłoga została posypana piaskiem, jeszcze zanim zaczął się ten rok, którego koniec teraz świętują. Kto to wie? Tak czy owak kończy się przy kracie, która dzieli okno na kwadraciki o szerokości dokładnie dwóch kciuków.

Czasami Esme zachciewa się zapatrzyć w przestrzeń – innymi słowy, w to, co jest po drugiej stronie metalowej kraty – i wtedy przekonuje się, że po jakimś czasie coś się zaczyna dziać z mechanizmem odpowiedzialnym za ostrość widzenia. Kwadraciki kraty się zamazują, a jeśli się koncentruje dostatecznie długo, znikają. Jest zawsze taki moment, zanim jej ciało ponownie się przystosuje, zanim oczy dostroją się do podstawowej realności świata, kiedy jest tylko ona, drzewa, droga, to, co dalej. Nic pomiędzy.

Farba z kwadracików na samym dole oblazła i pod spodem widać warstwy innych kolorów, podobne do słojów drzewa. Esme jest wysoka,

wyższa niż przeciętna, dlatego może dosięgnąć rękami tego miejsca, gdzie farba jest nowa i gruba jak smoła.

Za jej plecami kobieta robi herbatę dla zmarłego męża. Naprawdę umarł? Czy tylko uciekł? Esme nie pamięta. Druga kobieta szuka wody, bo chce podlać kwiaty, które dawno temu zmarniały w jakimś nadmorskim mieście, niedaleko stąd. Przetrwać mogą tylko nieważne czynności, jak zmywanie, gotowanie, szorowanie, mycie. Nigdy nic majestatycznego czy istotnego, tylko drobne rytuały, które spajają szwy ludzkiego życia. Dziewczyna, która ma obsesję na punkcie papierosów, dostała już dwa ostrzeżenia i wszyscy uważają, że lada chwila dadzą jej trzecie. A Esme się zastanawia, gdzie to się zaczyna – czy tu, czy tam, na balu, w Indiach, wcześniej?

Ostatnimi czasy nie odzywa się do nikogo. Chce się skupić, nie lubi niczego zmętniać mówieniem. W jej głowie pracuje zoetrop i nie lubi, jak ktoś ją przyłapuje, kiedy ten zoetrop nieruchomieje.

Frrrr, frrr. Stop.

W takim razie w Indiach. W ogrodzie. Ona sama mniej więcej w wieku czterech lat, stoi na schodkach z tyłu domu.

Drzewa mimozy kręcą nad nią głowami, obsypując trawnik żółtym pudrem. Gdyby tamtędy przeszła, to zostawiłaby ślady. Chce czegoś. Chce czegoś, ale nie wie czego. To jest jak swędzące miejsce, którego nie może podrapać, bo nie sięga tam ręką. Czegoś do picia? Żeby aja przyszła? Kawałka mango? Pociera na ręce ślad po ukąszeniu owada i dźga żółty pył bosą stopą. Z oddali dobiega ją łomot uderzającej o ziemię skakanki jej siostry, przeplatany krótkim szuraniem stóp. *Łup szur łup szur łup szur.*

Odwraca głowę, nasłuchując innych dźwięków. *Trr-klup-trr* ptaka

wśród gałęzi mimozy, motyka rozbijająca glebę w ogrodzie – *skrryt, skrryt* – i gdzieś głos jej matki. Nie słyszy poszczególnych słów, ale wie, że to jej matka.

Esme zeskakuje ze schodka, na obie nogi, po czym puszcza się biegiem dookoła bungalowu. Matka pochyla się nad ogrodowym stołem przy stawie z liliami, nalewając herbatę do filiżanki, ojciec leży obok w hamaku. Brzegi ich białych ubrań skrzą się w skwarnym powietrzu. Esme długo mruży oczy, sylwetki rodziców się zamazują, przeobrażają w dwa niewyraźne kształty, matka w trójkąt, ojciec w kreskę.

Idzie przez trawnik, licząc, robiąc podskok po każdym dziesiątym kroku.

– O! – Matka podnosi wzrok. – To ty nie śpisz?

– Obudziłam się. – Esme balansuje na jednej nodze, jak te ptaki, które wieczorem przylatują nad staw.

– Gdzie twoja aja? Gdzie Dżamila?

– Nie wiem? Czy mogę prosić o herbatę?

Matka waha się, układając serwetkę na kolanie.

– Kochanie, wydaje mi się, że raczej...

– Daj jej, skoro chce. – Ojciec nie otwiera oczu, kiedy to mówi.

Matka nalewa herbaty na spodek, podsuwa go w stronę Esme. Esme nurkuje pod tą wyciągniętą ręką i wskrabuje się jej na kolana. Czuje szorstką koronkę, ciepło ciała pod białą bawełną.

– Ty byłaś trójkątem, a ojciec kreską.

Matka poprawia się na krześle.

– Słucham?

– Powiedziałam, że ty byłaś trójkątem...

– Hm. – Dłonie matki ujmują silniej ramiona Esme. – Naprawdę dzisiaj jest za gorąco na czułości. – Esme zostaje postawiona na trawie. – A może tak pójdziesz poszukać Kitty? Sprawdź, co ona robi.

– Skacze na skakance.

– A nie mogłabyś poskakać razem z nią?

– Nie. – Esme wyciąga rękę i dotyka zastygniętego lukru na bułce. – Ona jest za bardzo...

– Esme! – Matka odrywa jej dłoń od stołu. – Osoba dobrze wychowana czeka, aż ją poczęstują.

– Ja tylko chciałam sprawdzić, jakie to jest w dotyku.

– A ja cię proszę, żebyś tak nie sprawdzała. – Matka opada na oparcie krzesła i przymyka oczy.

Esme obserwuje ją przez chwilę. Czy ona śpi? Na jej szyi pulsuje niebieska żyła, oczy poruszają się pod powiekami. Ze skóry nad wargą wybijają się maleńkie kuleczki wody, nie większe od łepka szpilki. Tam, gdzie kończą się paski butów, a zaczyna skóra, na stopach matki wykwitły czerwone plamy. Brzuch ma rozdęty, wypełniony kolejnym dzieckiem. Esme wymacała je tam, wiło się jak ryba złapana w sieć. Dżamila twierdzi, że to szczęśliwe dziecko, będzie żyło.

Esme patrzy na niebo, na muchy krążące nad liliami kwitnącymi na stawie, na ubranie ojca wystające z podbrzusza hamaka, romby luźnej tkaniny. Z daleka wciąż słychać skakankę Kitty, *skrryt, skrryt* motyki – czy może to coś innego? Znienacka dobiega ją owadzie buczenie. Obraca głowę, żeby zobaczyć tego owada, ale zdążył zniknąć gdzieś za nią, po lewej stronie. Obraca się z powrotem, a owad znów jest blisko, buczenie narasta i Esme czuje, że wczepił jej się odnóżami we włosy.

Zaczyna podskakiwać, potrząsać głową, ale buczenie jest coraz głośniejsze i nagle Esme czuje przeszywający ją dreszcz, bo w jej uchu trzepoczą skrzydła. Krzyczy, bije się rękoma po głowie, ale buczenie jest teraz ogłuszające, blokuje wszelkie inne dźwięki, i Esme czuje, że owad zakląsł się w wąskim kanale jej ucha – i co teraz będzie, czy on przegryzie się przez bębenek, dotrze do jej mózgu i będzie odtąd głucha jak ta dziewczynka z książki Kitty? Umrze? A może owad zamieszka w jej głowie i już do końca życia będzie słyszała ten hałas?

Wydaje jeszcze jeden przeszywający okrzyk, wciąż potrząsając głową, zataczając się po trawniku, po czym wrzask przeobraża się w szlochanie i w chwili, gdy buczenie zaczyna cichnąć, a owad wymyka się z jej ucha, słyszy głos ojca:

– Co się dzieje z tym dzieckiem?

Matka woła Dżamilę.

Czy to może być jej najwcześniejsze wspomnienie? Niewykluczone. Coś w rodzaju początku – jedyny początek, jaki pamięta.

A może pierwszym wspomnieniem jest tamten dzień, kiedy Dżamila namalowała henną koronkę na jej dłoni. Zobaczyła własną linię życia, linię serca przeciętą nowym wzorem. Albo jak Kitty wpadła do basenu i trzeba ją było wyłowić, zawinąć w ręcznik i zanieść do domu. Gra w kamyki z dziećmi kucharki za ogrodzeniem ogrodu. Przyglądanie się, jak ziemia wokół muskularnego pnia figowca wrze od mrówek. Każde z nich mogło być swobodnie tym pierwszym.

A może to. Lunch, podczas którego siedziała uwięziona na krzesełku, z pętami na brzuchu. Bo Esme musi się nauczyć grzeczności, obwieściła matka wszystkim w pokoju. Co się równało – Esme o tym wiedziała –

siedzeniu przy stole dopóty, dopóki posiłek nie dobiegnie końca. Bo ona ubóstwiała to miejsce pod stołem, stale tam wpełzała wbrew nim, do tej zakazanej, prywatnej przestrzeni pod obrusem. W ludzkich stopach jest coś osobliwie wzruszającego. Ich buty, zniszczone w dziwnych miejscach, idiosynkratyczne metody wiązania sznurowadeł, pęcherze, odciski, kto krzyżuje nogi w kostkach, kto ma dziury w pończochach, kto nosi skarpetki nie do pary, kto trzyma rękę na czyim kolanie – ona to wszystko wiedziała. Zsuwała się ze swojego krzesełka zwinna jak kot i nie mogli jej stamtąd wyciągnąć.

Pęta są zrobione z chusty, która należy do jej matki. Z tej we wzorek, który podoba się Esme: fioletowe, czerwone i niebieskie esy-floresy. Matka mówi, że ten wzór nazywa się paisley, Esme wie, że to od nazwy miasta w Szkocji.

W pokoju panuje tłok. Są tutaj Kitty, matka, ojciec i goście – kilka par, dziewczyna ze skandalicznie krótkimi włosami, którą matka usadziła naprzeciwko młodego inżyniera, jakaś starsza pani z synem i jeszcze samotny mężczyzna siedzący obok ojca Esme. Esme uważa, choć nie jest tego do końca pewna, że wszyscy jedzą zupę. Wydaje jej się, że pamięta podnoszenie i zanurzanie łyżek, szczęk metalu na porcelanie, sekretne siorbanie i połykanie.

Wszyscy coś bez ustanku gadają. O czym można tyle gadać? Na to wychodzi, że o mnóstwie rzeczy. Esme nie przychodzi do głowy nic, ale to nic, czym chciałaby się podzielić z tymi ludźmi. Popycha łyżkę do jednego brzegu talerza, potem do drugiego, przyglądając się wirowaniu i falowaniu zupy wokół srebra. Nie słucha ich, a w każdym razie nie słucha słów, ale nadstawia ucha na ten zbiorowy hałas. Ten hałas przypomina jazgot papug

w koronach wysokich drzew albo stado żab o zmierzchu. To samo *grrp-grrp-grrp*.

Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, wszyscy wstają. Odkładają swoje łyżki, podrywają się z krzeseł i pospiesznie wychodzą. Esme, przez to jej bujanie w obłokach, przez rozmyślania o wirach w zupie, o żabach, coś przeoczyła. Tamci, wychodząc, rozmawiają z ożywieniem i Kitty wpycha się na ojca, bo chce wyjść jako pierwsza. Matka z tego pośpiechu zapomniała o Esme, przywiązanej do krzesła.

Esme przygląda się, z łyżką w ręku, z rozdziawionymi ustami. Drzwi połykają wszystkich, na samym końcu inżyniera, słyszy ich kroki cichnące w głębi korytarza. Obraca się ze zdumieniem w stronę pustego pokoju. W szklanym wazonie sterczą lilie, dumne i bierne; zegar odmierza sekundy, serwetka zsuwa się na krzesło. Przychodzi jej na myśl, że powinna zawołać, otworzyć płuca i krzyknąć. Nie robi tego. Patrzy na zasłony, które drżą w otwartym oknie, na muchę, która przysiadła na talerzu. Wyciąga rękę i rozprostowuje palce, ot żeby sprawdzić, co się stanie. Łyżka leci na podłogę prostą linią, odbija się zaokrąglonym końcem, fika koziołka w powietrzu, potem jeszcze sunie po dywanie i w końcu się zatrzymuje pod kredensem.

Iris idzie ulicą, z kluczami w jednej ręce i kawą w drugiej. Pies idzie tuż za nią, postukując pazurami po betonie. Wiązki słońca przesączają się przez szczeliny między wysokimi budynkami, plamy po nocnej ulewie znikają z chodnika.

Przechodzi na drugą stronę ulicy, pies za nią. Wymierza kopniaka puszce po piwie, którą ktoś postawił na schodku, ale puszka zamiast

potoczyć się po chodniku, jak na to liczyła Iris, przewraca się, oblewając drzwi sklepu strumieniem piwa.

– Ażeby to szlag trafił! – klnie Iris. – Cholera jasna!

Rozzłoszczona wymierza jeszcze jednego kopniaka i puszka, teraz już pusta, wpada hałaśliwie do rynsztoka. Iris ogląda się ukradkiem przez ramię. Niewzruszone, kamienne domy wspinają się ku niebu, połyskując rzędami niemrugających okien. Patrzy na psa. Pies merda ogonem i cicho skomle.

– Do ciebie nic nie mam – uspokaja go Iris.

Energicznie szarpie za żaluzję na drzwiach, która podjeżdża do góry, turkocząc z oburzenia. Iris przestępuje przez kałużę piwa na progu, po drodze wyciągając gruby plik listów ze skrzynki. Wertuje je, przechodząc przez sklep. Rachunki, rachunki, wyciąg z konta, pocztówka, rachunki, szara koperta ze skrzydełkiem w kształcie V.

Krój pisma na kopercie sprawia, że nieruchomieje w połowie drogi do lady. Litery są drobne, ściśnięte, każda jest gruba od atramentu, owalne wnętrza każdego „e" zamazane. Iris podnosi kopertę do twarzy i widzi, że czcionki odcisnęły się w fakturze papieru. Przejeżdża po nich opuszkami palców, wymacując wgłębienia; dociera do niej, że adres na kopercie napisano na maszynie.

Do sklepu wdziera się podstępnie powiew chłodnego powietrza, który niczym wąż oplata się wokół jej kostek. Iris podnosi głowę i rozgląda się po wnętrzu. Z góry gapią się na nią puste, beztwarzowe głowy stojaków na kapelusze, jedwabny płaszcz wiszący pod sufitem kołysze się lekko w przeciągu. Skrzydełko koperty odkleja się bez trudu, kiedy podważa je palcem. Rozkłada pojedynczą kartkę, omiata ją wzrokiem. Jej umysł nadal

biedzi się piwem, że nie wie, jak je zmyć, że powinna skończyć z tym kopaniem puszek na ulicy, gdy nagle zauważa słowa „sprawa", „spotkanie" i nazwisko „Euphemia Lennox". Na samym dole nieczytelny podpis.

Już ma zacząć czytać od początku, kiedy przypomina sobie, że w maleńkiej kuchni na tyłach sklepu ma jakiś środek do czyszczenia. Wciska list i pozostałą pocztę do szuflady, znika za ciężką, aksamitną kotarą.

Wychodzi na chodnik z mopem i wiadrem pełnym mydlin. Zaczyna od zewnętrznej strony drzwi, chlustając wodą ku ulicy. Wystawia twarz ku niebu. Ulicą przejeżdża wóz dostawczy, tak blisko, że podmuch powietrza unosi jej włosy. Gdzieś poza zasięgiem wzroku płacze dziecko. Pies stoi na progu, przyglądając się maleńkim figurkom ludzi idących po wiadukcie, wysoko nad nimi. Iris miewa niekiedy wrażenie, że wiedzie jakieś podziemne życie, bo ta ulica przecina najgłębsze partie miasta. Opiera się na trzonku mopa i dokładnie ogląda wejście do swojego sklepu. Na powierzchnię jej myśli ponownie wybija się nazwisko „Euphemia Lennox". To pewnie jakieś zamówienie, stwierdza. Całe szczęście, że nie wyrzuciłam wiadra, stwierdza. Zanosi się na deszcz, stwierdza.

Iris siedzi naprzeciwko Aleksa w barze na Nowym Mieście. Dynda srebrnym pantoflem zawieszonym na dużym palcu u nogi i rozgryza oliwkę. Alex bawi się bransoletką na przegubie jej dłoni, międląc ją w palcach. Zerka na zegarek.

– Normalnie nigdy się tak nie spóźnia – mruczy.

Jego oczy są ukryte za ciemnymi okularami, w których Iris widzi zniekształcone odbicie samej siebie, fragment wnętrza baru za swoimi

plecami.

Wyrzuca pestkę oliwki, wyssaną do czysta, do miseczki. Zapomniała, że miała do nich dołączyć żona Aleksa, Fran.

– Powiadasz?

Sięga po kolejną oliwkę, rozgryza ją w zębach.

Alex nic nie mówi, wytrząsa papierosa z paczki, podnosi go do ust. Iris oblizuje palce, okręca swój koktajl w szklance.

– Wiesz co? – mówi, gdy tymczasem on szuka zapałek. – Dostałam dzisiaj fakturę, na której obok mojego nazwiska ktoś dopisał „wiedźma". Ołówkiem.

– Poważnie?

– Ano. Wiedźma. Wyobrażasz to sobie? Nie pamiętam teraz, kto to był.

Alex milczy, pocierając zapałkę o pudełko, unosząc płomień do ust. Zaciąga się głęboko i dopiero wtedy odpowiada.

– Pewnie ktoś, kto cię zna.

Iris przygląda się przez chwilę bratu, obserwuje smugę dymu snującą mu się z ust. Wyciąga rękę i wrzuca mu oliwkę za koszulę.

Fran wbiega do baru. Jest spóźniona. Była u fryzjera. Co sześć tygodni robi sobie blond pasemka we włosach barwy jasnego brązu. To boli. Wyciągają kępki jej włosów przez otwory w ciasnym czepku i smarują je piekącymi chemikaliami. Głowa ją boli tak strasznie, ma wrażenie, że ciągle ma na niej ten czepek.

Omiata wzrokiem wnętrze baru. Włożyła jedwabną bluzkę, tę, która tak podoba się Aleksowi. Powiedział kiedyś, że jej piersi wyglądają w niej jak brzoskwinie. I do tego wąską spódnicę z lnu. Ubranie poświstuje, a nowe

włosy okalają jej twarz niczym świeżo uprane zasłony.

Widzi ich, na poły ukrytych za kolumną. Nachylają się ku sobie, w dużej bliskości, pod światłami. Piją takie same drinki – coś przezroczystego i czerwonego, poszczekującego kostkami lodu – nieledwie dotykając się głowami. Iris ma na sobie spodnie luźno opadające na biodra. Wciąż jest chuda, jej kości biodrowe wystają nad paskiem. Ma też na sobie koszulkę, która wygląda tak, jakby jej dekolt i mankiety zostały wystrzyżone nożyczkami.

– Cześć!

Fran macha do nich, ale oni jej nie widzą. Trzymają się za ręce. A może nie trzymają. Dłoń Aleksa spoczywa na nadgarstku Iris.

Fran toruje sobie drogę między stolikami, przyciskając torebkę do boku. Kiedy staje obok nich, wybuchają śmiechem, przy czym Alex potrząsa swoją koszulą, jakby coś za nią wpadło.

– Co was tak śmieszy? – pyta Fran, stając między nimi. Uśmiecha się. – W czym dowcip?

– W niczym – odpowiada Alex, nadal się śmiejąc.

– No już, mówcie! – krzyczy Fran. – Proszę!

– Takie tam. Później ci powiem. Zamówić ci drinka?

Esme stoi przy oknie, po drugiej stronie miasta. Po jej lewej ręce są schody, które ciągną się w górę; po prawej schody spadają w dół. Jej oddech zbiera się na chłodnej szybie. Z drugiej strony o szkło uderzają igły deszczu, zmierzch zaczął już zabarwiać przestrzenie między drzewami. Esme obserwuje drogę, dwa pasy ruchu biegnące w przeciwległych kierunkach, jezioro za tą drogą, kaczki, które rysują kreski

na powierzchni barwy łupka.

Tam przy ziemi samochody odjeżdżają i przyjeżdżają od samego rana. Ludzie do nich wsiadają tylnymi drzwiami, albo z jednej, albo z drugiej strony, słychać odpalanie silnika i samochody odjeżdżają, połykając żwir przy pokonywaniu zakrętu. Pa, wołają ludzie stojący w drzwiach, machając rękoma, papapa.

– Ej! – Ten okrzyk rozlega się gdzieś na górze, nad nią.

Esme odwraca się. Na szczycie schodów stoi jakiś mężczyzna. Czy ona go zna? Wydaje się znajomy, ale nie może być tego pewna.

– No co ty robisz? – woła mężczyzna.

Dziwne, że jest taki rozdrażniony, skoro przecież wcale się nie znają, zdaniem Esme. Nie wie, jak mu odpowiedzieć, więc mu nie odpowiada.

– Nie stercz tak przy tym oknie. Co z tobą?

Esme po raz ostatni spogląda na podjazd i widzi kobietę, która kiedyś zajmowała łóżko obok niej, stojącą obok brązowego samochodu. Jakiś starszy mężczyzna pakuje walizkę do bagażnika. Kobieta płacze i zdziera rękawiczki z rąk. Mężczyzna na nią nie patrzy. Esme odwraca się i zaczyna wchodzić po schodach.

Iris wdrapuje się na okno wystawowe swojego sklepu. Zdejmuje z manekina aksamitny kostium, roztrząsa go, składa spodnie wzdłuż szwów i wiesza go na wieszaku. Potem podchodzi do lady i odwija z warstw muślinu złożoną, szkarłatną suknię. Bierze ją delikatnie za ramiona, potrząsa i rozchyla przed sobą niczym kwiat.

Podchodzi do plamy światła wpadającego przez okno, z suknią rozpostartą na rękach. Takie cudeńka trafiają się bardzo rzadko. Niemalże

raz w życiu. *Haute couture,* czysty jedwab, sławny projektant. Kiedy zadzwoniła do niej jakaś kobieta, powiedziała, że sprzątała szafy swojej matki i znalazła kilka „pięknych kiecek" w kufrze, Iris nie spodziewała się wiele. Ale i tak pojechała. Kobieta otworzyła kufer i wśród zwyczajnych, zgniecionych kapeluszy i spłowiałych spódnic, Iris dostrzegła błysk czerwieni, cięcia ze skosu, zwężane mankiety.

Iris nakłada suknię na ramiona manekina, potem ją drapuje, obciągając rąbek, wygładzając pod pachą, spinając szpilkami na plecach. Pies obserwuje ją bursztynowymi ślepiami ze swojego kosza.

Skończywszy, wychodzi na chodnik i przygląda się swoim wysiłkom. Pies odprowadza ją do drzwi i stoi tam teraz, cicho ziejąc, zastanawiając się, czy czeka go spacer. Suknia jest w idealnym stanie, arcydzieło sztuki krawieckiej. Powstała pół wieku wcześniej i nie ma na niej ani jednej plamki, niewykluczone, że nie była ani razu noszona. Kiedy Iris spytała kobietę, skąd jej matka ją wzięła, ta wzruszyła ramionami i odparła, że matka dużo podróżowała.

– I co myślisz? – Iris pyta psa, robiąc krok w tył, a pies w odpowiedzi ziewa, pokazując zaokrąglone, różowe żebra w pysku.

W sklepie obraca manekina o czterdzieści pięć stopni, dzięki czemu postać w czerwonej sukni wygląda tak, jakby zaraz miała zejść z wystawy na ulicę. Potem w pomieszczeniu na tyłach sklepu Iris odszukuje pękatą torebkę o kanciastych brzegach i układa ją obok stóp manekina. Wychodzi na zewnątrz, by jeszcze raz spojrzeć. Coś się nie zgadza. Manekin stoi pod złym kątem? Te pantofle z wężowej skórki?

Iris wzdycha i odwraca się plecami do wystawy. Jest zła na tę suknię, choć nie bardzo wie dlaczego. Jest zbyt doskonała, zbyt piękna. Nie ma

doświadczenia z rzeczami, które są w takim idealnym stanie. A tak naprawdę to wie, że wolałaby ją zatrzymać. Ale natychmiast odpycha tę myśl. Nie może jej zatrzymać. Nie pozwoliła sobie nawet jej przymierzyć, bo gdyby to zrobiła, to już nigdy by jej nie zdjęła. Nie stać cię na to, żeby ją zatrzymać, surowo przykazuje sobie w duchu. Ten, kto ją kupi, będzie ją ubóstwiał. Za tę cenę na pewno. Powędruje w dobre ręce.

W poszukiwaniu zajęcia wyciąga komórkę i dzwoni do Aleksa. Rzuca jeszcze jedno żałobne spojrzenie w stronę wystawy, słysząc, jak sygnał połączenia urywa się ze szczękiem, i nabiera powietrza do płuc, gotowa mówić. Ale na linii rozlega się głos Fran.

– Cześć, tu telefon Aleksa.

Iris odsuwa komórkę od ucha i zatrzaskuje klapkę.

W połowie popołudnia do sklepu wchodzi mężczyzna. Długo wyciera buty o wycieraczkę, ukradkowo rozglądając się po wnętrzu. Iris uśmiecha się do niego, po czym pochyla głowę nad książką. Nie lubi być zbyt nachalna. Przygląda się mu jednak spod grzywki. Mężczyzna przechodzi energicznie przez pusty środek sklepu i stanąwszy przy stojaku z bielizną i gorsetami, cofa się gwałtownie niczym spłoszony koń.

Iris odkłada książkę.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – pyta.

Mężczyzna podchodzi do lady i robi taki gest, jakby chciał się jej uczepić.

– Szukam czegoś dla mojej żony – mówi.

Ma zalęknioną twarz i Iris widzi, że on kocha swoją żonę, że chce jej zrobić przyjemność.

– Jej przyjaciółka mi powiedziała, że ona lubi ten sklep.

Iris pokazuje mu kaszmirowy kardigan w kolorze wrzosu, pokazuje mu parę chińskich pantofli haftowanych w pomarańczowe rybki, zamszową torebkę ze złotą klamrą, pasek z trzeszczącej skóry aligatora, abisyński szalik przetykany srebrną nitką, bukiet kwiatów z wosku do przypinania, marynarkę z kołnierzem ze strusich piór, pierścionek z żukiem zatopionym w żywicy.

– Może chce pani odebrać? – proponuje mężczyzna, zadzierając głowę.

– Co? – pyta Iris, jednocześnie słysząc sygnał telefonu pod ladą. Pochyla się i wyszarpuje aparat. – Halo?

Cisza.

– Halo? – mówi jeszcze raz, głośniej, przyciskając dłoń do drugiego ucha.

– Dzień dobry – odzywa się grzeczny męski głos. – Czy to dobry moment na rozmowę?

Iris robi się natychmiast podejrzliwa.

– Być może.

– Dzwonię w sprawie... – głos staje się niewyraźny z powodu nagłych zakłóceń na linii, odzywa się ponownie kilka sekund później – ... i spotkać się z nami.

– Przepraszam, nie dosłyszałam.

– Dzwonię w sprawie Euphemii Lennox. – W głosie mężczyzny słychać teraz lekkie zasmucenie.

Iris krzywi się. Nazwisko ledwo jej coś mówi.

– Przykro mi – odpowiada. – Nie wiem, kto to taki.

– Euphemia Lennox – powtarza jej rozmówca.

Iris bezradnie kręci głową.

– Obawiam się, że nie...

– Lennox – powtarza mężczyzna. – Euphemia Lennox. Pani jej nie zna?

– Nie.

– W takim razie mam chyba zły numer. Przepraszam.

– Niech pan chwilę zaczeka – mówi Iris, ale połączenie zostaje przerwane.

Gapi się przez chwilę na telefon, po czym odkłada słuchawkę.

– To pomyłka – mówi do mężczyzny. Zauważa, że jego dłoń krąży między chińskimi pantoflami a kopertówką naszywaną koralikami, z szylkretowym zapięciem. Kładzie ją na torebce.

– To – mówi.

Iris pakuje kopertówkę w złotą bibułkę.

– Myśli pani, że jej się spodoba? – pyta klient, kiedy wręcza mu pakunek.

Iris zastanawia się, jaka jest jego żona, jaką może być osobą, jakie to musi być dziwne, kiedy się jest z kimś związanym małżeństwem, być tak mocno związanym, sczepionym ze sobą.

– Myślę, że tak – mówi. – A jeśli nie, to będzie mogła ją tu odnieść i zamienić na coś innego.

Wieczorem, po zamknięciu sklepu, Iris jedzie na północ, zostawiając za sobą Stare Miasto, przez dolinę, w której kiedyś było jezioro, lawirując po krzyżujących się ulicach Nowego Miasta i dalej, w stronę doków. Parkuje ryzykownie na miejscu zarezerwowanym wyłącznie dla mieszkańców i naciska na guzik domofonu przy zewnętrznych drzwiach dużej firmy prawniczej. Nigdy wcześniej tu nie była. Budynek wydaje się opustoszały, nad drzwiami pali się światełko alarmu, we wszystkich oknach jest

ciemno. Wie jednak, że Luke tam jest. Pochyla głowę w stronę domofonu, spodziewając się usłyszeć jego głos. Odpowiada jej cisza. Naciska guzik jeszcze raz i czeka. Potem słyszy szczęk otwieranego zamka i drzwi otwierają się przed nią.

– Pani Lockhart – mówi mężczyzna. – Jak rozumiem, jest pani umówiona?

Iris mierzy go wzrokiem od stóp do głów. Jest ubrany koszulę z podwiniętymi rękawami, na szyi ma przekrzywiony krawat.

– A muszę być umówiona?

– Nie. – Luke chwyta ją za nadgarstek, potem za rękę, za ramię i przyciąga ją przez próg ku sobie. Całuje ją w szyję, zatrzaskując drzwi jedną ręką, podczas gdy druga toruje sobie drogę w zanadrze jej płaszcza, w górę, pod bluzkę, dookoła talii, przez piersi, po wgłębieniach jej kręgosłupa. Na poły niesie, na poły wlecze ją po schodach, a ona potyka się na swych wysokich obcasach. Luke chwytają za łokieć i oboje wpadają do środka przez przeszklone drzwi.

– Słuchaj... – mówi Iris, zdzierając z niego krawat i ciskając go na bok – ... czy w tym lokalu są kamery?

Luke kręci głową, jednocześnie ją całując. Mozoli się z zamkiem w jej spódniczce, klnąc z wysiłku. Iris nakrywa jego dłonie swoimi i zamek ustępuje, spódniczka opada, a wtedy zrzuca ją kopniakiem, wysoko w powietrze, wywołując śmiech Luke'a.

Iris i Luke poznali się dwa miesiące wcześniej na czyimś weselu. Iris nienawidzi wesel. Nienawidzi ich z całej duszy. Tego paradowania w idiotycznych strojach, zrytualizowanego reklamowania czyjegoś intymnego związku, niekończących się peanów, które na temat kobiet

wygłaszają mężczyźni. To wesele jednak nawet jej się podobało. Jedna z jej najlepszych przyjaciółek wychodziła za mąż za mężczyznę, którego Iris polubiła, chociaż raz; panna młoda miała piękny strój, chociaż raz; nie było wyznaczonych miejsc przy stołach, żadnych przemówień i nikogo nie zaganiano do okropnych fotografii.

To strój Iris to sprawił – koktajlowa suknia bez pleców z zielonej chińskiej krepy, którą przerobiła specjalnie na tę okazję. Wdała się w dłuższą rozmowę z jedną znajomą, ale cały czas zdawała sobie sprawę z obecności mężczyzny, który przysiadł się tuż obok. Rozglądał się po wnętrzu namiotu z miną wyrażającą spokój i pewność siebie, popijając szampana, machając do kogoś, przejeżdżając dłonią po włosach. Kiedy znajoma powiedziała: „Fajna sukienka, Iris", mężczyzna wtrącił się, nie patrząc na nie, nawet się ku nim nie nachylając: „Jaka tam sukienka. Królewska szata". I wtedy Iris przyjrzała mu się dokładnie po raz pierwszy.

Okazał się dobrym kochankiem, czego zresztą Iris się spodziewała. Dbałym, ale nie skrupulatnym, namiętnym, ale nie lepkim. Tego wieczoru jednakże Iris się zastanawia, czy nie wyczuwa lekkiego pośpiechu w jego ruchach. Otwiera oczy i przygląda mu się spod przymrużonych powiek, Luke ma zamknięte oczy, twarz napiętą, skoncentrowaną. Pociąga ją w górę, przenosi z biurka na podłogę i tak, Iris widzi to – widzi bez cienia wątpliwości – ukradkiem rzuca okiem na zegar nad komputerem.

– Matko Boska – mówi potem Luke, o wiele za prędko, zdaniem Iris, nie czekając, aż ich oddechy odzyskają normalny rytm, aż uspokoją się serca – czy mogłabyś tak wpadać co wieczór?

Iris przewraca się na brzuch, czując na skórze kłujący meszek dywanu.

Luke całuje ją w dół pleców, przez chwilę wodząc dłońmi po jej kręgosłupie. A potem wstaje, podchodzi do biurka. Iris obserwuje go, jak się ubiera. Robi to z wyraźnym pośpiechem, gwałtownie wciągając spodnie, koszulę.

– Czekają na ciebie w domu? – Iris, która nadal leży na podłodze, stara się wymawiać wszystkie słowa wyraźnie.

Luke zerka na zegarek, który właśnie zapina na nadgarstku, i się krzywi.

– Powiedziałem jej, że będę pracował do późna.

Iris sięga po spinacz, który upadł komuś na dywan, i zaczyna go rozprostowywać; z jakiegoś niewytłumaczonego powodu przypomina jej się, że spinacze po francusku to *trombones*.

– Właściwie to powinienem do niej zadzwonić – mruczy Luke. Siada na biurku i sięga po telefon. W trakcie czekania bębni palcami, po czym uśmiecha się do Iris, szerokim, prędkim uśmiechem, który znika, gdy zaczyna mówić: – Giną? To ja. Nie. Jeszcze nie.

Iris odrzuca zniekształcony spinacz i sięga po swoje majtki. Żona Luke'a to dla niej nie jest problem, ale nie ma szczególnej ochoty przysłuchiwać się ich rozmowie. Podnosi kolejno swoje rzeczy i się ubiera. Siada, żeby zapiąć zamki w kozaczkach, a Luke odkłada słuchawkę. Przez podłogę przechodzi drżenie, kiedy idzie w jej stronę.

– Ty chyba jeszcze nie idziesz? – pyta.

– Idę.

– Nie idź. – Klęka, oplatając ją ramionami w pasie. – Jeszcze nie. Powiedziałem Ginie, że wrócę dopiero za jakiś czas. Moglibyśmy zamówić coś do jedzenia. Jesteś głodna?

Iris prostuje kołnierzyk.

– Muszę jechać.

– Iris, chcę od niej odejść.

Iris kamienieje. Próbuje wstać z krzesła, ale Luke prędko ją przytrzymuje.

– Luke...

– Chcę od niej odejść i być z tobą.

Iris przez chwilę nie wie, co powiedzieć. A potem zaczyna odrywać jego palce od swojej talii.

– Zlituj się, Luke. Nie rozmawiajmy o tym. Muszę iść.

– Nie musisz. Możesz trochę zostać. Musimy pogadać. Nie mogę dłużej tego robić. Niedługo zwariuję od tego udawania, że między mną i Giną jest wszystko w porządku, podczas gdy od rana do wieczora rozpaczliwie chcę...

– Luke – przerywa mu Iris, strzepując swój włos z jego koszuli. – Idę. Obiecałam Aleksowi, że może pójdę z nim do kina i...

Luke krzywi się i uwalnia ją.

– Widzisz się dzisiaj z Aleksem?

Luke i Alex spotkali się raz, tylko raz. Iris widywała się wtedy z Lukiem od mniej więcej tygodnia, kiedy Alex pojawił się w jej mieszkaniu, bez zapowiedzi. Ma zwyczaj to robić za każdym razem, kiedy Iris ma nowego mężczyznę. Mogłaby przysiąc, że wyczuwa to jakimś szóstym zmysłem.

– To jest Alex – powiedziała wtedy, wycofawszy się do kuchni, ze szczęką zaciśniętą z irytacji – mój brat. Alex, to jest Luke.

– Cześć. – Alex pochylił się nad kuchennym stołem i wyciągnął rękę.

Luke, który już wcześniej wstał, uścisnął dłoń jej bratu. Jego palce, obdarzone wydatnymi stawami, zakryły całkowicie palce Aleksa. Iris ze zdumieniem zauważyła kontrast fizyczny: Luke, ciemny, rosły i umięśniony, obok Aleksa, jasnego, drobnego i szczupłego.

– Alexander – powiedział, kiwając głową. – Miło mi.

– Alex – poprawił go Alex.

– Alexander.

Iris spojrzała na Luke'a. Robił to specjalnie? Poczuła nagle, że skarlała, że oni ją sobą przytłoczyli.

– On ma na imię Alex – warknęła. – A teraz siadajcie obydwaj, i to natychmiast; napijmy się.

Luke usiadł. Iris przyniosła dodatkowy kieliszek dla Aleksa i nalała mu wina. Luke przeniósł wzrok z niej na Aleksa i z powrotem. Uśmiechał się.

– Co? – spytała Iris, odstawiając butelkę.

– Ani trochę nie jesteście podobni.

– A niby czemu mielibyśmy być podobni? – wtrącił się Alex. – Przecież nie jesteśmy spokrewnieni.

Luke wyraźnie się zdziwił.

– Ale myślałem...

– Iris to moja przyrodnia siostra. – Alex zerknął na Luke'a. – Mój ojciec ożenił się z jej matką.

– Ach tak. – Luke skinął głową. – Już wszystko rozumiem.

– Nie powiedziała ci? – spytał Alex, sięgając po butelkę.

Kiedy Luke poszedł do łazienki, Alex rozparł się wygodniej na krześle, zapalił papierosa, rozejrzał po kuchni, strzepnął popiół ze stołu, poprawił sobie kołnierzyk. Iris przyglądała mu się z ukosa. Jak on śmie tutaj

siedzieć? Przyszedł podziwiać jej oświetlenie, czy jak? Podniosła serwetkę, zrobiła z niej długi pasek i z całej siły pacnęła go w rękę.

Znowu musiał strzepywać popiół, tym razem z własnej koszuli.

– To bolało – zauważył.

– I dobrze.

– No więc... – Alex zaciągnął się papierosem.

– No więc co?

– Ładna bluzeczka – stwierdził, nadal na nią nie patrząc.

– Moja czy jego? – odparowała Iris.

– Twoja. – Odwrócił głowę w jej stronę. – Oczywiście.

– Dzięki.

– Jest za wysoki – stwierdził Alex.

– Za wysoki? – powtórzyła. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy potrafiłbym się dogadać z kimś, kto jest znacznie większy ode mnie.

– Nie gadaj głupot.

Alex zmiażdżył niedopałek w popielniczce.

– Czy wolno mi spytać, jaka jest... – tu wykonał koliste ruchy w powietrzu – ... sytuacja?

– Nie – powiedziała prędko i zagryzła wargę. – Nie ma żadnej sytuacji.

Alex uniósł brwi. Iris skręciła serwetkę w sznurek.

– Bardzo dobrze – mruknął. – W takim razie nic mi nie mów. – Gwałtownym skrętem głowy wskazał drzwi, w stronę, z której dobiegał ich odgłos coraz głośniejszych kroków. Nasz kochaś wraca.

Esme siedzi przy stole w pokoju lekcyjnym, z ciałem przekrzywionym na bok, z głową ułożoną na przedramieniu. Po drugiej stronie stołu Kitty robi ćwiczenie na użycie czasowników francuskich. Esme nie patrzy na zadanie z arytmetyki, które jej wyznaczono. Patrzy na drobiny kurzu wirujące w promieniach słońca, na białą kreskę przedziałka Kitty, na sęki i plamy w drewnie stołu, które upodabniają je do płynącej wody, na gałęzie oleandra w ogrodzie, na blade półksiężyce na paznokciach, które wyrastają spod jej skórek.

Pióro Kitty skrzypi po kartce papieru, a sama Kitty wzdycha, marszcząc się w skupieniu. Esme łomocze piętą o nogę krzesła. Kitty nie podnosi wzroku. Esme znowu łomocze, tym razem jeszcze mocniej, i podbródek Kitty wędruje w górę. Ich spojrzenia się spotykają. Kitty rozchyla wargi w uśmiechu i wysuwa język, sam koniuszek, by tylko Esme to zobaczyła, ale nie ich guwernantka, panna Evans. Esme szczerzy się od ucha do ucha. Robi zeza i zasysa policzki, a wtedy Kitty musi zagryźć wargi i odwrócić oczy.

– Mam nadzieję, że zadanie z arytmetyki będzie zaraz skończone – odzywa się w tym momencie panna Evans, mimo że stoi do nich tyłem i spogląda na ogród.

Esme przygląda się szeregom liczb, plusom i minusom. Po prawej stronie dwóch kreseczek, które oznaczają, że coś „równa się", nie ma nic: czarna pustka. Esme doznaje przebłysku natchnienia. Odsuwa swoją tabliczkę na bok i zsuwa się z krzesła.

– Chciałabym wyjść – mówi.

– Chciałabyś wyjść?

– Czy wolno mi wyjść, panno Evans?

– W jakim celu?

– Ja... – Esme usiłuje sobie przypomnieć, co właściwie chciała powiedzieć. – Ja... tego...

– Chce wyjść za potrzebą – podpowiada Kitty, nie podnosząc wzroku znad swoich czasowników.

– Czy ja mówiłam do ciebie, Kathleen?

– Nie, panno Evans.

– W takim razie bądź taka miła i nie otwieraj buzi.

Esme wciąga powietrze przez nos, po czym wypuszcza je powoli ustami.

– Za potrzebą, panno Evans – mówi.

Panna Evans, nadal plecami do nich, kiwa głową.

– Możesz wyjść. Wróć za pięć minut.

Esme sunie przez dziedziniec, ciągnąc dłonią po kwiatach, które rosną w donicach ustawionych pod murem. W ślad za nią lecą kaskady płatków. Upał samego środka dnia sięga zenitu. Niebawem będzie pora na drzemkę, panna Evans zniknie i da im spokój aż do następnego dnia, a ona i Kitty będą mogły poleżeć we mgle swoich moskitier, przyglądać się powolnemu krążeniu wentylatora na suficie.

Zatrzymuje się przy drzwiach jadalni. Dokąd teraz? Z parnego wnętrza kuchni bije gorąca, maślana woń *ćai.* Z werandy dobiega ją pomruk głosu matki: „... upierał się, żeby jeździć dookoła jeziora, mimo że dawałam jasno do zrozumienia, że powinniśmy jechać prosto do klubu, ale jak sam dobrze wiesz... "

Esme zawraca i przechodzi na drugą stronę dziedzińca, w stronę pokoju dziecinnego. Popycha drzwi, które w dotyku wydają się suche i gorące od

słońca. W środku Dżamila miesza coś na niskiej kuchni, a Hugo stoi, trzymając się nogi krzesła, z drewnianym klockiem przyciśniętym do ust. Na widok Esme wydaje okrzyk, przewraca się na podłogę i zaczyna raczkować w jej stronę, chwiejnie, zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

– Witaj, malutki, witaj, Hugo – grucha Esme.

Kocha go. Kocha jego tłuste nóżki o perłowym odcieniu, dołki w dłoniach, ten jego mleczny zapach. Klęka przy nim i Hugo chwyta ją za palce, po czym sięga do jej warkocza.

– Mogę go wziąć na ręce, Dżamila? – pyta błagalnie Esme. – Pozwolisz mi?

– Lepiej nie. Jest bardzo ciężki. Za ciężki dla ciebie, tak myślę.

Esme przykłada twarz do jego twarzy, przytyka nos do nosa, a on reaguje na to śmiechem, zachwytem, szarpie ją za włosy. Słychać poświstywanie sari i Esme czuje na ramieniu dłoń Dżamili, chłodną i delikatną.

– Co tu robisz? – mruczy aja, gładząc ją po czole. – Nie powinnaś być na lekcjach?

Esme wzrusza ramionami.

– Chciałam sprawdzić, co u mojego braciszka.

– Twój braciszek miewa się bardzo dobrze. – Dżamila pochyla się i sadza sobie Hugona na biodrze. – Ale tęsknił za tobą. Wiesz, co on dzisiaj zrobił?

– Nie. Co?

– Byłam po drugiej stronie pokoju, a on...

Dżamila milknie. Jej wielkie, czarne oczy, utkwione w Esme, nieruchomieją. Z oddali dobiega je wyniosły głos panny Evans i

nakładający się na niego głos Kitty, zaniepokojony i interweniujący. Po chwili wyraźnie słychać poszczególne słowa. Panna Evans mówi matce Esme, że Esme znowu się wymknęła, że ta dziewczyna jest niemożliwa, nieposłuszna, nie można jej niczego nauczyć, że to kłamczucha...

A do Esme dociera, że w rzeczywistości siedzi przy długim stole w stołówce, z widelcem w jednym ręku i nożem w drugim. Przed nią stoi talerz z gulaszem. Na powierzchni gulaszu unoszą się oka tłuszczu i kiedy próbuje je rozbijać, tylko rozdwajają się i rodzą swoje mniejsze klony. Pod sosem kryją się kawałki marchewki i jakiegoś nieokreślonego mięsa.

Nie będzie tego jadła. Nie będzie. Zje chleba, ale nie z margaryną. Margarynę zeskrobie. I napije się wody, która smakuje metalowym kubkiem. Pomarańczowej galaretki też nie będzie jadła. Podają ją w papierowym naczyniu i jest na niej warstewka kurzu.

– Kto przyjeżdża po ciebie?

Esme odwraca się. Obok niej stoi jakaś kobieta, nachyla się w jej stronę. Szeroka chustka na czole zsunęła się, upodabniając ją do pirata. Kobieta ma opadające powieki i popsute zęby.

– Słucham? – mówi Esme.

– Po mnie przyjeżdża córka – mówi kobieta-pirat i chwyta Esme za rękę. – Już tu jedzie. Swoim samochodem. Kto przyjeżdża po ciebie?

Esme patrzy na swoją tacę z jedzeniem. Na gulasz. Na oka tłuszczu. Na chleb. Trzeba myśleć. Szybko. Trzeba coś powiedzieć.

– Moi rodzice – rzuca na próbę.

Jedna z kobiet pracujących w kuchni, która nalewa herbatę z termosu, śmieje się; Esme przypomina się krakanie wron w koronach drzew.

– Nie gadaj głupot – odpowiada kobieta, przysuwając twarz do twarzy

Esme. – Twoi rodzice nie żyją.

Esme zastanawia się przez chwilę.

– Wiedziałam o tym – mówi.

– A pewnie – mruczy kobieta, odstawiając głośno filiżankę.

– Wiedziałam. – Esme jest oburzona, ale kobieta już się oddala przejściem między stolikami.

Esme zamyka oczy. Skupia się. Próbuje znaleźć drogę powrotną. Próbuje zniknąć, sprawić, by stołówka się oddaliła. Wyobraża sobie siebie, jak leży na łóżku siostry. Widzi to łóżko. Mahoniowa rama, koronkowa narzuta, moskitiera. Ale coś tu się nie zgadza.

Leżała do góry nogami. Tak to było. Obraca ten obraz w głowie. Leżała na plecach, nie na brzuchu, z głową wystającą ponad skraj łóżka, patrzyła na wnętrze pokoju w pozycji do góry nogami. Kitty to wchodziła w jej pole widzenia, to je opuszczała, wędrując od szafy do kufra, wyciągając i wrzucając różne rzeczy. Esme trzymała palec przy jednej dziurce od nosa, najpierw wciągała powietrze, potem przykładała palec do drugiej dziurki i wydmuchiwała powietrze. Ogrodnik powiedział, że to jest droga do uzyskania wewnętrznego spokoju.

– Myślisz, że będziesz się dobrze bawiła? – spytała Esme.

Kitty podniosła jakąś koszulkę do okna.

– Nie wiem. Pewnie tak. Przykro mi, że nie jedziesz.

Esme odjęła palec od nosa i przewróciła się na brzuch.

– Ja też żałuję. – Kopnęła stopą wezgłowie łóżka. – Nie rozumiem, dlaczego ja muszę zostać.

Rodzice i siostra wybierali się „na wieś", na przyjęcie w czyimś domu. Hugo miał zostać, bo był za mały, a Esme miała zostać, bo popadła w

niełaskę za to, że chodziła boso po podjeździe. To się zdarzyło dwa dni wcześniej, podczas tak upalnego popołudnia, że jej stopy nie chciały się dać wcisnąć do butów. Nawet jej nie przyszło do głowy, że tak nie wolno, dopóki matka nie zastukała gwałtownie w okno salonu i nie przywołała jej do środka skinieniem ręki. Kamyki na podjeździe były ostre, sprawiały przyjemny dyskomfort.

Kitty na moment obróciła się w jej stronę.

– Może mama zmięknie.

Esme wymierzyła ostatecznego, potężnego kopniaka w wezgłowie.

– Mało prawdopodobne. – Do głowy wpadła jej nagła myśl. – Ale ty możesz zostać. Możesz powiedzieć, że źle się czujesz, że...

Kitty zaczęła wyciągać wstążkę z koszulki.

– Powinnam jechać.

Ton jej głosu – pełen stężałej, udawanej rezygnacji – wzbudził ciekawość Esme.

– Dlaczego? – spytała. – Dlaczego powinnaś?

Kitty wzruszyła ramionami.

– Muszę poznawać ludzi.

– Ludzi?

– Chłopców.

Esme usiadła mozolnie.

– Chłopców?

Kitty okręciła wstążkę wokół palców.

– Nie przesłyszałaś się.

– A po co ty chcesz poznawać chłopców?

Kitty uśmiechnęła się do swojej wstążki.

– Ty i ja – odparła – będziemy musiały znaleźć sobie kogoś, za kogo wyjdziemy za mąż.

Esme była wstrząśnięta.

– My?

– Oczywiście. Raczej nie będziemy mogły mieszkać tutaj do końca życia.

Esme wytrzeszczyła oczy na siostrę. Czasami wydawało się, że są takie same, że są rówieśniczkami, ale kiedy indziej dzielące je sześć lat rozciągało się, tworząc nieprzebytą przepaść.

– Ja nie mam zamiaru wychodzić za mąż – obwieściła, rzucając się z powrotem na łóżko.

Kitty roześmiała się po drugiej stronie pokoju.

– Powiadasz? – spytała.

Iris jest spóźniona. Zaspała, za długo jadła śniadanie i za długo decydowała, w co się ubrać. I teraz jest spóźniona. Czeka ją rozmowa z kobietą, która ma ją zastępować w sklepie w soboty, i musi zabrać z sobą psa. Ma nadzieję, że ta kobieta nie będzie miała nic przeciwko.

Trzyma płaszcz przewieszony przez ramię, torebkę na ramieniu, psa na smyczy i już ma wyjść, kiedy dzwoni telefon. Waha się przez chwilę, po czym zatrzaskuje drzwi i wraca biegiem do kuchni, co podnieca psa, który myśli, że ona się w coś bawi, i skacze na nią, oplątując jej nogi smyczą, przez co Iris się potyka i leci całym ciałem na drzwi kuchni.

Klnie głośno i rozcierając ramię, dopada do telefonu.

– Słucham? Halo? – mówi, trzymając słuchawkę i smycz w jednej ręce, a płaszcz i torebkę w drugiej.

– Czy rozmawiam z panią Lockhart?

– Tak.

– Nazywam się Peter Lasdun. Dzwonię z...

Iris nie słyszy imienia, ale słyszy słowo „szpital". Ściska kurczowo słuchawkę, a jej umysł wykonuje gwałtowne podskoki. Mój brat, moja matka, Luke, myśli.

– Czy komuś... Czy coś się stało?

– Nie, nie. – Mężczyzna śmieje się z irytacją. – Proszę się nie denerwować, panno Lockhart. Trochę to trwało, zanim panią znaleźliśmy. Kontaktuję się z panią w sprawie Euphemii Lennox.

Iris czuje, jak zalewa ją fala ulgi przemieszanej z gniewem.

– Proszę posłuchać – warczy. – Nie mam pojęcia, kim wy, ludzie, jesteście, i w ogóle czego chcecie, ale w życiu nie słyszałam o żadnej Euphemii Lennox. Naprawdę mam mnóstwo pracy i...

– Jest pani członkiem jej rodziny, z którym mamy się kontaktować w razie konieczności. – Mężczyzna oznajmia to bardzo cichym głosem.

– Co? – Iris jest tak wkurzona, że aż upuszcza torebkę, płaszcz i smycz psa. – O czym pan mówi?

– Jest pani krewną pani Kathleen Elizabeth Lockhart, z domu Lennox, dawniej zamieszkałej przy Lauder Road w Edynburgu?

– Tak. – Iris spogląda na swoją torebkę. – To moja babcia.

– I ma pani przyznane trwałe pełnomocnictwo od... – słychać szelest papieru... – od czasu, gdy została oddana pod całodobową opiekę pielęgnacyjną. – Znowu szelest papieru. – Mam tutaj kopię dokumentu zdeponowanego u nas przez jej notariusza, podpisanego przez panią Lockhart, wyznaczającego panią jako tego członka rodziny, z którym

mamy się kontaktować w sprawach dotyczących rzeczonej Euphemii Esme Lennox. Czyli jej siostry.

Iris jest już bardzo zła.

– Ona nie ma żadnej siostry.

Na linii zapanowuje milczenie, ale Iris niemal słyszy, że mężczyzna porusza ustami.

– Obawiam się, że muszę pani zaprzeczyć – mówi w końcu.

– Ona nie ma siostry. Wiem to z całą pewnością. Jest jedynaczką, tak samo jak ja. Wmawia mi pan, że nie znam własnego drzewa genealogicznego?

– Członkowie rady powierniczej Cauldstone starali się dotrzeć...

– Cauldstone? Pan mówi o tym... o tym... – Iris mozolnie szuka innego słowa niż „dom bez klamek". – O tym szpitalu dla umysłowo chorych?

Mężczyzna odkasłuje.

– To jest placówka o profilu psychiatrycznym. Czy raczej była.

– Była?

– Szpital ma zostać zamknięty. Dlatego właśnie kontaktujemy się z panią.

Kiedy jedzie przez Cowgate, dzwoni jej komórka. Wyszarpuje ją z kieszeni płaszcza.

– Halo?

– Iris – mówi do jej ucha Alex – czy wiesz, że co roku ginie w wypadkach dwa i pół tysiąca mańkutów, bo posługują się przedmiotami przeznaczonymi dla ludzi praworęcznych?

– Nie, nie miałam o tym pojęcia.

– No więc takie są fakty. Mam te dane przed sobą, napisane czarno na białym. Taki już mój los, że pracuję dzisiaj nad stroną internetową poświęconą bezpieczeństwu w domu. Pomyślałem, że powinienem zadzwonić i cię ostrzec. Nie miałem pojęcia, że na ciebie czyha tyle zagrożeń.

Iris zerka na swoją lewą dłoń, zaciśniętą na kierownicy.

– Ja też nie.

– Na to wychodzi, że najgorszymi sprawcami nieszczęść są otwieracze do puszek. Aczkolwiek nie jest tu powiedziane dokładnie, w jaki sposób możesz zginąć, kiedy używasz takiego otwieracza. Gdzieś ty była całe rano? Godzinami próbowałem się do ciebie dodzwonić, żeby ci to przekazać. Już się przestraszyłem, że wyemigrowałaś, o niczym mi nie mówiąc.

– Niestety, dalej tu jestem. – Iris widzi, że przed nią zapala się pomarańczowe światło, wciska pedał gazu i samochód rusza gwałtownie do przodu. – Jak na razie jest to zupełnie zwyczajny dzień. Zjadłam śniadanie, przeprowadziłam rozmowę z panią, która ma mnie zastępować w sklepie, i dowiedziałam się, że jestem odpowiedzialna za jakąś staruszkę wariatkę, o której istnieniu nie miałam pojęcia.

W tle słyszy drukarkę pracującą w biurze Aleksa.

– Że jak? – pyta Alex.

– To jakaś babka cioteczna. Jest w Cauldstone.

– W Cauldstone? W tym wariatkowie?

– Rano dzwonili do mnie z... – Furgonetka wyprzedza ją bez ostrzeżenia i Iris uderza pięścią w klakson, krzycząc: – Skurwiel!

– Ty jedziesz samochodem? – pyta Alex.

– Nie.

– W takim razie cierpisz na zespół Tourette'a? Jedziesz. Przecież słyszę.

– Ach, przestań marudzić. – Iris zaczyna się śmiać. – Nic się nie stało.

– Wiesz, że tego nie cierpię. Ciągle się boję, że któregoś dnia będę zmuszony wysłuchać, że umierasz w wypadku samochodowym. Rozłączam się. Do widzenia.

– Zaczekaj, Alex...

– Idę sobie. Przestań odbierać telefony, kiedy prowadzisz. Pogadamy później. Gdzie będziesz?

– W Cauldstone.

– Jedziesz tam dzisiaj? – pyta nagle poważny.

– Jadę tam teraz.

Słyszy, że Alex stuka długopisem o swoje biurko, że poprawia się na krześle.

– Nie podpisuj niczego – mówi jej po chwili.

– Kiedy ja nic nie rozumiem – wtrąca się Iris. – Jeśli ona jest siostrą mojej babci, czyli moją... moją cioteczną babcią, to w takim razie dlaczego nigdy dotąd o niej nie słyszałam?

Peter Lasdun wzdycha. Wzdycha także opiekunka socjalna. Oboje wymieniają spojrzenia. Wydaje się, że siedzą w tym pokoju, przy tym stole od wielu godzin. Peter Lasdun mozolnie objaśnia Iris, na czym w zarysie polegają ich „standardowe praktyki", które obejmują diagnostykę leczniczą, wywiad środowiskowy, programy rehabilitacyjne, przewidywanie terminu wyjścia ze szpitala. Wydaje się, jakby Lasdun cały czas przemawiał wielkimi literami, natomiast Iris udaje się obrazić

opiekunkę socjalną – czy też opiekunkę prowadzącą, jak nazywa ją Lasdun – bo omyłkowo bierze ją za pielęgniarkę, sprawiając, że kobieta recytuje listę swoich kwalifikacji i dyplomów uniwersyteckich. Iris chciałaby szklanki wody, chciałaby otworzyć okno, chciałaby być gdzieś indziej. Gdziekolwiek, byle nie tu.

Peter Lasdun długo układa dokumenty na brzegu biurka.

– Nie omawiała pani sprawy Euphemii z nikim z rodziny od czasu naszej rozmowy? – pyta z nieskończoną cierpliwością.

– Nie miałam z kim. Moja babcia przebywa w świecie Alzheimera. Matka jest w Australii i nigdy o niej nie słyszała. Niewykluczone, że ojciec coś by wiedział, ale już nie żyje. – Iris bawi się pustą filiżanką po kawie. – To wszystko wydaje się takie nieprawdopodobne. Dlaczego miałabym wam uwierzyć?

– To wcale nie taka rzadkość, że nasi pacjenci... jak to ująć... znikają z widoku. Euphemia jest u nas od bardzo dawna.

– A dokładnie od jak dawna?

Lasdun sprawdza w swoich aktach, sunąc palcem po kolejnych kartkach.

Opiekunka socjalna chrząka i pochyla się do przodu.

– Wydaje mi się, że od sześćdziesięciu lat, Peter, tak na oko od...

– Sześćdziesiąt lat? – Iris niemalże krzyczy. – W tym miejscu? A co jej jest?

Tym razem oboje chronią się w swoich notatkach. Teraz Iris pochyla się do przodu. Ma sporo wprawy w czytaniu do góry nogami. „Zaburzenie osobowości", udaje jej się odcyfrować, „dwubiegunowe", „elektrowstrząsowa".

Lasdun zauważył, że ona podgląda, i z trzaskiem zamyka teczkę.

– Podczas pobytu Euphemii w Cauldstone różni... różni... profesjonaliści postawili jej kilka diagnoz. Dość powiedzieć, panno Lockhart, że moja koleżanka i ja pracowaliśmy blisko z Euphemia w ramach naszego najnowszego harmonogramu programów rehabilitacyjnych. Jesteśmy absolutnie przekonani o jej łagodnym usposobieniu i mamy pewność, że dzięki pomyślnie zakończonej rehabilitacji może wrócić na łono społeczeństwa.

Lasdun częstuje ją uśmiechem, w jego mniemaniu zapewne pełnym empatii.

– Domniemywam – mówi Iris – że wasza opinia nie ma nic wspólnego z faktem, iż szpital ma zostać zamknięty i sprzedawany po cenie gruntu?

Lasdun bawi się kubkiem z długopisami, wyciąga dwa, układa je na biurku, po czym wstawia z powrotem na miejsce.

– To, ma się rozumieć, jest inna kwestia. Pytanie, które chcemy pani zadać – znowu obdarza ją wilczym uśmiechem brzmi, czy pani zechce ją zabrać?

Iris marszczy brew.

– To znaczy, gdzie zabrać?

– Zabrać ją – powtarza Lasdun. – Dać jej lokum.

– Chce pan powiedzieć... – Iris jest wstrząśnięta – ... u siebie?

Lasdun robi jakiś nieczytelny gest.

– Gdziekolwiek, gdzie pani uważa...

– Nie mogę – przerywa mu Iris. – Nie mogę. W życiu jej nawet nie widziałam. W ogóle jej nie znam. Nie mogę.

Mężczyzna znowu przytakuje, z wyraźnym znużeniem.

– Rozumiem.

Po drugiej stronie stołu opiekunka socjalna zbiera swoje papiery. Peter Lasdun ściera coś z teczki.

– No cóż, dziękujemy, że poświęciła nam pani swój czas, panno Lockhart.

Lasdun znika za biurkiem, podnosząc coś z podłogi. Kiedy znowu się wyłania, Iris widzi, że to inna teczka, z innym nazwiskiem.

– Skontaktujemy się z panią w przyszłości, jeśli będziemy potrzebowali pani głosu w jakichś kwestiach. Ktoś odprowadzi panią do wyjścia. – Wskazuje gestem recepcję.

Iris prostuje się.

– To już wszystko? Koniec sprawy?

Lasdun rozkłada ręce.

– Wszystko już omówiliśmy. Moim obowiązkiem, jako rzecznika szpitala, było skierowanie do pani tego pytania i pani odpowiedziała na nie wyczerpująco.

Iris wstaje, majstrując po omacku przy zamku w swojej torebce. Odwraca się i robi dwa kroki w stronę drzwi. Po czym się zatrzymuje.

– Czy mogę ją zobaczyć?

Opiekunka socjalna marszczy czoło. Lasdun patrzy na Iris ogłupiałym wzrokiem.

– Kogo?

Iris widzi, że on już jest myślami w następnych aktach, przy następnych niechętnych krewnych.

– Euphemię.

Lasdun szczypie nos między oczami, obraca nadgarstek, by zerknąć na

zegarek. Razem z opiekunką patrzą na siebie przez chwilę. Wreszcie opiekunka wzrusza ramionami.

– Chyba tak – mówi Lasdun z westchnieniem. – Poproszę kogoś, żeby panią zaprowadził.

Esme zastanawia się nad tą ciężką sprawą. Tą trudną sprawą. Robi to bardzo rzadko. Czasami jednak czuje pokusę i dzisiaj jest jeden z tych dni, kiedy wydaje jej się, że widzi Hugona. Widzi go kątem oka, mały kształt pełznący w cieniu za jakimiś drzwiami, przez przestrzeń pod łóżkiem. Albo słyszy jego cienki głos w szuraniu krzesła. Nie da się przewidzieć, w jaki sposób Hugo zechce z nią być.

Przy stoliku po drugiej stronie pokoju kobiety grają w wojnę i trzask kart brzmi dokładnie tak samo jak hałas wentylatora, który wisiał w pokoju dziecinnym. Ten wentylator był z drewna, brudnego od smaru. Oczywiście zupełnie się do niczego nie przydawał. Po prostu mieszał ciężkie powietrze niczym łyżeczka gorącą herbatę. I wtedy Esme puściła w wir papierowego ptaka zawieszonego nad łóżeczkiem.

– Popatrz, Hugo. – Udawała, że ptak leci w jego stronę, a potem w górę, by na koniec przysiąść na poręczy łóżeczka. Ale Hugo nie spróbował go złapać. Esme jeszcze raz zamachała ptakiem, blisko twarzy brata. – Hugo. Widzisz ptaszka?

Hugo śledził go wzrokiem, ale potem zakwilił raz, odwracając twarz, wciskając kciuk do ust.

– Jest śpiący – powiedziała Dżamila z drugiej strony pokoju, gdzie wieszała mokre pieluszki do wyschnięcia – i ma lekką gorączkę. To pewnie zęby. Może tak wyjdziesz na trochę do ogrodu?

Esme obiegła staw, nad którym kołysał się pusty hamak, a potem dywan z pomarańczowych kwiatów dookoła figowca. Pokonała trawnik do krokieta, lawirując między bramkami, następnie ścieżkę, zarośla. Przeskoczyła przez ogrodzenie i tam się zatrzymała. Zamknęła oczy, wstrzymała oddech i zaczęła nasłuchiwać.

Usłyszała to. Szlochanie, powolne szlochanie drzew kauczukowca roniących swój płyn. Brzmiało to jak daleki szelest liści, jak pełzanie mikroskopijnych stworzeń. Przekonywała siostrę, że ona to słyszy, ale Kitty tylko podniosła brwi. A teraz Esme przekrzywiała głowę to w jedną stronę, to w drugą, nadal zaciskając powieki, i nasłuchiwała płaczu drzew.

Otworzyła oczy. Popatrzyła na promienie słońca, które rozszczepiały się i na nowo formowały na ziemi. Popatrzyła na spiralne pęknięcia w pniach otaczających ją drzew. Pobiegła z powrotem, przez ogrodzenie, przez trawnik do krokieta, dookoła stawu, pełna radości, że rodzice wyjechali, że cały dom ma wyłącznie dla siebie.

W salonie nastawiła gramofon, pogładziła aksamitne zasłony, uszeregowała inaczej kolekcję słoni z kości słoniowej na parapecie. Otworzyła pudełko z przyborami matki i obejrzała dokładnie nici z kolorowego jedwabiu. Tarzała się po dywanie i długo ślizgała w samych pończochach. Odkryła, że jest w stanie pokonać takim ślizgiem cały odcinek od kufra na rzeźbionych łapach aż do szafki z alkoholami. Otworzyła oszkloną biblioteczkę i wyjmowała z niej oprawione w skórę tomy, obwąchiwała je, obmacywała kartki ze złoconymi brzegami. Otworzyła pianino i grała wspaniałe glissanda, w górę i w dół klawiatury. W sypialni rodziców przetrząsnęła biżuterię matki, otworzyła puderniczkę i wtarła odrobinę pudru w policzki. Jej twarz, kiedy zajrzała do owalnego

lustra, była nadal piegowata, włosy były nadal potargane. Odwróciła się.

Wdrapała się na wypolerowane wezgłowie łóżka rodziców, wyciągnęła ręce i runęła w dół całym ciałem. Materac pofrunął jej na spotkanie – łup! – ubranie rozdęło się, włosy rozwiały. Kiedy łóżko przestało się trząść, leżała tam przez chwilę, taka bezładna sterta spódnic, bezrękawnika, włosów. Krzywiąc się, obgryzła paznokieć. Coś przed chwilą poczuła.

Wyprostowała się, znowu wspięła na wezgłowie łóżka, zamknęła oczy, padła na materac i – o właśnie. Znowu to samo. Dziwny ból, pieczenie w dwóch punktach klatki piersiowej, osobliwy, niezwykły rodzaj bólu. Przewróciła się na plecy i spojrzała w dół. Pod bielą bezrękawnika wszystko wyglądało tak jak zawsze. Podniosła rękę i przycisnęła ją do piersi. Ból rozlał się we wszystkie strony, niczym zmarszczki na powierzchni stawu. Aż musiała usiąść, jeszcze raz spojrzeć sobie w oczy w lustrze, i zobaczyła swoją twarz, zarumienioną i zszokowaną.

Powędrowała przez werandę, rozkopując pył, który gromadził się tam każdego dnia. Postanowiła zapytać o to Kitty. W pokoju dziecięcym, kiedy tam weszła, było ciemno i chłodno. Dlaczego nikt nie zapalił lamp? W mroku coś się poruszyło, zaszeleściło i westchnęło. Udało jej się zobaczyć stłumioną biel łóżeczka, zgarbiony kształt kozetki. Brnęła po omacku przez ciemność, ale doszła do szezlonga prędzej, niż się spodziewała.

– Dżamila – powiedziała Esme i dotknęła ręki swojej aji. Skóra okazała się lepka od potu. – Dżamila – powtórzyła.

Dżamila wzdrygnęła się nieznacznie, westchnęła i wymruczała jakieś zdanie, które zawierało „Esme", tyle że Dżamila jak zawsze wymówiła je jako „Izme".

– Co powiedziałaś? – Esme pochyliła się nad nią.

Jamila znowu coś wymruczała, szereg dźwięków w swoim języku. I było w tych obcych sylabach coś, co przeraziło Esme. Wstała.

– Idę po Pran – powiedziała. – Wracam za minutę.

Esme wypadła z pokoju, pokonała pędem werandę.

– Pran! – zawołała. – Pran! Dżamila jest chora i... – Zatrzymała się w wejściu do kuchni. Coś dymiło i trzeszczało na niskim piecu, przez tylne drzwi wsączało się podługowate światło. – Jest tu kto? – spytała, opierając się jedną ręką o ścianę.

Weszła do środka. Na podłodze stały garnki, w misie spoczywał kopczyk mąki, w pęczku kolendry tkwił nóż. Obok leżała rozpłatana i wypatroszona ryba. Szykowano kolację, ale wyglądało to tak, jakby wszyscy wyszli na chwilę z kuchni albo zniknęli pod klepiskiem niczym krople ghi.

Wycofała się, po czym ruszyła z powrotem przez dziedziniec i kiedy tak szła, zaświtało jej, że nie słyszy żadnych dźwięków. Żadnych głosów służących wołających do siebie, niczyich kroków, żadnego otwierania i trzaskania drzwiami. Nic. Tylko skrzypienie konarów drzew i łomotanie przekrzywionej okiennicy. Przekonała się, że w całym domu nie ma żywej duszy. Wszyscy gdzieś sobie poszli.

Puściła się biegiem w dół podjazdu, czując, jak ją piecze w płucach. Mrok zapadł bardzo prędko i gałęzie drzew były czarne i niespokojne na tle nieba. Brama okazała się zamknięta na kłódkę, a za nią zobaczyła gęste poszycie, nakrapiane maleńkimi światełkami poruszającymi się w mroku.

– Przepraszam! – zawołała. – Przepraszam! Proszę!

W oddali, na poboczu zobaczyła grupę mężczyzn, z twarzami rozświetlonymi lampą.

– Słyszycie mnie? – wrzasnęła i potrząsnęła bramą. Potrzebuję pomocy. Moja aja jest chora i...

Zaczęli się oddalać, pomrukując coś do siebie, oglądając się na nią, i Esme nabrała pewności, absolutnej pewności, że jednym z nich był pomocnik ogrodnika, który kiedyś zwykł nosić ją na barana.

W pokoju dziecięcym wymacała zapałki i lampę. Łuna światła rozlała się dookoła niej po podłodze, po suficie, po ścianach, znajdując obrazki z ewangelii, krzesełko dziecięce, łóżko, na którym leżała Dżamila, kuchnię, stolik, przy którym się jadło, półkę z książkami.

Podeszła do łóżeczka; ruch wywołał ból w nogach, jakby przedtem bardzo długo siedziała. Tuż przy łóżeczku odkryła, że nadal trzyma w dłoni zapałki. Musiała je odłożyć, by móc wziąć Hugona na ręce, więc pochyliła się i zostawiła je na podłodze. A kiedy próbowała podnieść brata, okazało się, że to jest bardzo trudne. Musiała się zgiąć wpół i tam było tyle tych owijaków i kocyków, przy czym jego ciałko wydawało się znacznie cięższe niż zazwyczaj i był taki zimny i sztywny, że ledwie dawało się go obłapić. Zastygł w takiej pozycji, w jakiej zawsze spał: na plecach, z rozrzuconymi rękoma, jakby szukał czyjegoś objęcia, jakby leciał przez przestrzeń.

Później Esme opowiadała, że siedziała z nim w pokoju dziecinnym przez całą noc. Ale oni jej nie uwierzyli. „To niemożliwe – mówili. – Na pewno zasnęłaś. Nic nie pamiętasz". A jednak pamiętała. Rankiem, kiedy przez szczeliny między okiennicami zaczęło wsączać się słońce, zapałki nadal leżały na podłodze obok jej buta, a pieluszki nadal schły przy ogniu. Nie bardzo była pewna, w którym momencie umarła Dżamila.

Znaleźli ją w bibliotece. Zamknęła się tam na klucz.

Pamięta długie godziny ciszy. Ciszy bardziej absolutnej i potężnej niż cokolwiek, co kiedykolwiek sobie wyobrażała. Światło, które to bledło, to na powrót nabierało mocy. Ptaki, które przebijały się przez korony drzew niczym igły przez tkaninę. Skóra Hugona nabrała delikatnej, cynowej barwy. Teraz uważa, że tylko zatrzymała, spowolniła jakiś nienakręcony zegar. I potem nagle była tam matka, która zawodziła i skrzeczała, a twarz ojca, bardzo blisko, krzyczała, gdzie są wszyscy, dokąd oni wszyscy poszli. Była tam przez wiele dni, twierdzili, ale sama miała wrażenie, że dłużej, dziesiątki lat, albo jeszcze dłużej, nieskończenie długo, kilka epok lodowcowych.

Nie chciała im oddać brata. Musieli odebrać go siłą. Musiał to zrobić jej ojciec do spółki z mężczyzną, którego skądś sprowadzili. Matka stała wtedy przy oknie, dopóki wszystko się nie skończyło.

Iris, pielęgniarka i opiekunka socjalna zjeżdżają windą. Jakby bardzo długo. Iris wyobraża sobie, że prawdopodobnie zanurzają się w tej skale, na której stoi miasto. Rzuca ukradkowe spojrzenie na opiekunkę socjalną, ale oczy kobiety wpatrują się niezmordowanie w cyfry oznaczające kolejne piętra. Kieszeń pielęgniarki kryje jakieś niewielkie i kanciaste urządzenie elektroniczne. Iris zastanawia się, do czego może służyć, ale w tym momencie winda robi delikatny podskok i nieruchomieje. Drzwi się rozsuwają. Przed nimi klatka piersiowa z krat. Pielęgniarka wyciąga rękę, żeby wystukać kod, ale odwraca się w stronę Iris.

– Proszę nie odchodzić – mówi. – Proszę się nie gapić.

Są przed kratami, za kratami, kraty zasuwają się za nimi, idą przez korytarz z neonówkami i czerwonobrunatnym linoleum. Wszędzie unosi

się gryzący smród środka czyszczącego.

Pielęgniarka prowadzi, gumowe podeszwy jej butów popiskują. Przechodzą przez wahadłowe wejście, obok rzędu pozamykanych drzwi, obok oświetlonej na żółto dyżurki pielęgniarek, dwóch krzeseł przyśrubowanych do podłogi. Kamery na suficie mrugają i obracają się, odprowadzając je wzrokiem.

Iris potrzebuje trochę czasu, żeby zrozumieć, co jest nie tak z tym miejscem. Nie wie, czego się spodziewała – bełkoczących wariatów? wyjących szaleńców? – ale na pewno nie takiej kontemplacyjnej ciszy. We wszystkich innych szpitalach, w których była wcześniej, panował tłok, hałas, tyle ludzi na korytarzach, którzy chodzili, stali w kolejkach, czekali. Tymczasem Cauldstone jest opustoszałe, to szpital widmo. Zielona farba na ścianach jarzy się jak rad, podłogi są wypastowane do lustrzanego połysku. Chce spytać, gdzie są wszyscy, ale pielęgniarka wstukuje kod przy kolejnych drzwiach i nagle jej nozdrza atakuje nowy zapach.

Jest cuchnący, przykry. Zapach ciał, które za długo przebywały w tych samych ubraniach. Zapach jedzenia podgrzewanego zbyt wiele razy. Zapach wnętrz, w których nigdy nie otwierano okien na oścież. Mijają pierwsze otwarte drzwi i Iris widzi materac postawiony na boku, kanapę przykrytą papierem. Odwraca wzrok i za wzmacnianym szkłem osadzonym w ścianie korytarza widzi zamknięty ogród. Po betonie wirują papierki, plastikowe kubki i inne śmieci. Odwraca się i chwyta spojrzenie opiekunki socjalnej. Pierwsza odwraca wzrok. Mijają kolejne drzwi i pielęgniarka wreszcie przystaje.

Wchodzą do pokoju z rzędem krzeseł pod ścianą. Przy stole siedzą kobiety i grają w karty. Przez wąskie, wysokie okna wlatują promienie

bladego słońca, pod sufitem szemrze telewizor. Iris stoi pod nim, gdy tymczasem pielęgniarka konsultuje się z inną pielęgniarką. Podchodzi do niej kobieta w długim, rozciągniętym szarym swetrze, zatrzymuje się blisko, zbyt blisko, przestępując z nogi na nogę.

– Masz papierosa? – pyta.

Iris zerka na nią ukradkiem. Kobieta jest młoda, niewykluczone, że młodsza od niej, włosy ma czarne przy czaszce, za to końcówki żółte jak słoma.

– Nie mam – mówi Iris. – Przykro mi.

– Papierosa – powtarza tamta nachalnym tonem. – Proszę.

– Nie mam papierosów. Przepraszam.

Kobieta nie odpowiada i nie odchodzi. Iris czuje jej kwaśny oddech na szyi. Po drugiej stronie pokoju starsza kobieta w zmiętej sukni przechodzi od jednego krzesła do drugiego.

– Jest zawsze zmęczony, kiedy wraca, zawsze zmęczony, taki zmęczony, więc muszę koniecznie nastawić czajnik.

Inna kobieta siedzi z ciałem skulonym na kształt piłki, z pięściami zaciśniętymi nad głową.

W tym momencie Iris słyszy okrzyk.

– Euphemia!

Pielęgniarka czeka w drzwiach, z dłońmi na biodrach. Iris podąża za jej wzrokiem do przeciwległego krańca pomieszczenia. Przy wysokim oknie, na czubkach palców stoi plecami do nich wysoka kobieta.

– Euphemia! – woła jeszcze raz pielęgniarka i przewraca oczyma na użytek Iris. – Wiem, że mnie słyszy. Euphemio, masz gościa.

Iris widzi, że kobieta się odwraca, najpierw głową, potem szyją,

wreszcie całym ciałem. Robi to jakby wyjątkowo długo, czym przypomina Iris zwierzę, które rozwija się ze snu. Euphemia podnosi wzrok na Iris i przygląda się jej przez całą dzielącą je przestrzeń. Patrzy na pielęgniarkę, potem znowu na Iris. Jedną ręką trzyma się kraty na oknie. Rozchyla usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk i przez chwilę nic nie wskazuje na to, by miała się w ogóle odezwać. Po czym nagle odchrząkuje.

– Kto ty jesteś? – pyta.

– Rozbrajające! – wtrąca się głośno pielęgniarka, tak głośno, że Iris zastanawia się, czy Euphemia nie jest przypadkiem przygłucha. – Ona raczej nie miewa gości, no sama powiedz, Euphemio...

Iris rusza w jej stronę.

– Jestem Iris – mówi. Za plecami słyszy, że amatorka papierosów syczy pod nosem „Iris, Iris". – Nie znasz mnie. Jestem... jestem wnuczką twojej siostry.

Euphemia marszczy brwi. Przyglądają się sobie nawzajem. Iris łapie się na tym, że spodziewała się kogoś kruchego albo słabego, maleńkiej starowinki, wiedźmy z bajki. Tymczasem ta kobieta jest wysoka, ma kanciastą twarz i badawcze spojrzenie. Wydaje się jakby wyniosła, podnosi brew w łuk, patrzy badawczo. Mimo że ma pewnie siedemdziesiąt lat, jest w niej coś z dziecka. Włosy ma spięte na boku spinką i jest ubrana w kwiaciastą suknię, ze spódnicą z koła – suknię zupełnie nie pasującą do staruszki.

– Kathleen Lockhart to moja babcia – mówi Iris, kiedy już stoi blisko niej. – Twoja siostra. Kathleen Lennox?

Dłoń na oknie drga nieznacznie.

– Kitty?

– Tak. Wydaje mi się...

– Jesteś wnuczką Kitty?

– Zgadza się.

Euphemia prostuje gwałtownie rękę, bez ostrzeżenia i chwyta Iris za przegub. Iris nie potrafi się opanować: odskakuje, odwracając się w stronę pielęgniarki, opiekunki socjalnej. Euphemia natychmiast ją puszcza.

– Nie bój się – mówi z dziwnym uśmiechem. – Nie gryzę. Usiądź, wnuczko Kitty. – Siada na krześle i wskazuje krzesło stojące obok. – Nie chciałam cię przestraszyć.

– Wcale się nie przestraszyłam.

Znowu się uśmiecha.

– A właśnie, że tak.

– Euphemio, ja...

– Esme – poprawia ją Euphemia.

– Słucham?

Kobieta zamyka oczy.

– Mam na imię Esme – mówi.

Iris zerka na pielęgniarki. Czy tu zaszła jakaś pomyłka?

– Jeśli spojrzysz na nie jeszcze raz – mówi Euphemia, stanowczym głosem – tylko raz, to przyjdą tu i mnie zabiorą. Zostanę zamknięta w izolatce na cały dzień, może na dłużej. Chciałabym tego uniknąć z powodów, które, jestem pewna, muszą być dla ciebie oczywiste, i powtarzam ci, że nic ci nie zrobię, i przysięgam, że mówię to poważnie, dlatego proszę, nie patrz na nie więcej.

Iris przenosi wzrok na podłogę, na dłonie kobiety wygładzające suknię na kolanach, na własne stopy zasznurowane w butach.

– OK. Przepraszam.

– Jestem Esme od urodzenia – ciągnie kobieta tym samym tonem. – Niestety, oni tutaj znają tylko moje oficjalne imię, imię z moich dokumentów, czyli Euphemia. Euphemia Esme. Ale zawsze mówiono na mnie Esme. Moja siostra – tu zerka z ukosa na Iris – mawiała, że imię „Euphemia" brzmi jak kichnięcie.

– Nie wyjaśniłaś im tego? – pyta Iris. – Że masz na imię Esme?

Esme uśmiecha się, patrząc wprost w oczy Iris.

– Myślisz, że oni mnie słuchają?

Iris próbuje odwzajemnić spojrzenie, ale zamiast tego gapi się na postrzępiony dekolt sukni, na te głęboko osadzone oczy, na palce ściskające poręcze krzesła.

Esme pochyla się w jej stronę.

– Musisz mi wybaczyć – mruczy. – Nie jestem przyzwyczajona do mówienia tak dużo. Ostatnio w ogóle wyszłam z wprawy i teraz nie umiem przestać. No więc musisz mi wszystko opowiedzieć – dodaje. – Kitty miała dzieci.

– Tak – odpowiada Iris zdumiona. – Jedno. Mojego ojca. To ty... to ty nie wiedziałaś?

– Ja? Nie. – Oczy Esme lśnią, omiatają mroczne wnętrze. – Jak sama widzisz, długo mnie nie było.

– On nie żyje – wymyka się Iris.

– Kto?

– Mój ojciec. Umarł, kiedy byłam bardzo mała.

– A Kitty?

Papierosowa kobieta nadal ledwie słyszalnie recytuje imię Iris, a jakaś

inna kobieta nadal opowiada o zmęczonym mężczyźnie i czajniku.

– Kitty? – powtarza Iris zupełnie rozkojarzona.

– Ona... – Esme przysuwa się bliżej i oblizuje wargi – ... ona żyje?

– Iris zastanawia się, jak to ująć.

– Tak jakby – mówi ostrożnie.

– Tak jakby?

– Ma alzheimera. Esme gapi się na nią.

– Alzheimera?

– To rodzaj sklerozy...

– Wiem, co to jest alzheimer.

– Tak. Przepraszam.

Esme siedzi przez chwilę w milczeniu, odwracając się od okna.

– Zamykają ten szpital, prawda? – pyta znienacka.

Iris waha się, nieledwie oglądając się na pielęgniarki, po czym przypomina sobie, że jej nie wolno.

– Oni się tego wypierają – dodaje Esme – ale to prawda. To prawda?

Iris kiwa głową.

Esme wyciąga ręce i oplata obiema dłońmi dłoń Iris.

– Przyjechałaś, żeby mnie zabrać – mówi natarczywym głosem. – Dlatego tu jesteś.

Iris przygląda się uważnie jej twarzy. Esme zupełnie nie przypomina jej babki. Czy to naprawdę możliwe, by ona i ta kobieta były spokrewnione?

– Esme, aż do wczoraj nie miałam pojęcia, że ty istniejesz. W życiu o tobie nie słyszałam. Chciałabym ci pomóc, naprawdę chciałabym...

– Dlatego tu przyjechałaś? Powiedz mi, „tak" czy „nie".

– Pomogę ci, jak tylko będę umiała...

– „Tak" czy „nie"? – powtarza Esme.

Iris z trudem przełyka ślinę.

– Nie – mówi. – Nie mogę. Ja... nie miałam szansy...

– Esme cofa już ręce, odwraca od niej głowę. I coś się w niej zmienia, a Iris, chcąc nie chcąc, wstrzymuje oddech, bo widzi coś przemykającego przez twarz starszej kobiety, niczym cień padający na powierzchnię wody. Iris gapi się, jeszcze długo potem, mimo że tamto wrażenie zdążyło się rozwiać, mimo że Esme zdążyła wstać, przejść przez pokój i zniknąć za drzwiami. Nie potrafi wyjść ze zdumienia. Bo w twarzy Esme przez chwilę widziała twarz swojego ojca.

– Nie łapię tego – mówi Alex stojący po drugiej stronie lady. Jest pora sobotniego lunchu i razem z Fran wpadli do sklepu, przynosząc Iris niejadalną kanapkę z drogich delikatesów. – Nie łapię.

– Alex, wyjaśniałam ci to już cztery razy – mówi Iris, opierając się o ladę, gładząc palcami cienkie futerko zdobiące dziecięcą rękawiczkę. Wzdryga się, jest takie delikatne i to ją dziwnie brzydzi. – Ile razy jeszcze mamy to przerabiać, zanim do twojej durnej pały wreszcie dotrze, że...

– Moim zdaniem Alex chce ci tylko powiedzieć, że to trudno zrozumieć, Iris – wtrąca się łagodnym głosem Fran. – Że jest tu mnóstwo problemów, z którymi trzeba się będzie zmierzyć.

Iris przelotnie skupia się na swojej bratowej. Fran wygląda jak monochromatyczna plama, jest od stóp do głów płowosarnia. Siedzi na jednym z krzeseł, które Iris ustawiła obok przebieralni, z nogą założoną na nogę i – czy może Iris tylko to sobie ubrdała? – zaciska szczelnie poły swojego prochowca. Fran powiedziała kiedyś, że nie lubi używanych

rzeczy. Przecież ktoś mógł w nich umrzeć, zauważyła. No i co z tego, odparowała wtedy Iris.

Alex nie potrafi się rozstać z tematem Euphemii Lennox.

– Twierdzisz, że nikt nigdy o niej nie słyszał? – pyta. Ani ty, ani twoja mama, ani nikt?

Iris wzdycha.

– Nikt. Dokładnie to wam mówię. Tato był zdecydowanie przekonany, tak twierdzi mama, że babcia była jedynaczką i że babcia często się na to powoływała. Znaczy się na fakt, że nie miała żadnego rodzeństwa.

Alex odgryza ogromny kęs swojego sandwicza i mówi teraz z pełnymi ustami.

– To w takim razie kto jest w stanie stwierdzić, czy ci ludzie się nie mylą?

Iris obraca rękawiczkę w dłoniach. Przy wąskim mankiecie są naszyte trzy guziczki z macicy perłowej.

– Nie mylą się. Widziałam ją, Alex, ona... – Urywa, zerkając na Fran. A potem na chwilę pochyla się do przodu, tak mocno, że aż dotyka czołem chłodnego szkła lady. – Są jakieś papiery – mówi, prostując się na powrót. – Dokumenty prawne. Niepodważalne dowody. Jest tym, kim mówią. Babcia ma siostrę, która żyje, jest zdrowa i mieszka w domu wariatów.

– To takie... – Fran długo szuka właściwego słowa; z wysiłku musi zamknąć oczy – ... cudaczne – wymyśla w końcu, przeciągając wszystkie samogłoski. – Że coś takiego może się zdarzyć w rodzinie. To bardzo... bardzo... – Znowu przymyka oczy, marszcząc się, szukając.

– Cudaczne? – podpowiada Iris. To słowo, którego wybitnie nie lubi.

– Tak. – Fran i Iris patrzą na siebie przez chwilę. Fran mruga. – Nie

chciałam powiedzieć, że twoja rodzina jest cudaczna, Iris, ja tylko...

– Nie znasz mojej rodziny.

– Fran się śmieje.

– No coś ty? Przecież znam Aleksa. – Wyciąga rękę, chcąc dotknąć jego rękawa, ale Alex stoi odrobinę za daleko od niej, przez co jej ręka wpada w przestrzeń między nimi.

Iris nic nie mówi. Ale ma ochotę jej odwinąć: A co ty się tak mądrzysz? Ma ochotę jej przypomnieć: Pokonałam taki kawał drogi, żeby dostać się do cholernego Connecticut na twój ślub, i nikomu z twojej rodziny nie wpadło do głowy, żeby bąknąć do mnie chociaż jedno słowo. To nie jest cudaczne? Ma ochotę jej powiedzieć: Dałam ci w prezencie chyba najpiękniejszą skandynawską szmizjerkę z lat sześćdziesiątych i nie widziałam, żebyś włożyła ją chociaż raz.

Alex kaszle. Iris odwraca się w jego stronę. W mięśniach jego twarzy pojawia się drobne, niedostrzegalne napięcie, brwi unoszą się nerwowo, usta lekko wyginają.

– Pytanie brzmi – mówi Iris, znowu się odwracając – co ja mam z tym zrobić. Czy powinnam...

– No coś ty! – naciera na nią Alex, odstawiając swoją butelkę z wodą i Iris cała się jeży, słysząc ten rozkazujący ton. – To nie ma z tobą nic wspólnego.

– Ależ ma, to...

– Nie ma. Ona jest, no... jakąś twoją daleką krewną i...

– To moja babka cioteczna – mówi Iris. – Wcale nie taka daleka krewna.

– Nieważne. Nie ty narobiłaś tego gnoju, tylko ktoś inny.

Najprawdopodobniej twoja babcia. Ty nie masz nic wspólnego z tą sprawą. Nie powinnaś z tym robić nic więcej. Słyszysz? Iris? Obiecaj, że nie będziesz nic z tym robiła.

Kitty siedzi na fotelu obitym skórą, ze stopami wspartymi na podnóżku. Ramiona ma okryte swetrem. Za oknem jakiś starszy mężczyzna człapie tam i z powrotem po tarasie, z dłońmi splecionymi na plecach.

Iris stoi w drzwiach. Nie przyjeżdża tu zbyt często. W dzieciństwie zawożono ją na odwiedziny u babci raz na tydzień. Lubiła mroczny, stary dom, zarośnięty ogród. Biegała po splątanych, porośniętych mchem ścieżkach, buszowała po altanie. A babcia lubiła ją mieć u siebie, w pięknej sukience, bo mogła pokazywać ją znajomym. „Moja Iris", tak ją zwykle nazywała, „mój kwiatuszek". Kiedy jednak Iris została nastolatką, babcia straciła entuzjazm. „Wyglądasz odrażająco – powiedziała któregoś razu, kiedy Iris zjawiła się we własnoręcznie uszytej spódniczce – żaden porządny mężczyzna cię nie zechce, jeśli będziesz robiła z siebie takie widowisko".

– Dopiero co jadła kolację – tłumaczy jej opiekunka prawda, Kathleen?

Babka podnosi wzrok na dźwięk swojego imienia, ale nie widząc nikogo, kto by dla niej coś znaczył, z powrotem wbija spojrzenie w swoje kolana.

– Dzień dobry – mówi Iris. – To ja, Iris.

– Iris – powtarza jej babka.

– Tak.

– Mój syn miał córeczkę o imieniu Iris.

– Zgadza się – potwierdza Iris. – To...

– Oczywiście, że się zgadza – denerwuje się babcia. – Masz mnie za jakiegoś głupka?

Iris przyciąga taboret i siada na nim, kładąc sobie torebkę na kolanach.

– Nie. Wcale tak nie myślę. Chciałam tylko powiedzieć, że to ja. Że to ja jestem córką twojego syna.

Babcia patrzy na nią, długo i uważnie, z niepewną, nieledwie przestraszoną miną.

– Nie bądź śmieszna – mówi w końcu i przymyka oczy.

Iris rozgląda się po wnętrzu. Pokój babci jest wyłożony grubym dywanem, cały się dusi od antyków i ma widok na ogród. W oddali tryska fontanna, można też zobaczyć dachy Starego Miasta, żurawia kołującego po niebie. Obok łóżka leżą dwie książki i Iris właśnie przekrzywia głowę, by zobaczyć, co to za tytuły, kiedy babcia otwiera oczy.

– Czekam, aż ktoś zapnie mi sweter – mówi.

– Ja to zrobię – proponuje Iris.

– Zimno mi.

Iris wstaje, pochyla się i sięga do guzików.

– Co ty wyprawiasz? – skrzeczy babcia, zapadając się w fotelu, bijąc Iris po rękach. – Co ty wyprawiasz?

– Pomagałam ci ze swetrem.

– Dlaczego?

– Było ci zimno.

– Było mi zimno?

– Tak.

– Bo mam niezapięte guziki. Muszę je zapiąć.

Iris opada z powrotem na taboret i robi głęboki wdech.

– Babciu – mówi – przyszłam dzisiaj do ciebie, bo chciałam spytać o Esme.

Babka odwraca się w jej stronę, ale wydaje się zaabsorbowana chusteczką do nosa, która wystaje zza jej mankietu.

– Pamiętasz Esme? – nalega Iris. – Swoją siostrę?

Babcia szarpie za chusteczkę, która w końcu wysuwa się z rękawa i sfruwa na jej kolana; Iris przez chwilę ma wrażenie, że jest tam ich cały sznur, powiązanych z sobą supłami.

– Czy ja jadłam lunch? – pyta babcia.

– Tak. Obiad też jadłaś.

– A co jadłam?

– Wołowinę – wymyśla Iris.

I wywołuje tym atak wściekłości.

– Wołowina? Czemu ty mówisz o wołowinie? – Obraca się gwałtownie, by zobaczyć, co jest za drzwiami. – Kto ty jesteś? Nie znam cię.

Iris tłumi westchnienie i wygląda przez okno na fontannę.

– Jestem twoją wnuczką. Mój ojciec był...

– Nie chciała puścić dziecka – mówi znienacka babcia.

– Kto? – naciera na nią Iris. – Esme?

Oczy babki są skupione na jakimś punkcie gdzieś za oknem.

– Musieli ją uśpić. Nie chciała go puścić.

Iris usiłuje zachować spokój.

– Jakiego dziecka? Mówisz o swoim dziecku?

– Tego dziecka – odpowiada babka zirytowanym tonem. Rozpaczliwie gestykuluje, coś pokazuje. – Dziecka. No wiesz.

– Kiedy to było?

Babka krzywi się, a Iris stara się nie panikować. Wie, że nie zostało jej wiele czasu.

– Byłaś tam – próbuje innej taktyki – kiedy stało się to coś z dzieckiem?

– Czekałam w jakimś pokoju. Ale to nie była moja wina. Tak mi później powiedzieli.

– Kto? – pyta Iris. – Kto ci powiedział?

– Tamci.

– Jacy tamci?

– Tamta kobieta. – Babka robi dziwny, nieczytelny ruch dookoła głowy. – One obie.

– Jakie obie?

Babka ma teraz dziwną minę. Iris już wyczuwa, że ją powoli traci, że zaczęły ją wsysać ruchome piaski.

– Kto ci powiedział o Esme i dziecku? – mówi prędko, z nadzieją, że dopasuje elementy tej układanki, zanim babka znowu straci kontakt z rzeczywistością. – Czyje to było dziecko? To było jej dziecko? To dlatego była...

– Czy ja jadłam już obiad? – pyta babka.

Ktoś przy recepcji tłumaczy jej, dokąd ma iść, i Iris skręca w mętnie oświetlony korytarz, z ciągnącym się w głąb rzędem lamp. Nad drzwiami wisi napis „Archiwa", za szybą z krzywego, akwariowego szkła widzi wielką salę pełną półek.

W środku, na wysokim stołku siedzi jakiś mężczyzna, trzyma przed sobą akta. Iris opiera dłoń na kontuarze. Doświadcza nagle napadu

zwątpienia w związku z tą misją. Może Alex ma jednak rację. Może powinna zostawić to w spokoju. A jednak mężczyzna za kontuarem patrzy na nią wyczekująco.

– Chciałam spytać... – zaczyna Iris. – Szukam dokumentu poświadczającego przyjęcie do szpitala. Peter Lasdun powiedział, że mogę tu przyjść.

Mężczyzna poprawia okulary i krzywi się mocno, jakby poraził go jakiś nagły ból.

– Te dokumenty są poufne – mówi.

Iris grzebie na oślep w torebce.

– Mam tu gdzieś list od niego, dowodzący, że jestem krewną. – Wsadza rękę jeszcze głębiej, odsuwając na bok portmonetkę, pomadki do ust, klucze, kwity. Gdzie ten list, który Lasdun przesłał jej faksem do sklepu tego ranka? Wyciąga z triumfem złożoną kartkę, na którą wreszcie natrafiają jej palce. – O proszę – mówi, podsuwając kartkę w stronę mężczyzny. – To jest to.

Mężczyzna długo kontempluje list, a potem długo przygląda się Iris.

– Z jakich czasów pochodzi ten dokument? – pyta wreszcie. – Jaką nosi datę?

– Rzecz w tym – tłumaczy Iris – że nie są pewni. Lata trzydzieste albo czterdzieste.

Mężczyzna wzdycha i wstaje ze stołka.

Tomy akt są wielkie i ciężkie. Iris musi stać, by móc je czytać. Grzbiet i brzegi obrosły grubą epidermą kurzu. Otwiera jeden z tomów na chybił trafił i kartki, pożółkłe i kruche, otwierają się na maju 1941. Kobieta o imieniu Amy zostaje przyjęta przez doktora Wallisa. Amy to wdowa

wojenna, podejrzewają u niej gorączkę połogową. Do szpitala przywozi ją brat, który twierdzi, że Amy bezustannie sprząta. Nie ma żadnej wzmianki o dziecku, a Iris chętnie by się dowiedziała, co się z nim stało. Czy przeżyło? Czy ten brat się nim zaopiekował? A może żona brata? Czy brat miał żonę? Czy Amy wyszła ze szpitala?

Iris przerzuca kilka kolejnych kartek. Kobieta, która była przekonana, że radio tranzystorowe jakimś sposobem zabija ich wszystkich. Dziewczyna, która po nocach wychodziła z domu. Jakaś pani, która stale napadała na służącą. Żona rybaka z Cockenzie, która wykazywała oznaki niekontrolowanego, lubieżnego zachowania. Czyjaś najmłodsza córka, która uciekła do Irlandii z kancelistą. Iris czyta właśnie o niejakiej Jane, która miała czelność wyprawiać się na długie, samotne spacery i odrzucać wszelkie propozycje małżeńskie, kiedy nagle zaczyna kichać, raz, drugi, trzeci, czwarty.

Pociąga nosem i przetrząsa kieszenie w poszukiwaniu chusteczki. Sala archiwów wydaje się dziwnie cicha po serii jej kichnięć. Rozgląda się dookoła. Nie ma tam nikogo, jeśli nie liczyć pracownika za biurkiem i jeszcze jednego mężczyzny, który wczytuje się w coś na podświetlonym na niebiesko czytniku mikrofilmów. Aż trudno uwierzyć, że te wszystkie kobiety były tu kiedyś, w tym budynku, że spędziły wiele dni, tygodni i miesięcy pod tym ogromnym dachem. Niektóre być może nadal tu są, jak Esme. Czy Jane od długich spacerów jest gdzieś w tych murach? Albo niesforna najmłodsza córka?

Oczywiście żadnej chusteczki. Spogląda znowu na gruby plik dokumentów. Naprawdę powinna już wracać do sklepu. Znalezienie Esme wśród tych papierzysk może jej zabrać wiele godzin. Tygodni. Peter

Lasdun powiedział przez telefon, że nie są w stanie określić dokładnej daty jej przyjęcia. Może powinna zadzwonić do niego jeszcze raz. Oni powinni móc ją odnaleźć. Sensownym pomysłem byłoby zdobyć tę datę i wtedy wrócić.

A jednak wraca znów do Jane i jej długich spacerów. Cofa się w czasie. 1941, 1940, 1939, 1938. Druga wojna światowa wybucha i już jej nie ma, staje się tylko ideą, groźbą majaczącą w ludzkich umysłach. Ludzie wciąż mieszkają w swoich domach, Hitler to tylko jedno z nazwisk pojawiających się w gazetach, nikt nawet nie słyszał o bombach, nalotach i obozach koncentracyjnych, zima przechodzi w jesień, jesień w lato, lato w wiosnę. Kwiecień ustępuje miejsca marcowi, marzec lutemu, a Iris czyta o przypadkach uporczywego milczenia, o nieprasowanych ubraniach, o kłótniach z sąsiadami, o wybuchach histerii, o niezmywanych naczyniach i niezamiecionych podłogach, o absolutnym braku chęci wejścia w związek małżeński albo na odwrót, zbyt wielkiej chęci, niedostatecznej chęci, o dążeniu do tego nie tak, jak trzeba, albo nie tam, gdzie trzeba. O mężach spuszczonych ze smyczy, o rodzicach niezdolnych zrozumieć kobiety, którymi stały się ich córki, o ojcach, którzy uparcie powtarzają, że była kiedyś takim uroczym, małym stworzonkiem. O córkach, które zwyczajnie nie słuchają. O żonach, które pewnego dnia pakują walizkę i wychodzą z domu, zatrzaskując za sobą drzwi, które potem trzeba odszukać i sprowadzić z powrotem.

Iris przewraca kolejną kartkę, natrafia na nazwisko „Euphemia Lennox" i o mały włos przechodzi do następnej kartki, bo musiało minąć wiele godzin, odkąd zaczęła te poszukiwania i jest taka od tego wszystkiego ogłupiała, że musi przywołać się do porządku, przypomnieć sobie, po co tu

przecież przyszła. Wygładza opuszkami palców stary dokument potwierdzający przyjęcie Esme.

Szesnaście lat, to widzi najpierw. A potem: „Nie godzi się, by obciąć jej włosy". Iris czyta cały dokument od początku do końca, potem cofa się i czyta jeszcze raz. Pod sam koniec znajduje zdanie: „Rodzice twierdzą, że zastali ją, jak tańczyła przed lustrem, w ubraniu swojej matki".

Wraca wreszcie do sklepu. Pies nie posiada się z radości na jej widok, jakby zniknęła mu nie na kilka godzin, ale na tydzień. Uruchamia komputer. Sprawdza pocztę, otwiera list od swojej matki. *Iris, cały czas łamię sobie głowę w związku z twoją babcią, ale nie przypominam sobie, by kiedykolwiek wspominała o jakiejś siostrze,* napisała Sadie. *Jesteś pewna, że się nie pomylili?* Iris odpisuje: *Nie, już ci powiedziałam, że się nie pomylili, to ona.* I pyta, jaka jest pogoda w Brisbane. Odpowiada na inne maile, usuwa kilka, jeszcze inne ignoruje, wychwytuje daty giełd i aukcji staroci. Wchodzi na swoje konto bankowe.

Wprowadza terminy „faktura", „zaliczka" i „zaległość", ale stale traci koncentrację, bo w kącie umysłu majaczy jej wnętrze pokoju. Jest późne popołudnie i dziewczyna rozpuszcza włosy. Jest ubrana w za dużą sukienkę, ale to piękna sukienka, jedwabna kreacja; ujrzała ją, od razu jej się zamarzyła i teraz ta sukienka jest wreszcie na niej, oplata ją. Przywiera do jej nóg i opływa jej stopy niczym woda. Dziewczyna nuci melodię o tobie, nocy i muzyce, nuci i tańczy po całym pokoju. Jej ciało kołysze się niczym gałąź na wietrze, a stopy w pończochach pomykają nadzwyczaj lekko po dywanie. Głowę ma tak przepełnioną melodią i chłodnym poświstywaniem jedwabiu, że nie słyszy kroków na schodach, w ogóle nic nie słyszy. Nie ma pojęcia, że za kilka chwil drzwi otworzą się

gwałtownie, że tamci staną na progu, że ją zobaczą. Słyszy muzykę i czuje suknię. Nic więcej nie potrzebuje. Jej dłonie trzepoczą jak ptaki.

Peter Lasdun idzie przez parking przy Cauldstone i po drodze usiłuje wbić się w płaszcz przeciwdeszczowy. Od strony zatoki Firth of Forth dolatują podmuchy przeszywającego wiatru. Udaje mu się wsunąć jedną rękę, ale drugi rękaw się wyrywa, podszewka w ciemnoczerwoną kratę łopocze na słonym powietrzu niczym flaga.

Wciąż próbuje podporządkować sobie płaszcz, kiedy słyszy, że ktoś woła go po nazwisku. Obraca się twarzą do wiatru i widzi kobietę, która spieszy w jego stronę. Przez chwilę wytrzeszcza oczy, zanim wreszcie do niego dociera, kto to jest. To ta Lennox, Lockhart czy jak jej tam; w dodatku towarzyszy jej pies gigantycznych rozmiarów. Peter robi krok w tył. Nie lubi psów.

– Czy może mi pan powiedzieć, co z nią teraz będzie? – mówi kobieta, kiedy już się z nim zrównuje. – Co się dzieje z takimi ludźmi?

Peter wzdycha. Jest dziesięć po. Jego żona pewnie otwiera właśnie piekarnik, by doglądnąć kolacji. Kuchnię wypełnia aromat soczystego mięsa i pieczonych warzyw. Jego dzieci, ma nadzieję, odrabiają lekcje w swoich pokojach. Powinien siedzieć już w samochodzie, wjeżdżać właśnie na obwodnicę, nie pozwalać, by jakieś babsko więziło go na parkingu.

– W takim razie proponuję kolejne spotkanie...

– Ja tylko chcę zadać jedno pytanie, jedno szybkie pytanie. – Kobieta terroryzuje go uśmiechem, błyskając rzędem znakomicie zadbanych zębów. – Nie będę pana zatrzymywała. Odprowadzę pana do samochodu.

– Proszę bardzo. – Peter przestaje walczyć z płaszczem, który teraz bije

go po kostkach.

– No więc co się teraz stanie z Esme?

– Z jaką Esme?

– Z Euphemią. Właściwie to, widzi pan... – Zawiesza głos i znowu błyska uśmiechem. – Nieważne. Mówię o Euphemii.

Peter otwiera bagażnik samochodu, podnosi z ziemi swoją teczkę.

– Pacjenci, którzy nie są objęci opieką krewnych – widzi przed sobą dokument ubezpieczeniowy i czyta słowa na głos – przechodzą pod odpowiedzialność państwa i w związku z tym państwo dokonuje ich przesiedlenia.

Kobieta marszczy czoło i lekko wydyma dolną wargę.

– Jak to rozumieć?

– Że zostanie przeniesiona do innego domu.

Lasdun zatrzaskuje bagażnik i podchodzi do drzwi samochodu. Dziewczyna jednak wlecze się za nim.

– Dokąd?

– Do jakiejś państwowej placówki.

– Do innego szpitala?

– Nie. – Peter znowu wzdycha. Wiedział, że to nie będzie tak szybko. – Uznano, że Euphemią może zostać zwolniona. Przeszła pomyślnie przez program readaptacyjny i rehabilitację. Jest na liście osób oczekujących na miejsce w domu spokojnej starości. Tak więc wyobrażam sobie, że zostanie tam przeniesiona, gdy tylko zwolni się gdzieś miejsce.

– Peter wsuwa się na siedzenie i wkłada kluczyki do stacyjki. To już powinno wystarczyć, żeby się jej pozbyć.

A jednak nie. Kobieta opiera się na otwartych drzwiach auta, a pies

wystawia pysk w jego stronę, węsząc.

– Kiedy to będzie? – pyta.

Lasdun podnosi na nią wzrok i dostrzega w niej – w tym jej uporze, w jej natarczywości – coś, co go przyprawia o osobliwe zmęczenie.

– Naprawdę chce pani to wiedzieć? To może potrwać wiele tygodni. Albo miesięcy. Nawet pani sobie nie wyobraża, pod jaką presją są takie placówki. Kiepskie dofinansowanie, braki w personelu, za mało miejsca, by zaspokoić popyt. Za pięć tygodni Cauldstone zostanie zamknięte, panno Lockhart, i nawet, gdyby mi było wolno wyjawić...

– Naprawdę nie ma jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby zostać przeniesiona na ten okres przejściowy? Ona nie może tu zostać. Musi być jakieś inne miejsce. Ja bym... Po prostu chcę ją stąd wyciągnąć.

Lasdun majstruje przy wstecznym lusterku, przekrzywiając je najpierw w przód, potem w tył, bezskutecznie szukając właściwego położenia.

– Zdarzały się przypadki pacjentów takich jak Euphemia, którzy dostawali tymczasowe lokum, dopóki nie znalazło się jakieś bardziej stałe miejsce. Ja bym jednak tego nie zalecał jako profesjonalista.

– Co pan ma na myśli, mówiąc o tymczasowym lokum?

– O miejscu na krótki pobyt, o jakimś domu noclegowym. Czy innej tego typu placówce.

– Jak prędko zostanie tam przeniesiona?

Lasdun szarpie gwałtownie drzwi. Naprawdę ma już tego wszystkiego powyżej uszu. Ta kobieta nigdy go nie zostawi w spokoju?

– Gdy tylko znajdziemy transport – warczy.

– Ja ją wezmę – odpowiada mu kobieta bez wahania. – Sama ją zawiozę.

Iris leży na boku, z książką w ręku. Czuje na karku oddech Luke'a, który oplata ją ramieniem w pasie. Jego żona pojechała w odwiedziny do swojej siostry, dlatego po raz pierwszy został na całą noc. Iris na ogół nie pozwala mężczyznom zostawać na całą noc, ale Luke przypadkiem zadzwonił w chwili, gdy do sklepu naszło mnóstwo klientów, dlatego nie miała ani czasu, ani prywatności, by móc się przed nim wybronić.

Przewraca kartkę. Luke gładzi ją po ręce, po czym eksperymentalnie całuje ją w ramię. Iris nie reaguje. Luke wzdycha, przysuwa się bliżej.

– Luke – upomina go Iris. I odpycha go.

On tymczasem zaczyna wodzić ustami po jej szyi.

– Luke, czytam.

– Przecież widzę – mamrocze.

Jednym strzepnięciem palców przewraca kartkę. A on przyciska się do niej coraz mocniej.

– Wiesz, co tu jest napisane? – pyta Iris. – Że kiedyś wystarczał zwykły podpis lekarza rodzinnego i facet mógł oddać córkę albo żonę do domu dla chorych umysłowo.

– Iris...

– Wyobraź to sobie. Mogłeś się pozbyć własnej żony, jeśli miałeś jej dosyć. Mogłeś wykopsać z domu własną córkę, jeśli nie robiła tego, co jej kazano.

Luke chwyta książkę.

– Przestaniesz wreszcie czytać to depresyjne tomiszcze i pogadasz ze mną?

Iris odwraca głowę, by wreszcie na niego spojrzeć.

– Mam z tobą pogadać?

Luke uśmiecha się.

– No pogadać. Albo zrobić cokolwiek innego, co ci wpadnie do głowy.

Iris zamyka książkę, przewraca się na plecy i wbija wzrok w sufit. Luke gładzi ją po włosach, wciskając twarz w jej ramię, sunąc dłońmi w dół jej ciała.

– Kiedy był twój pierwszy raz? – pyta znienacka Iris. – Ile miałeś lat?

– Pierwszy co?

– No wiesz. Kiedy to robiłeś po raz pierwszy.

Luke całuje ją w policzek, w skroń, w czoło.

– Musimy teraz o tym rozmawiać?

– Tak.

Luke wzdycha.

– Niech ci będzie. Miała na imię Jenny. Miałem siedemnaście lat. To była impreza sylwestrowa, w domu jej rodziców. Proszę bardzo. Wystarczy?

– Gdzie? – dopytuje się Iris. – Gdzie w domu jej rodziców?

Na twarzy Luke'a pojawia się uśmiech.

– Na ich łóżku.

– Na ich łóżku? – powtarza Iris, marszcząc nos. – Mam nadzieję, że byliście na tyle przyzwoici, by zmienić potem pościel. – Siada i krzyżuje ręce na piersi. – Wiesz co? Nie mogę przestać myśleć o tym miejscu.

– O jakim miejscu?

– O Cauldstone. Masz pojęcie, jak to jest, kiedy spędzasz prawie całe życie w takim miejscu? Ja nawet sobie nie wyobrażam, co się dzieje z człowiekiem, kiedy go tam pakują, w wieku zaledwie...

Luke bez ostrzeżenia chwyta ją w uścisk i przewraca gwałtownie, powalając na materac.

– Jest tylko jedna rzecz – mówi – która cię uciszy. – Znika pod kołdrą, posuwając się w dół jej ciała, ale w pewnym momencie do Iris dociera jego głos: – Kto był twoim pierwszym?

Iris uwalnia pasmo swoich włosów uwięzionych pod głową, poprawia poduszkę.

– Przykro mi – mówi – ale to informacja poufna.

Luke wychyla się spod kołdry.

– No już, gadaj. – Jest oburzony. – Coś za coś. Ja ci powiedziałem.

Iris obojętnie wzrusza ramionami.

Luke chwyta ją pod żebra.

– Musisz mi powiedzieć. To był ktoś, kogo znam?

– Nie.

– Byłaś obrzydliwie młoda?

Iris kręci głową.

– Niedorzecznie stara?

– Nie. – Iris wyciąga rękę, dotyka abażuru na nocnej lampce, potem cofa rękę. Kładzie ją na bicepsie Luke'a. Bada tam skórę, to miejsce, gdzie biel ramienia styka się z ciemniejszą skórą barku. Mój brat, myśli. Alex, myśli. Pragnienie, by to wyznać, szamocze się, wybija na powierzchnię, blednie. Iris nie ma pojęcia, co Luke by powiedział, jak by zareagował.

Jego ręce oplatają silnie jej ramiona.

– No powiedz, musisz powiedzieć – wciąż nalega.

Iris wyrywa się, opuszczając głowę na poduszkę.

– Nic nie muszę – mówi.

Wyruszali z Bombaju. Statek wibrował i stękał pod nimi, a na nabrzeżu tłoczyli się ludzie, machając flagami i chorągiewkami. Esme trzymała chusteczkę między dwoma palcami i przyglądała się, jak łopocze i trzaska na wietrze.

– Do kogo tak machasz? – spytała Kitty.

– Do nikogo.

Esme obróciła się w stronę matki, która stała obok nich przy relingu. Matka miała jedną rękę w górze, przytrzymywała kapelusz, żeby jej nie sfrunął. Jej cera zrobiła się jakby napięta, naciągnięta, oczy zadawały się wbijać w głąb oczodołów. Nadgarstek wystający z koronkowego mankietu był chudy, złota bransoletka od zegarka dyndała na nim luźno. Dziwny impuls sprawił, że Esme koniecznie musiała dotknąć nadgarstka matki, dotknąć tej kości, przejechać czubkiem palca po tym miejscu dzielącym skórę od kółek bransoletki.

Matka przestąpiła z nogi na nogę, obróciła głowę, jakby chciała sprawdzić, kto obok niej stoi, po czym obróciła ją z powrotem. Pochyliła się do przodu pojedynczym, raptownym ruchem niczym marionetka na sznurkach, dwa razy trzepnęła Esme po palcach, po czym oderwała jej dłoń od swojej dłoni.

Kitty odprowadzała ją wzrokiem, kiedy odchodziła. Esme nie. Esme utkwiła wzrok w nabrzeżu, w chorągiewkach, w wielkich belach sukna, które ładowano na statek. Kitty wsunęła rękę pod jej pachę i Esme ucieszyła się, kiedy poczuła to ciepło. Przyłożyła głowę do ramienia siostry.

Dwa dni później statek zaczął podrygiwać, najpierw bardzo lekko, a

potem się rozkołysał. Kieliszki zsuwały się z obrusów, zupa wylewała z talerzy. Potem linia horyzontu w iluminatorach połamała się i bryzgi wody ochlapały szkło. Kiedy pokład pod nimi zaczął wierzgać, ludzie pognali do swoich kajut, zataczając się i przewracając.

Esme studiowała mapę przypiętą do ściany w pokoju zabaw, na której czerwoną kreską zaznaczono ich kurs. Zobaczyła, że znajdują się na samym środku Morza Arabskiego. Powtarzała sobie w głowie te słowa, kiedy szła przez korytarz, chwytając się poręczy, by nie stracić równowagi: „arabskie", „morze", „szkwał". „Szkwał" był szczególnie ciekawym słowem. To było skrzyżowanie. Kryły się w nim takie słowa jak „szkła" i „szał". A także „szła" i „wał". I rymowało się z „szal" i „żal".

Członkowie załogi przemierzali spiesznie mokre pokłady, pokrzykując do siebie. Wszyscy inni gdzieś zniknęli. Esme stała na skraju opustoszałej sali balowej, kiedy przebiegający obok steward powiedział:

– A panienki to nie dopadło?

Esme odwróciła się.

– Co?

– Choroba. Choroba morska.

Zastanowiła się nad tym, dokonała inspekcji całej swojej istoty, szukając oznak, że dzieje się coś złego. A jednak niczego takiego nie znalazła. Czuła się bezwstydnie, kwitnąco zdrowa.

– Nie – odparła.

– Ma panienka szczęście – powiedział steward, gnając w swoją stronę. – To dar.

Drzwi kajuty rodziców okazały się zamknięte na zamek, a kiedy przycisnęła ucho do drewna, usłyszała dźwięki przypominające kaszel,

czyjś płacz. W swojej kajucie zastała Kitty zwiniętą w kłębek na łóżku, ze śmiertelnie pobladłą twarzą.

– Kit – powiedziała Esme, pochylając się nad siostrą, i nagle owładnął nią strach, że Kitty jest chora, że może umrzeć. Schwyciła ją za ramię. – Kit, to ja. Słyszysz mnie?

Kitty otwarła oczy, przez chwilę gapiła się na Esme, po czym obróciła twarz ku ścianie.

– Nie mogę znieść widoku morza – wymamrotała.

Esme przyniosła jej wody, chwilę czytała jej na głos, wypłukała miskę stojącą obok łóżka. Powiesiła halkę na iluminatorze, dzięki czemu Kitty nie widziała już dzikich, rozkołysanych kanciastych linii morza. A kiedy Kitty zasnęła, wyszła z kajuty. Na pokładach było pusto, w klubach i salach jadalnych też. Nauczyła się ustawiać równolegle do linii przechyłu, kiedy statek poruszał się pod nią niczym koń pokonujący płot. Pobawiła się w grę, która polegała na wrzucaniu pierścieni ze sznura na palik. Z przyjemnością przyglądała się spienionej ścieżce, którą pozostawiał za sobą statek, z łokciami przewieszonymi przez relingi, albo szarym grzywaczom, po których przepływali. Czasem pojawiał się steward i okrywał ją kocem.

W drugim tygodniu zaczęli pojawiać się ludzie. Esme poznała małżeństwo misjonarzy, które wracało do miejsca zwanego Wells-next-the-Sea.

– To nad samym morzem – wyjaśniła ta pani i Esme uśmiechnęła się, myśląc, że musi to sobie zapamiętać, powtórzyć później Kitty. Zauważyła, że oboje przyglądają się czarnej opasce na jej ręce, po czym odwracają wzrok. Opowiedzieli jej o ogromnej plaży, która rozciągała się pod

miasteczkiem i o tym, że w Norfolk jest mnóstwo domów zbudowanych z kamieni. Powiedzieli, że nigdy nie byli w Szkocji, ale słyszeli, że tam jest bardzo pięknie. Przynieśli jej lemoniady i siedzieli razem z nią na krzesełkach, kiedy ją piła.

– Mój malutki braciszek – wyrwało się Esme, kiedy grzechotała kostkami lodu na dnie szklanki – umarł na tyfus.

Kobieta przyłożyła dłoń do gardła, a potem ułożyła tę dłoń na ramieniu Esme. Powiedziała, że bardzo jej współczuje. Esme już nie wspomniała, że jej aja też umarła, że pogrzebali Hugona na cmentarzu we wsi i że to jej nie daje spokoju, bo przecież zostawili go w Indiach, podczas gdy sami płyną teraz całą rodziną do Szkocji, nie wspomniała też, że od tego czasu matka nie odezwała się do niej ani na nią nie spojrzała.

– Ja nie umarłam – powiedziała Esme, bo to nadal stanowiło dla niej zagadkę, nadal nie pozwalało jej zasnąć na wąskiej koi. – Mimo że tam byłam.

Mężczyzna odkaszlnął. Przeniósł wzrok na garbatą, zielonkawą linię; wyjaśnił Esme, że to wybrzeże Afryki.

– Zostałaś oszczędzona – powiedział – w jakimś celu. Specjalnym celu.

Esme podniosła wzrok znad swojej pustej szklanki i ze zdumieniem przyjrzała się jego twarzy. Cel. Jego koloratka była zaskakująco biała na tle ogorzałej skóry, usta z powagą wyginały się w dół. Obiecał, że będzie się za nią modlił.

Pierwszym zwiastunem miejsca zwanego przez rodziców „domem" były niziny Tilbury, które wyłoniły się z wilgotnego półmroku październikowego poranka. Ona i Kitty od dawna czekały na pokładzie, wytężając wzrok we mgle. Spodziewały się gór, jezior i dolin, o których

wyczytały w encyklopedii, kiedy sprawdziły hasło „Szkocja", a tymczasem zobaczyły rozczarowująco płaski, bagnisty teren ukryty za mgłą.

Ten ziąb był zdumiewający. Miały wrażenie, że zdziera im skórę z twarzy, że przenika aż do kości. Kiedy ojciec im powiedział, że zrobi się jeszcze zimniej, zwyczajnie mu nie uwierzyły. W pociągu do Szkocji – bo jak się okazało, tamto to wcale nie była Szkocja, tylko wybrzeże Anglii – razem z Kitty zamknęły się w toalecie i obijając się tam o siebie, próbowały włożyć na siebie wszystkie swoje ubrania, jedne na drugie. Matka przez całą drogę przykładała chusteczkę do twarzy. Esme miała na sobie pięć sukienek i dwa swetry, kiedy wjeżdżali do Edynburga.

Pewnie z Waverley jechali samochodem albo tramwajem, uważa Esme, ale nie pamięta tej jazdy. Pamięta za to przelatujące jej przed oczyma wysokie, ciemne budynki, płachty deszczu, światła gazowych lamp odbijające się od mokrego bruku, ale to być może zobaczyła później. W drzwiach wielkiego kamiennego domu powitała ich kobieta w fartuchu.

– *Ocht* – powiedziała do nich – *ocht.* – A potem dodała coś jeszcze o ich przyjeździe z daleka. Dotykała ich twarzy, twarzy Esme i Kitty, i ich włosów, wylewając z siebie zdania, w których pojawiały się takie obce słowa jak *bairn, bonny* i *lassie.*

Esme przez chwilę myślała, że to jej babka, ale potem zobaczyła, że matka podaje tej kobiecie tylko czubki palców do uściśnięcia.

Babka czekała na nich w salonie. Miała na sobie czarną spódnicę sięgającą ziemi i poruszała się tak, jakby była umocowana na kółkach. Esme uważa, że nigdy nie widziała jej stóp. Podstawiła synowi policzek do pocałowania, po czym przyjrzała się uważnie Esme i Kitty przez *pince-*

nez.

– Ishbel – powiedziała do ich matki, która stała na dywaniku przed kominkiem, nagle sztywno wyprostowana i bardzo czujna – trzeba coś będzie zrobić z ubraniami.

Tamtej nocy Esme i Kitty skuliły się obok siebie na wielkim łóżku, szczękając zębami. Esme byłaby przysięgła, że nawet jej włosy marzły. Leżały tak przez jakiś czas, czekając, aż ciepło kamiennej butli z gorącą wodą przeniknie przez skarpetki, które miały na nogach, nasłuchując odgłosów domu, swoich oddechów, stukotu końskich kopyt na ulicy.

Esme odczekała jakąś chwilę, po czym wypowiedziała pojedyncze słowo w mrok:

– *Ocht.*

Kitty wybuchnęła chichotem i Esme poczuła głowę siostry ocierającą się ojej ramię, kiedy przycisnęła rękę do boku.

– *Ocht* – powtórzyła Esme jeszcze kilka razy, między spazmami śmiechu. – *Ocht, ocht, ocht.*

Otworzyły się drzwi i na progu pojawił się ich ojciec.

– Cicho bądźcie – powiedział. – Obydwie. Wasza matka usiłuje zasnąć.

... tamtego popołudnia w Hermitage nacięła gałęzi ostrokrzewu, kuchennym nożem. Ja tego zrobić nie chciałam, bałam się, że kolce poharatają mi skórę (oczywiście tygodniami moczyłam dłonie w ciepłej wodzie z cytryną, każda to robiła). Ale ona odebrała mi nóż i powiedziała, nie bądź głupia, ja to zrobię. Podrzesz sobie sukienkę, odparłam, mama będzie zła, ale jej nic to nie obeszło. Esme nigdy niczym się nie przejmowała. No i oczywiście podarła sukienkę i matka zagniewała się na

nas obie, kiedy wróciłyśmy. Ty jesteś odpowiedzialna, powiedziała mi, ty jesteś odpowiedzialna, a nie Esme, będziemy musiały zabrać tę suknię przy okazji następnej wizyty u pani MacPherson. Pani MacPherson, czy raczej pani Mac, bo tak chciała, żeby ją nazywać, uszyła suknię, którą miałam włożyć tamtego wieczoru. To była najpiękniejsza suknia, jaką można sobie wyobrazić. Miałyśmy trzy przymiarki, bo matka chciała, żeby suknie pasowały idealnie. Biała organdyna z brzeżkiem w kwiaty pomarańczy, przeraźliwie się bałam, że kolce ostrokrzewu ją podrą, dlatego Esme go niosła, kiedy tam szłyśmy, stąpając bardzo ostrożnie, bo miałyśmy delikatne pantofle, a tam był lód. Jej suknia była dziwna: nie chciała organdyny, chciała coś czerwonego, szkarłatnego, tak się wyraziła. Z aksamitu. Ja będę miała suknię ze szkarłatnego aksamitu, powiedziała do pani Mac, stojąc przy ogniu. A właśnie że nie, odezwała się matka z sofy, jesteś wnuczką adwokata, nie dziewką barową, i że to ona płaci, rozumiesz, dlatego więc Esme musiała się zgodzić na taftę koloru burgunda. Kolor wina, tak go określiła pani Mac, przez co pewnie poczuła się...

... wino trzyma się w kryształowych karafkach na stoliku za sofą. Prezent ślubny od jakiegoś wuja. Z początku mi się podobały, ale są diabelskie, że się tak wyrażę, jeśli idzie o odkurzanie. Trzeba używać małego pędzelka, starej, zmiękczonej szczoteczki do zębów albo czegoś podobnego, by się dostać do wszystkich żłobień. Tak naprawdę to chętnie bym się ich pozbyła, dała jakiemuś młodszemu członkowi rodziny, powiedzmy jako prezent ślubny, bo byłby z nich wspaniały prezent, ale jemu one się podobają w tym miejscu. Pije jeden kieliszek do kolacji, tylko jeden, dwa w sobotni wieczór i wolno mi nalewać tylko do połowy,

bo wino musi oddychać, powiedział, a ja wtedy odparłam, że w życiu nie słyszałam takich bzdur, wino przecież nie oddycha, ty ciemniaku, to ostatnie oczywiście powiedziałam niesłyszalnie, bo lepiej nie...

... a matka stwierdziła, że musi ściąć jej włosy, wszystkie, równo z szyją. Ale Esme nie chciała o tym słyszeć. Matka wyciągnęła z kredensu salaterkę do puddingu i co zrobiła Esme? Odebrała jej tę salaterkę i roztrzaskała ją na posadzce. To moje włosy, krzyczała, i będę z nimi robiła, co mi się podoba. No cóż. Matka była taka zła, że aż jej odebrało mowę. Zaczekasz, aż twój ojciec wróci do domu, powiedziała głosem twardym jak lód, zejdź mi z oczu, idź do szkoły. Wszystkie płytki były zasypane okruchami salaterki. Matka próbowała...

... mnie nie kazano chodzić do szkoły. Dziewczyna w moim wieku już nie chodziła do szkoły. Miałam zostać i pomagać w domu, wypełniać polecenia matki. Wkrótce, twierdziła, sama wyjdę za mąż. I wtedy będę miała własny dom. Z taką urodą jak twoja, powiedziała. Dlatego zabierała mnie do swoich znajomych, razem z nią chodziłam na podwieczorki, na przyjęcia golfowe, na zebrania w kościele i tym podobne, a poza tym zapraszała też młodych mężczyzn do domu. Był taki czas, kiedy chciałam się zapisać na kurs sekretarek. Wydawało mi się, że byłabym dobra w pisaniu na maszynie i że mogłabym odbierać telefony, bo miałam miły głos, ale ojciec twierdził, że właściwym wyjściem będzie...

... kiedy wyjeżdżałam, myślałam o łóżku, o naszym łóżku, co noc pustym. Nie zrozum mnie źle, byłam szczęśliwa, że wyszłam za mąż. Bardziej niż tylko szczęśliwa. I miałam piękny dom. Ale czasami pragnęłam wrócić, położyć się na naszym wspólnym łóżku, położyć po tej stronie, po której zawsze leżała ona, i gapić się po prostu na sufit, ale

oczywiście...

... co to było, co ją tak śmieszyło w pani Mac? Zapomniałam. Było coś takiego i Esme starała się zawsze wtrącić to coś do rozmowy, kiedy tam byłyśmy. Aż mnie wszystko bolało, bo stale musiałam się powstrzymywać od śmiechu! Matkę to wprawiało w irytację. Zachowuj się, Esme, słyszysz?, ostrzegała, kiedy stawałyśmy pod bramą pani Mac. Pani Mac miała zawsze w ustach szpilki i trzeba było stawać na niskim stołku, kiedy brała przymiarkę. Uwielbiałam to. Esme oczywiście tego nie znosiła. Nie potrafiła ustać spokojnie. Zawsze sobie wyobrażasz, że dostaniesz coś ładnego, a potem się przekonujesz, to wcale nie jest ładne, powiedziała, kiedy dostała swoją suknię koloru wina. Pamiętam to. Siedziała na łóżku, przed otwartym pudłem i trzymała ją w pasie, w uniesionych rękach. Szwy są krzywe, stwierdziła, więc przyjrzałam się i zauważyłam, że rzeczywiście są krzywe, ale powiedziałam, że przecież są proste, i trzeba było widzieć spojrzenie, którym mnie obrzuciła...

... jest mi strasznie zimno. Strasznie. Muszę wyznać, że nie bardzo wiem, gdzie jestem. Ale nie chcę, żeby ktoś o tym wiedział, dlatego będę siedziała cicho jak mysz, to może ktoś...

... co ja zwę guzikiem. To było to. Niczego tak nie uwielbiała, dlatego naśladowała ten głos i brała do ręki jakiś przedmiot, zawsze coś bardzo zwyczajnego, i mówiła: To jest to coś, co ja zwę łyżką, albo: To jest to coś, co ja zwę zasłoną, bo pani Mac przyglądała ci się, kiedy tam stałaś na jej specjalnym stołku, i mówiła: O tutaj przyszyję to coś, co ja zwę guzikiem. Matka była wtedy taka zła, bo obie śmiałyśmy się do rozpuku. Nie wyśmiewajcie się z ludzi, którzy nie mieli tyle szczęścia co wy, mówiła z wydętymi ustami. Ale Esme uwielbiała ton, jakim mówiła to pani Mac, i ja

zawsze wiedziałam, że ona na to czeka, za każdym razem, kiedy tam szłyśmy, i przez to robiłam się bardzo...

... ktoś w pokoju. W pokoju ktoś jest. Kobieta w białej bluzce. Zaciąga zasłony. Kim jesteś, pytam, a ona się odwraca. Jestem pani pielęgniarką, mówi, proszę teraz iść spać. Patrzę na okno. Na to coś, co ja zwę oknem, mówię i śmieję się, a...

Kiedy Iris przyjeżdża do Cauldstone, opiekunka socjalna, opiekunka prowadząca czy kimkolwiek jest ta kobieta, czeka na nią w hallu. Pielęgniarka prowadzi je w głąb korytarza. Wchodzą do jakiegoś pokoju i tam przy barierce stoi Esme, trzyma na tej barierce dłoń zwiniętą w pięść. Odwraca się energicznie i lustruje Iris od stóp do głów. – Poszli po moje pudło – oświadcza.

Żadnego „Dzień dobry", myśli Iris, żadnego „Jak się masz", żadnego „Dziękuję, że po mnie przyjechałaś". Nic. Czy w tych oczach był jakiś błysk rozpoznania? Czy Esme wie, kim ona jest? Nie ma pojęcia.

– Twoje pudło? – pyta Iris.

– Pudło z depozytu – wtrąca pielęgniarka. – Z wszystkimi rzeczami, które miała z sobą, kiedy tu przyjechała. Niezależnie od tego, jak to było dawno. Ile to lat, Euphemio?

– Sześćdziesiąt jeden lat, pięć miesięcy, cztery dni – recytuje Esme czystym, rytmicznym głosem.

Pielęgniarka chichocze jakby na widok ulubionej sztuczki wykonanej przez psa.

– Ona zapisuje sobie wszystkie dni. Prawda, Euphemio? Potrząsa głową, po czym zniża głos do szeptu. – A tak między nami – mruczy do

ucha Iris – będą mieli szczęście, jeśli je znajdą. Bóg jeden wie, co tu jest. A ona trajkocze o tym od samego rana. Dziwię się, że w ogóle coś pamięta, po tych wszystkich...

Kobieta milknie gwałtownie. Pojawia się mężczyzna w kombinezonie, z pogiętym blaszanym pudłem w rękach.

– Cuda się zdarzają. – Pielęgniarka zaśmiewa się i trąca Iris pod bok.

Iris wstaje i podchodzi do Esme. Esme niezdarnie majstruje przy zamku. Iris wyciąga rękę, odsuwa zaczep i Esme podnosi wieko. Ze środka czuć woń pleśni, jak od starych książek; Esme wkłada rękę do środka. Iris przygląda się, jak wyciąga wysoki, sznurowany, but, z popękanej, brązowej skóry, nieokreślony element garderoby ze spłowiałej tkaniny w niebieską kratkę, chusteczkę z monogramem E wyhaftowanym nierównym ściegiem łańcuszkowym, szylkretowy grzebień, zegarek.

Esme bierze do ręki każdy przedmiot, trzyma go przez sekundę, po czym odrzuca go na bok. Pracuje prędko, z napięciem, ignorując Iris i pielęgniarkę. Iris pochyla się, by podnieść zegarek z podłogi, i widzi, że jego wskazówki stanęły na dziesięć po dwunastej. Właśnie się zastanawia, czy to dwunasta w południe czy o północy, kiedy zauważa, że Esme zagląda do pudła, po czym omiata spojrzeniem odrzucone rzeczy.

– O co chodzi? – pyta Iris.

Esme dopada do sterty i zaczyna ją przetrząsać, odrzucając kolejne przedmioty na bok.

– Czego ty szukasz? – pyta Iris. Podsuwa zegarek. – Tego?

Esme podnosi wzrok, widzi zegarek na wyciągniętej dłoni Iris i kręci głową. Podnosi w górę coś z materiału w niebieską kratkę i Iris widzi teraz, że to sukienka, wełniana sukienka, strasznie zmięta, z dwoma

dziurami po wyrwanych guzikach. Esme potrząsa nią, jakby coś mogło uwięznąć w jej fałdach, ale potem też odrzuca ją na bok.

– Nie ma – mówi. Patrzy kolejno na Iris, na pielęgniarkę, na opiekunkę socjalną, a w końcu na mężczyznę, który przyniósł pudło. – Nie ma – powtarza.

– Czego? – pyta Iris. – Czego tu nie ma?

– Musi być jeszcze jedno pudło. – Esme zwraca się wprost do mężczyzny. – Poszuka go pan?

– Było tylko to jedno – tłumaczy mężczyzna. – Nic więcej.

– Musi być. Jest pan pewien? Sprawdzi pan?

Mężczyzna kręci głową.

– Tylko to jedno – mówi jeszcze raz.

Iris widzi, że Esme jest bliska łez. Wyciąga rękę i dotyka jej ramienia.

– Czego ci brakuje? – pyta.

Esme oddycha głęboko.

– Kawałka... sukna. – Rozciąga ręce, jakby wyobrażała sobie, że ten materiał jest między nimi. – Takiego zielonego... chyba wełnianego.

Wszyscy czworo gapią się na nią przez chwilę. Pielęgniarka wzdycha z ostentacyjnym zniecierpliwieniem, mężczyzna odwraca się w stronę wyjścia.

– Jesteś pewna, że nie ma go tutaj? – pyta Iris.

Podchodzi do pudła i zagląda do środka. Potem podnosi kolejno rzeczy porozrzucane po podłodze. Esme patrzy na nią z twarzą tak pełną nadziei i rozpaczy, że Iris kraje się serce, kiedy stwierdza, że w środku naprawdę nie ma żadnego kawałka zielonego sukna.

Esme siada na krześle, ze zwieszonymi ramionami, i pustym wzrokiem

gapi się w przestrzeń, kiedy Iris podpisuje formularz, kiedy pielęgniarka podaje adres domu noclegowego, do którego Iris zgodziła się zawieźć Esme, kiedy opiekunka socjalna deklaruje, że przyjedzie odwiedzić Esme za kilka dni, kiedy Iris składa sukienkę w niebieską kratkę i owija w nią but, chusteczkę i zegarek.

Obie wychodzą wreszcie na słońce. Iris zerka na Esme i widzi, jak pociera policzek wierzchem dłoni. Zmęczonym, zrezygnowanym ruchem. Nie patrzy na słońce, na drzewa ani na podjazd. W drugiej ręce ściska szylkretowy grzebień. Na dole schodów obraca się w stronę Iris ze zdezorientowaną twarzą.

– Powiedzieli, że tam będzie. Obiecali, że tam go dla mnie schowają.

– Przykro mi – mówi Iris, bo nie wie, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

– Chciałam go mieć – mówi Esme. – I nic więcej. A oni obiecali. – Esme pochyla się do przodu, dotyka deski rozdzielczej. Deska jest rozgrzana od słońca i lekko wibruje. Samochód przejeżdża po garbach na podjeździe i wbija Esme z powrotem w fotel.

Nagle wykręca się całym ciałem w tył. Cauldstone oddala się od niej, jakby coś je ciągnęło za sznurek. Żółte mury z daleka sprawiają wrażenie brudnych i pokrytych smugami, a w oknach nie odbija się nic oprócz nieba. W jego cieniu kręcą się maleńkie figurki ludzi.

Esme siada znów prosto. Przygląda się kobiecie, która siedzi za kierownicą samochodu. Ma włosy przystrzyżone tuż nad karkiem, srebrny pierścionek na kciuku, krótką spódniczkę i czerwone buty zapinane na kostkach. Kobieta marszczy czoło i żuje wnętrze policzka.

– Ty jesteś Iris – mówi Esme. Niby to wie, ale musi mieć pewność. Ta osoba tak dziwnie przypomina jej własną matkę, mimo całej reszty.

Kobieta zerka na nią krótko, z miną, która wyraża... no właśnie co? Jest zła? Nie. Może przejęta. Esme zastanawia się, czym ona się tak przejmuje. Chce ją spytać, ale w końcu tego nie robi.

– Tak – mówi kobieta. – Zgadza się.

Iris, Iris. Esme powtarza sobie to imię, formując kształty liter w głębi zamkniętych ust. To delikatne słowo, niemalże tajemne, prawie nie trzeba poruszać językiem. Na myśl przychodzą jej niebieskofioletowe płatki, mięsisty pierścień oczka.

Kobieta znowu coś mówi.

– Jestem wnuczką Kitty. Przyjechałam cię odwiedzić w zeszłym...

– Tak, tak. Wiem.

Esme przymyka oczy, wystukuje na lewej dłoni trzy potrójne akordy, szuka w myślach czegoś, co mogłoby ją wybawić, ale niczego nie znajduje. Znowu otwiera oczy na światło, na jezioro, na kaczki i łabędzie, bardzo blisko, tak blisko, że czuje, że gdyby wychyliła się z samochodu, to pewnie mogłaby je pogłaskać po ich lśniących skrzydłach, musnąć palcami powierzchnię zimnej wody jeziora.

– Czy w ogóle stamtąd wychodziłaś? – pyta kobieta. – To znaczy od czasu, gdy trafiłaś do...

– Nie – odpowiada Esme. Obraca grzebień w dłoni. Od drugiej strony widać, w jaki sposób ktoś powklejał małe kamyczki do otworów w szylkrecie. Zdążyła już o tym zapomnieć.

– Nigdy? Przez cały ten czas?

Esme znowu obraca grzebień, tym razem ładniejszą stroną do góry.

– Na moim oddziale nie dawali przepustek – tłumaczy. Gdzie jedziemy?

Kobieta wierci się na swoim fotelu. Iris. Robi coś przy lusterku, które zwisa z dachu samochodu. Jej paznokcie, zauważa Esme, są pomalowane na kolor szmaragdowej zieleni, taki sam, jaki mają skrzydła chrabąszczy.

– Zabieram cię do domu noclegowego. Nie będziesz tam długo mieszkała. Tylko do czasu, aż znajdą ci miejsce w jakimś domu opieki.

– Wyjeżdżam z Cauldstone.

– Tak.

Esme o tym wie. Wiedziała o tym od jakiegoś czasu. Ale nie wierzyła, że do tego dojdzie.

– Co to jest dom noclegowy?

– To takie... To takie miejsce, gdzie się śpi. Gdzie się... mieszka. Tam będzie mnóstwo innych kobiet.

– Tam jest tak jak w Cauldstone?

– Nie, nie. Ani trochę.

– Esme opada na oparcie fotela, poprawia torbę na kolanach, patrzy przez okno na drzewo, którego liście są tak czerwone, że wygląda, jakby płonęło. Prędko przetasowuje różne sprawy w swojej głowie. Ogród, Kitty, statek, pastor, ich babka, tamta chusteczka. Wybiera babkę i dom towarowy.

Babka zapowiedziała, że zabierze je do miasta. Przygotowania do tej wyprawy zabierają cały poranek. Esme jest gotowa zaraz po śniadaniu, ale na to wychodzi, że babka ma jeszcze do napisania jakieś listy, następnie musi się naradzić z pokojówką w kwestii herbaty, potem groźba migreny rzuca cień na całe wyjście, trzeba zrobić napar z ziół i zaczekać, aż naciągnie, potem go wypić i zaczekać na efekt. Ishbel „odpoczywa", wyjaśniła im babka, i muszą się zachowywać „cicho jak myszki". Esme i

Kitty spacerują po ścieżkach w ogrodzie tak długo, że z zimna nie czują nóg, potem sprzątają swój pokój, szczotkują sobie wzajem włosy, po sto pociągnięć szczotką, jak im przykazała babka, w ogóle robią wszystko, co im tylko wpadnie do głowy. Esme proponuje potajemną wyprawę na wyższe piętra – wyszpiegowała wcześniej schody biegnące w górę i słyszała raz, jak pokojówka mówiła coś o poddaszu – ale Kitty po namyśle stwierdza, że nie. Dlatego teraz Esme garbi się przy pianinie, wygrywa kilka gam molowych jedną ręką. Kitty siedzi w fotelu obok i błaga, żeby przestała.

– Zagraj coś ładnego, Es. Zagraj to, co idzie: taa-tam.

Esme uśmiecha się, prostuje plecy, podnosi ręce i opuszcza je do pierwszego, emfatycznego akordu *Scherza b-moll* Chopina.

– Moim zdaniem nigdy nie pójdziemy – mówi podczas pauzy, taktując ją sobie skinieniem głowy.

– Nie gadaj tak – jęczy Kitty. – Pójdziemy. Podsłuchałam, jak babcia mówiła, że wyglądamy jak żebraczki i ona nie może znieść tego wstydu.

– Esme parska śmiechem.

– Rzeczywiście, straszny wstyd – mruczy, wybijając palcami kaskadę akordów. – Nie jestem pewna, czy polubię Edynburg, skoro brak płaszcza jest tutaj uważany za powód do wstydu. Może powinnyśmy uciec na kontynent. Na przykład do Paryża albo...

– Niewykluczone, że już w życiu nie wyjdziemy z tego domu – stwierdza Kitty – a co dopiero mówić o wyprawie do...

Drzwi otwierają się gwałtownie. Na progu stoi ich babka, olśniewająca w swym płaszczu podbitym futrem, z pojemną torbą w ręce.

– Co to za potworny zgiełk? – pyta podniesionym tonem.

– To Chopin, babciu – tłumaczy Esme.

– Tak to brzmi, jakby sam diabeł wleciał do komina. Nie życzę sobie czegoś takiego w moim domu, słyszycie mnie? Nie mówiąc o tym, że wasza biedna matka próbuje odpocząć. No już, szykujcie się, dziewczęta. Wychodzimy za pięć minut.

Babka maszeruje tak żwawo, że Kitty i Esme muszą truchtać, by dotrzymać jej kroku. Przez całą drogę mamrocze pod nosem, na temat sąsiadów, obok których przechodzą, że sądząc po niebie, zanosi się na deszcz, że szkoda, że Ishbel nie mogła iść z nimi, że to wielka tragedia stracić syna, że Ishbel wyposażyła je w takie nędzne ubrania.

Na przystanku tramwajowym odwraca się, by na nie spojrzeć. Z ust wyrywa jej się jakiś dźwięk i chwyta się za gardło, jakby Esme wyszła z domu nago.

– Gdzie twój kapelusz, dziecko?

Esme odruchowo podnosi dłonie do głowy, obmacuje włosy.

– Ja... ja nie... – Zerka na Kitty w poszukiwaniu pomocy i zauważa ze zdumieniem, że siostra ma na głowie jakiś szary beret. Skąd ona go wzięła i skąd wiedziała, że trzeba go włożyć?

Babka wzdycha mocarnie. Zwraca oczy ku niebu i mruczy coś o próbach i krzyżach, które człowiek stale musi dźwigać.

Zostają zaprowadzone do Jennersa na Princes Street. Mężczyzna w cylindrze przytrzymuje dla nich drzwi i pyta:

– Który dział, madame?

Potem asystentka prowadzi je długo przez całe piętro, gdzie w przejściach między stoiskami tańczą i wirują manekiny. Esme zadziera głowę i widzi balkony, stosy balkonów nasadzonych jedne na drugie,

niczym sznurkowe pierścienie nadziane na palik na statku. W windzie Kitty po omacku znajduje rękę Esme i ściska ją, kiedy drzwi się otwierają.

Dział z damską odzieżą jest zdumiewający. Esme i Kitty przez całe życie ubierały się wyłącznie w bawełniane sukienki, a tutaj widzą staniczki, kamizelki, pończochy, skarpetki, spódnice, halki, kilty, swetry z wzorem z Fair Isle, bluzki, kapelusze, szaliki, płaszcze, narzutki i najwyraźniej wszystko to można od razu na siebie włożyć. Esme wyszukuje sobie jakiś komplet i pyta w jakiej kolejności co się wkłada. Sprzedawczyni patrzy na ich babcię, która zrezygnowanym ruchem kręci głową.

– One są z kolonii – wyjaśnia.

– Proszę tu podpisać. – Mężczyzna za szybą ze wzmacnianego szkła podsuwa w jej stronę książkę meldunkową domu noclegowego i wskazuje gestem pióro.

Iris bierze pióro do ręki, a jednak się waha, z końcówką wycelowaną w książkę.

– Czy to nie ona powinna? – pyta przez szybę.

– Co?

– Spytałam, czy to nie ona powinna? – Iris wskazuje Esme, która siedzi na plastikowym krześle obok drzwi, trzymając się kurczowo za kolano. – Przecież to ona tu zamieszka, czy nie ona powinna się podpisać?

Mężczyzna ziewa i potrząsa gazetą.

– A jaka to różnica?

Iris przygląda się gryzmołom w książce i długopisowi przymocowanemu do ściany łańcuszkiem. Kątem oka widzi nastolatkę,

która siedzi w niedbałej pozie na krześle obok. Pochyla się nad czymś w skupieniu, włosy zakrywają jej twarz. Iris przygląda się bardziej uważnie. Dziewczyna w jednej ręce trzyma długopis i otacza kółkiem z niebieskiego tuszu każde znamię, każdą skazę, każdy siniec na drugiej ręce. Iris odwraca wzrok. Odkasłuje. Jakoś trudno jej pozbierać myśli. Wie, że powinna o coś spytać, zdobyć jakieś wyjaśnienia, ale nie ma pojęcia, od czego zacząć. Nachodzi ją silna pokusa, żeby zadzwonić do Aleksa. Chciałaby usłyszeć jego głos, powiedzieć mu: jestem już w tym domu noclegowym i co mam teraz robić?

– Mhm... ja... – zaczyna Iris. Odkłada długopis. Sama nie wie, co zaraz powie. – Czy możemy obejrzeć pokój? – Tylko na tyle ją stać.

– Jaki pokój?

– Pokój – powtarza Iris, nabierając teraz pewności siebie. – Ten, w którym będzie spała.

Mężczyzna opuszcza gazetę na kolana.

– Pokój? – cedzi. – Chcecie zobaczyć pokój? Ej! – Wychyla się ze swojego krzesła, wołając do kogoś. – Ej! Jest tu laska, która chce zobaczyć pokój, zanim się zamelduje!

Słychać wybuch śmiechu i zza drzwi wyłania się głowa jakiejś kobiety.

– Co ty sobie myślisz? – pyta mężczyzna. – Że to jakiś Ritz? – Znowu słychać śmiech, po czym znienacka, bez ostrzeżenia, mężczyzna przestaje się śmiać, wychyla się zza swojego biurka i warczy: – Czego?

Przestraszona Iris podskakuje w miejscu.

– Ty! – Recepcjonista wstaje teraz z miejsca i stuka w szybę. – Ty masz zakaz. Wynocha!

Iris odwraca się i widzi kobietę z gęstymi, tlenionymi włosami, w

brudnej wojskowej kurtce, która przemyka się chyłkiem obok recepcji, z rękoma wsuniętymi głęboko w kieszenie.

– Znasz zasady – krzyczy mężczyzna. – Żadnych igieł. Tak pisze na drzwiach, jasno i wyraźnie. Więc się wynoś.

Kobieta gapi się na niego przez długą chwilę, po czym wybucha jak fajerwerk, gestykulując, wykrzykując długie i potoczyste strumienie przekleństw. Mężczyzna jest nieporuszony. Siada z powrotem i podnosi gazetę. Kobieta, z braku odbiorcy swojego gniewu, napada na nastolatkę z długopisem.

– Z czego się, kurwa, tak śmiejesz? – krzyczy.

Nastolatka odgarnia włosy z oczu i mierzy ją wzrokiem od stóp do głów.

– Z niczego – mówi śpiewnym głosem.

Kobieta robi krok naprzód.

– Pytałam cię – naciera groźnym głosem – z czego się, kurwa, tak śmiejesz?

Dziewczyna zadziera podbródek.

– A ja powiedziałam, że z niczego. Czy może jesteś nie tylko zapruta, ale i głucha?

Iris zerka na Esme, która siedzi z twarzą zwróconą ku ścianie, zakrywając uszy rękoma. Iris musi przestąpić przez plecak nastolatki, żeby do niej dojść. Bierze ją pod ramię, podnosi jej torbę i wyprowadza za drzwi.

Dopiero na chodniku Iris zaczyna się zastanawiać, co właściwie zrobiła i co ma zrobić teraz, kiedy Esme nagle przystaje.

– Wszystko w porządku – uspokaja ją Iris. – Wszystko w porządku, nie

będziesz...

Widzi jednak, że na twarz Esme zakrada się jakiś dziwny wyraz. Że Esme przygląda się niebu, budynkom, temu, co jest po drugiej stronie ulicy. Jej rysy rozjaśniają się i jednocześnie dziczeją. Obraca się w jedną stronę, potem w drugą.

– Wiem, gdzie jestem! – wykrzykuje. – To... – znowu się obraca i pokazuje palcem – ... tam jest Grassmarket, o tam.

– Zgadza się. – Iris przytakuje.

– A tamtędy się idzie do Royal Mile – ciągnie z podnieceniem Esme – i do Princes Street. A tam – znowu się obraca – jest Arthur's Seat.

– Zgadza się.

– Pamiętam – mruczy. Przestała się już uśmiechać. Opatula się szczelnie płaszczem. – Jest tak samo. Ale inaczej.

Iris i Esme siedzą w samochodzie zaparkowanym przy ulicy. Esme zapina pas, potem go odpina i za każdym razem, kiedy go odpina, podnosi go blisko do twarzy, jakby szukała na nim jakichś wskazówek.

– Szpital – mówi Iris do nadzwyczaj nieżyczliwej kobiety z informacji telefonicznej. – Chyba szpital „Cauldstone". A może „szpital psychiatryczny"? Proszę sprawdzić pod „psychiatryczny"... Nie ma? A szukała pani pod „Cauldstone"?... Nie, jedno słowo... Tak. C-A... Nie. D. Tak jak „debil" ... Tak, zaczekam.

Esme zostawia w spokoju pas i wdusza na chybił trafił jeden z podświetlonych przełączników na desce rozdzielczej. Samochód wypełnia się dźwiękami przypominającymi ćwierkanie świerszczy. Esme wydaje się zachwycona, bo uśmiecha się, wdusza jeszcze raz, przez co hałas ustaje,

odczekuje chwilę, po czym znowu wdusza przełącznik.

– Naprawdę? – pyta Iris. – A może spróbuje pani po prostu pod „szpital"?... Nie, nie wszystko jedno jaki. Szukam konkretnie tego. Tak. – Iris czuje, że jest jej niesamowicie gorąco. Żałuje, że oprócz płaszcza ma na sobie jeszcze sweter. Wyciąga rękę i nakrywa przycisk dłonią. – Mogłabyś tego nie robić? – mówi do Esme, po czym musi dodać: – Nie, nie, to nie do pani – do kobiety z informacji, której magicznym sposobem udaje się odszukać w systemie Cauldstone i która teraz pyta Iris, czy chce telefon do izby przyjęć, do przychodni przyszpitalnej, do informacji czy też na oddział opieki całodobowej.

– Do informacji – mówi Iris, prostując się, cała teraz ożywiona. Ten koszmar zaraz się skończy. Spyta Cauldstone, dokąd powinna zabrać Esme w następnej kolejności, a jeśli się nie da, to odwiezie ją z powrotem do nich. Proste jak drut. Zrobiła więcej, niż do niej należało. Słyszy sygnał połączenia, a potem listę opcji. Przyciska guzik, słucha, przyciska następny, znowu słucha; słuchając, zauważa, że Esme otworzyła drzwi samochodu i wysiada na zewnątrz.

– Zaczekaj! – wrzeszczy Iris. – Gdzie idziesz?

Otwiera drzwi po swojej stronie i wypada niezdarnie z samochodu, wciąż trzymając przy uchu telefon, z którego leci nagrany komunikat, bodajże coś o tym, że biura są teraz zamknięte, że godziny urzędowania są między dziewiątą rano a piątą po południu, że ma zadzwonić w tych godzinach albo zostawić wiadomość po usłyszeniu sygnału.

Esme wędruje dziarsko po chodniku, z głową wykrzywioną ku górze. Zatrzymuje się przy przejściu dla pieszych, pod pikającymi światłami; staje na palcach, by móc się lepiej przyjrzeć migoczącej figurce zielonego

człowieczka.

– Jestem w Grassmarket, z Es... z Euphemią Lennox mówi Iris, starając się, by jej głos brzmiał jak najbardziej spokojnie i asertywnie, mimo że jednocześnie biegnie po chodniku. – Dom noclegowy, do którego nas posłaliście, jest zwyczajnie nieodpowiedni. Ona nie może tam zostać. To miejsce absolutnie się nie nadaje i jest pełne... pełne... Ona nie może tam mieszkać. Wiem, że to moja wina, bo to ja ją wypisałam ze szpitala, ale... – mówi w momencie, gdy już dogania Esme i łapie ją za połę płaszcza – chciałabym, żeby ktoś do mnie zadzwonił, bo odwożę ją do was. Właśnie teraz. Dziękuję. Do widzenia.

Iris rozłącza się, łapiąc oddech.

– Esme – mówi – wsiadaj do samochodu.

Oddalają się od Grassmarket, kierując się na południe, z dala od centrum, przedzierając się mozolnie przez zatłoczoną jezdnię, bo jest już godzina szczytu. Esme siedzi na swoim miejscu, kręcąc głową, by móc obejrzeć wszystko, co mijają po drodze: cmentarz, mężczyznę z psem, supermarket, kobietę z wózkiem dziecięcym, kino, przed którym stoi kolejka.

Kiedy Iris wjeżdża na drogę prowadzącą do szpitala, Esme gwałtownie obraca głowę w jej stronę.

– To przecież... – Urywa. – To jest Cauldstone.

Iris przełyka ślinę.

– Tak, wiem. Ja... Zrozum, nie mogłam cię zostawić w tym domu noclegowym – próbuje wytłumaczyć. – Dlatego...

– A ja myślałam, że stąd wyjeżdżam – mówi Esme. – Powiedziałaś, że wyjeżdżam.

Iris parkuje samochód, zaciąga ręczny hamulec. Musi zwalczyć pokusę, by przycisnąć czoło do kierownicy. Wyobraża sobie jej chłodny, gładki dotyk na skórze.

– To prawda, tak powiedziałam. I wyjedziesz stąd na pewno. Ale problem jest taki, że...

– Powiedziałaś. – Esme zamyka oczy, z całej siły zaciskając powieki, i pochyla głowę. – Obiecałaś – dodaje niemal niesłyszalnie i mnie dłońmi materiał swojej sukni.

Nie chce wysiąść. Nie wysiądzie. Będzie tak tu siedziała, na tym fotelu, w tym samochodzie; będą musieli ją zawlec, jak za pierwszym razem. Nabiera powietrza do płuc i wypuszcza je, wsłuchując się w ten kojący dźwięk. Ale dziewczyna obchodzi samochód od przodu, otwiera drzwi po jej stronie, sięga po torbę, kładzie dłoń na ramieniu Esme. Robi to delikatnie.

Esme wypuszcza sukienkę i z zainteresowaniem przygląda się tkaninie, która pozostaje wybrzuszona, ułożona w pagórki, mimo że już jej nie trzyma w palcach. Wciąż czuje dotyk na swoim ramieniu, wciąż delikatny dotyk, i mimo to, mimo wszystko, wie, że ta dziewczyna – ta dziewczyna, która pojawiła się znikąd, i to po tak długim czasie – zrobiła, co mogła. Esme naprawdę to rozumie i zastanawia się przez chwilę, czy istnieje sposób, w jaki mogłaby to zakomunikować. Prawdopodobnie nie.

Dlatego w końcu przerzuca nogi w bok i kiedy słyszy zgrzytanie żwiru pod swoimi stopami, stwierdza, że zbiera jej się na płacz. Co jest dziwne. Popycha drzwi samochodu, żeby je zamknąć, i ten przyjemny, głuchy łomot pomaga jej się wyzbyć tego uczucia. Nie myśli w ogóle o niczym,

nie myśli i już, kiedy wchodzą po schodkach, a potem do hallu i znowu widzą marmurową posadzkę hallu wejściowego – czarne białe czarne białe czarne białe – i to jest zdumiewające, że nic się nie zmieniło, że nadal jest tam źródełko z wodą do picia, wyłożone zielonymi płytkami, osadzone w ścianie, o czym zapomniała, tylko jak mogła zapomnieć, skoro przecież pamięta, jak jej ojciec pochylił się nad...

Dziewczyna rozmawia z nocnym portierem, który mówi jej, że nie. Jego usta układają się w owalny kształt, głowa mu chodzi jak wahadło, w lewo, w prawo, w lewo, w prawo. Mówi, że nie. Mówi, że nie jest upoważniony. A dziewczyna gestykuluje. Wydaje się spięta, jej ramiona są zgarbione, czoło pomarszczone. I Esme widzi, co może się stać. Zamyka usta, zwiera gardło, splata dłonie i robi to coś, co wyćwiczyła do perfekcji. Jej specjalność. Wyłączyć się, sprawić, że znikasz. Panie i panowie, przypatrzcie się! Najważniejsze to zupełnie znieruchomieć. Nawet oddychanie może im przypomnieć, że tu jesteś, więc tylko bardzo krótkie, bardzo płytkie oddechy. Tylko tyle, by się utrzymać przy życiu. I nic więcej. Potem należy myśleć o sobie jako o czymś bardzo długim. A to już jest trudne. Wyobrażasz sobie, że się rozciągnęłaś i schudłaś, że stałaś się niemalże przezroczysta. Koncentrujesz się. Porządnie koncentrujesz. Musisz osiągnąć taki stan, w którym twoja istota, to w tobie, co sprawia, że jesteś, kim jesteś, to, co sprawia, że się wyróżniasz, że jesteś trójwymiarowa, wypływa przez czubek twojej głowy, aż wreszcie, panie i panowie, aż wreszcie jest tak, że...

Wychodzą. Dziewczyna się odwraca. Ma na imię Iris. Jest wnuczką. Podnosi torbę za ucha, mówi coś do portiera ponad ramieniem. Coś niegrzecznego, zdaniem Esme, coś ostatecznego, i Esme ma ochotę

podziękować oklaskami, bo nigdy nie lubiła tego człowieka. Ten człowiek gasi światło w świetlicy bardzo wcześnie, za wcześnie, przez co muszą wracać do sal, dlatego więc Esme go nie cierpi i sama chciałaby powiedzieć mu coś niegrzecznego, ale tego nie robi. Tak na wszelki wypadek. Bo nigdy nic nie wiadomo.

A teraz idą z powrotem po żwirze w stronę samochodu i Esme tym razem słucha. Idzie powoli. Chce czuć te ukłucia, napór każdego ziarnka żwiru pod butem. Chce słyszeć każdy chrobot, poczuć nawet najdrobniejszy ból swojego pożegnalnego marszu.

... oczywiście nigdy się o tym nie rozmawiało. To znaczy o tym synu, o chłopcu, który umarł. To była tragedia. Zakazano nam poruszać ten temat. Esme jednakże uparcie chciała o nim rozmawiać, ciągle mówiła, a pamiętasz to, pamiętasz tamto, Hugo to, Hugo tamto. I pewnego dnia, podczas lunchu, kiedy nagle zaczęła wspominać tamten dzień, kiedy nauczył się raczkować, babka uderzyła dłonią w stół. Dosyć tego, zagrzmiała. Ojciec musiał zabrać Esme do swojego gabinetu. Nie mam pojęcia, co jej tam powiedział, ale kiedy stamtąd wróciła, była bardzo blada, bardzo zdenerwowana, trzęsły jej się usta i miała ręce założone na piersi. Już nigdy więcej o nim nie mówiła, nawet tylko przy mnie, bo tamtej nocy powiedziałam jej, że ja też nie chcę już o nim więcej słyszeć. Widzicie, miała taki nawyk, że mówiła o nim nocami, kiedy leżałyśmy same w łóżku. Zdawała się przyjmować to jak wszystko: za bardzo do serca. Podczas gdy tak naprawdę osobą, która potrzebowała naszego współczucia, była matka. Słowo daję, nie mam pojęcia, jakim sposobem matka to zniosła, zwłaszcza po tych wszystkich...

... i dlatego je wzięłam. Zrobiłam to. I nikt się nigdy nie dowiedział, dlatego sądzę...

... i Esme zaczęła wtedy mieć te dziwne momenty. Czy też „napady", jak je nazywała matka. Ma jeden ze swoich napadów, mówiła po drugiej stronie pokoju, po prostu ją ignorujcie. Podchodziło się do niej, gdziekolwiek siedziała, czy to przy pianinie, czy to przy herbacianym stoliku, czy to przy oknie, bo zawsze lubiła siedzieć przy oknie, i widziało się, że jest jak ta mechaniczna, dziecięca zabawka, której nikt nie nakręcił. Kompletnie nieruchoma, wręcz zastygła w bezruchu. Ledwie oddychała. Gapiła się w przestrzeń, choć tak naprawdę to sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nic nie widziała. Można było do niej mówić, wołać ją po imieniu, a ona i tak cię nie słyszała. Człowiek dziwnie się wtedy czuł, kiedy na nią patrzył, a ona znajdowała się w takim stanie. Babka twierdziła, że to nienaturalne, że ona wygląda jak jakiś opętaniec. I muszę wyznać, że chcąc nie chcąc, coraz bardziej się z nimi zgadzałam. Była w wieku, w którym człowiek ma już swój rozum. Kitty, na litość boską, mówiła matka, obudź ją z tego, zechcesz być taka miła? Trzeba było jej dotknąć, czasami nią potrząsnąć, i to mocno, zanim się ocknęła. Matka kazała mi się dowiedzieć, co jest tego przyczyną, i rzeczywiście spytałam, ale oczywiście za nic nie mogłam tego powtórzyć, bo...

... i Esme uparcie twierdziła, że to nie jest jej blezer. Wyszłam po nią na tramwaj, o właśnie, bo przy śniadaniu tamtego ranka mówiła, że czuje się źle, że boli ją głowa czy coś tam, nie wiem, rzeczywiście była strasznie blada i włosy miała rozpuszczone, kto wie, co się stało ze wszystkimi spinkami, które w nie wpięła, żeby jej w szkole nie opadały na twarz. Nie sądzę, żeby przesadnie lubiła szkołę. I powiedziała, że to nie jest jej blezer.

Że on należy do kogoś innego. No cóż. Wywróciłam kołnierz i zwróciłam jej uwagę, popatrz, tu jest twoje imię, to twój...

... bo mi odpowiedziała, rozmyślam o nim. Zupełnie się nie połapałam, o kim mówi. O nim, spytałam, to znaczy o kim? A ona spojrzała na mnie, jakbym powiedziała, że jej nie znam. O Hugonie, odparła takim tonem, jakby to było oczywiste, jakbym miała chwytać w lot wszystkie jej myśli, i wyznam szczerze, że przeżyłam szok, kiedy znowu usłyszałam to imię, po tak długim czasie. Powiedziała mi, czasami tam wracam, myślami, do biblioteki, do tego dnia, kiedy wy wszyscy wyjechaliście i ja tam byłam z... a ja wtedy musiałam ją uciszyć. Przestań, powiedziałam, ciii. Bo nie mogłam tego znieść. Ja nawet nie potrafiłam o tym myśleć. Przycisnęłam dłonie do uszu. Jak można myśleć o czymś tak strasznym. Mówią, że była tam sama przez trzy dni, razem z... Nieważne. Nie ma sensu rozmyślać o tych sprawach. Powiedziałam jej to. A ona wtedy odwróciła głowę, wyjrzała za okno i odparła, ale co, jeśli nic na to nie można poradzić? Milczałam. No bo co mogłam powiedzieć? Głowę miałam zaprzątniętą myśleniem, przecież nie mogę powtórzyć tego matce, więc co ja mam powiedzieć zamiast tego, bo nawiasem mówiąc, kłamanie ani trochę nie leży w mojej naturze, więc...

... a Robert tylko wzruszył ramionami. Cały czas nosił swoją córeczkę, Iris, na barana, a Iris się śmiała, próbując dosięgnąć żyrandola, a ja wtedy powiedziałam, uważaj, żebyś się nie uderzyła w głowę. Po części, przyznaję to, bałam się o żyrandol. Dopiero co kazałam go wyczyścić i to było takie trudne, zdobyć człowieka, który wyjął deski w podłodze na górze i opuścił żyrandol na szmatę. Drabiny, szczotki i młodzieńcy w kombinezonach, całymi dniami łomotali buciorami po hallu. Ale Robert

powiedział: Nie bój się, ona nie jest ze szkła. A ja mu na to, nie spuszczając z niej wzroku, bo to takie śliczne stworzonko, zawsze taka była i uwielbia mnie odwiedzać, zawsze biegnie ścieżką na mój widok i woła: Babcia! Babcia! No co ty, powiedziałam, nie jest ze szkła, kto by pomyślał...

... a wtedy podniosła szklankę ze stolika i cisnęła nią o podłogę, trzask. Ja kuliłam się na fotelu. Tupnęła nogą, jak Titelitury, i krzyknęła: Nie pójdę tam, nie pójdę, nie zmusisz mnie, nienawidzę go, gardzę nim. Nie odważyłam się spojrzeć na okruchy szkła na dywanie. Matka była taka opanowana. Odwróciła się w stronę pokojówki, która stała pod ścianą, i powiedziała: Zechciej podać pannie Esme nową szklankę, po czym odwróciła się do ojca i...

Iris stawia torbę Esme przy łóżku w zapasowym pokoju, przerobionym na rupieciarnię. Nie do końca wierzy, że to się dzieje naprawdę. Do jej skroni kołacze zapowiedź migreny; ma ochotę iść do salonu i położyć się na podłodze.

– Będzie ci tu dobrze – mówi, bardziej po to, by uspokoić samą siebie. – Trochę tu ciasno, ale to przecież tylko na te parę nocy. Załatwimy coś w poniedziałek. Zadzwonię do tej kobiety z opieki społecznej i... – Urywa, bo dociera do niej, że Esme coś mówi.

– ... pokój pokojówki – mówi Esme.

Iris czuje przypływ irytacji.

– Niestety, niczego więcej tu nie ma – mówi ze złością. Owszem, mieszkanie jest małe, ale ona je lubi i ma ochotę przypomnieć tej osobie, że może wybierać wyłącznie między rupieciarnią a domem noclegowym z

piekła rodem.

– Kiedyś był zielony.

Iris przysuwa krzesło z powrotem do ściany, prostuje kołdrę.

– Co było zielone?

– Ten pokój.

Iris przestaje bawić się kołdrą. Prostuje się i patrzy na Esme, która stoi przy drzwiach, gładząc dłonią gałkę.

– Mieszkałaś tutaj? – pyta Iris, nie posiadając się ze zdumienia. – W tym domu?

– Tak. – Esme kiwa głową i dotyka ściany. – Mieszkałam.

– Nie... nie miałam pojęcia. – Iris czuje, że z jakichś powodów ogarnia ją wściekłość. – Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Kiedy?

– Kiedy... – Iris zastanawia się nerwowo. O co właściwie jej chodzi? – ... Kiedy przyjechałyśmy – mówi szorstko.

– Nie pytałaś.

Iris robi głęboki wdech. Nie umie do końca pojąć, jak do tego wszystkiego doszło: jak to się stało, że w jej zapasowym pokoju będzie spała jakaś zapomniana, być może szurnięta staruszka. Co ona z nią zrobi? Jak ona przetrwa ten czas do poniedziałkowego poranka, kiedy nawiąże kontakt z Cauldstone, z opieką społeczną czy kim tam i coś z nimi załatwi? A jeśli stanie się coś strasznego?

– To było kiedyś poddasze – mówi Esme.

– Tak. Zgadza się. – I w tym momencie Iris nagle nie może ścierpieć tonu własnego głosu. Że z taką protekcjonalną emfazą przyznaje rację tej kobiecie: Ależ tak, to było kiedyś poddasze domu, w którym się

wychowałaś i z którego cię siłą wywieźli. Iris szuka jak oszalała w swoich wspomnieniach czegokolwiek, co jej babka mogła opowiadać o tamtych czasach. Jak to możliwe, że nigdy nie wspomniała o własnej siostrze? – A więc mieszkałaś tutaj po powrocie z Indii? – pyta Iris, żeby w ogóle coś powiedzieć.

– Mieszkałam, ale to wcale nie był powrót. Nie dla mnie i Kitty. My się tam urodziłyśmy.

– Fakt.

– Ale był dla moich rodziców. To znaczy powrót. – Esme znowu rozgląda się po pokoju, dotyka framugi drzwi.

– Kitty kazała podzielić cały dom na mniejsze mieszkania – zaczyna Iris, bo czuje, że jest winna tej kobiecie jakieś – wytłumaczenie. – Powstało to i jeszcze dwa, tyle że większe. Nie pamiętam kiedy. Sama przez wiele lat mieszkała w mieszkaniu na parterze. Wszystko zostało sprzedane, żeby było czym opłacić opiekę nad nią. Z wyjątkiem tego mieszkania, które zapisała na mnie. Odwiedzałam ją, kiedy byłam mała, w czasie, kiedy dom stanowił jeszcze jedną całość. Był ogromny. I był przy nim wielki ogród. Piękny ogród. – Iris urywa, bo dociera do niej, że bełkocze.

– O tak, piękny. Moja matka lubiła w nim pracować.

Iris nerwowym ruchem odgarnia pasmo włosów z oczu. Nie rozumie tej dziwnej sytuacji. Dorobiła się krewnej. Krewnej, która zna jej dom lepiej niż ona sama.

– Który pokój należał do ciebie? – pyta.

Esme obraca się. Pokazuje palcem.

– Piętro niżej. Ten od ulicy. Mieszkałam w nim razem z Kitty.

Iris wykręca numer brata.

– Alex, to ja. – Niesie aparat do kuchni i zamyka kopniakiem drzwi. – Posłuchaj, ona tu jest.

– To znaczy kto? – pyta Alex. Jego głos tak brzmi, jakby znajdował się bardzo blisko. – I dlaczego szepczesz?

– Esme Lennox.

– Kto?

Iris wzdycha z rozdrażnieniem.

– Czy tobie zdarza się słuchać tego, co ci mówię? Esme...

– Mówisz o tej obłąkanej?! – wykrzykuje Alex.

– Tak. Ona tu jest. W moim mieszkaniu.

– Jakim cudem?

– Bo... – Iris musi się zastanowić. Dobre pytanie. Dlaczego ona tu jest? – Bo nie mogłam jej zostawić w tej melinie.

– O czym ty gadasz?

– O noclegowni.

– Jakiej znowu noclegowni?

– Nieważne. Słuchaj... – Iris przyciska czubki palców do czoła i robi kilka okrążeń wokół stołu kuchennego. – Co ja mam robić?

Następuje chwila milczenia. W tle słychać odgłosy z biura Aleksa, dźwięki telefonów, ktoś coś krzyczy na temat maili.

– Iris, ja nic nie rozumiem – odzywa się wreszcie Alex. – Co ona robi w twoim mieszkaniu?

– Musiałam coś z nią zrobić! Nie miała dokąd pójść. Co miałam zrobić?

– Ale to przecież idiotyzm. Nie jesteś za nią odpowiedzialna. Skontaktuj się z miastem albo coś.

– Al, ja...

– Ona jest niebezpieczna?

Iris już ma powiedzieć, że nie, kiedy dociera do niej, że nie ma pojęcia. Stara się nie myśleć o słowach, które przeczytała do góry nogami w aktach Lasduna. Dwubiegunowe. Elektrowstrząsowa. Rozgląda się dookoła. Wieszak z nożami na ścianie, palniki, zapałki na blacie. Odwraca się, staje twarzą do tej ściany, na której nie ma nic.

– Nie... wydaje mi się, że nie.

– Wydaje ci się? To ty nie spytałaś?

– Ano nie... Nie myślałam jasno.

– Jezu Chryste, Iris, przygarnęłaś wariatkę, o której nic nie wiesz.

Iris wzdycha.

– Ona nie jest wariatką.

– Jak długo tam była?

Iris znowu wzdycha.

– Nie wiem – mruczy. – Sześćdziesiąt lat czy coś koło tego.

– Iris, nie puszkują ludzi na sześćdziesiąt lat za nic. – Iris słyszy, że ktoś w biurze woła go po imieniu. – Posłuchaj – mówi Alex. – Muszę iść. Zadzwonię później, OK?

– OK. – Rozłącza się i kładzie obie dłonie na blacie. Słyszy skrzypienie podłogi, lekkie kroki, chrząknięcie. Zadziera głowę i zerka na rząd noży.

Bywa, że się zastanawia, jak miałaby wytłumaczyć istnienie Aleksa w jej życiu, gdyby musiała. Od czego by zaczęła? Czy powiedziałaby, dorastaliśmy razem? Czy powiedziałaby, ale nie łączą nas więzy krwi?

Czy powiedziałaby, że w torebce nosi kamyk, który Alex dał jej dobre dwadzieścia lat wcześniej? I że on o tym nie wie?

Mogłaby powiedzieć, że zobaczyła go po raz pierwszy, kiedy on miał sześć lat, a ona pięć. Że prawie nie zna życia bez niego. Że pewnego dnia pojawił się przed jej oczyma i od tego czasu już zawsze tam był. Że pamięta tamten pierwszy raz, kiedy usłyszała jego imię.

Siedziała w wannie. Obok była jej mama, która siedziała na posadzce łazienki i obie rozmawiały o koleżance Iris z jej klasy i w samym środku tej rozmowy, która bardzo się Iris podobała, mama spytała nagle, czy Iris pamięta pana, który ma na imię George. Zabrał je na wycieczkę tydzień wcześniej i pokazał Iris, jak się puszcza latawce. Pamięta to jeszcze? Iris pamiętała, ale się nie przyznała. I matka powiedziała wtedy, że George wprowadzi się do ich mieszkania w następnym tygodniu, i liczy, że Iris to się spodoba, że polubi George'a. A potem zaczęła polewać wodą jej ramiona.

– Może – dodała – powinnaś nazywać George'a wujkiem.

Iris przyglądała się strugom wody, które rozszczepiały się na jej skórze, tworząc cienkie strumyczki. Ściskała myjkę w dłoniach, aż zrobiła się z niej twarda, mokra kulka.

– Ale to przecież nie jest mój wujek – powiedziała, wsadzając myjkę z powrotem do gorącej wody.

– To prawda.

Matka przysiadła na piętach i sięgnęła po ręcznik Iris. Iris zawsze miała czerwone ręczniki, a matka fioletowe. Iris właśnie się zastanawiała, jakiego koloru będzie używał George, kiedy matka odkaszlnęła i powiedziała:

– George przyprowadzi z sobą małego chłopca. Ma na imię Alexander i prawie tyle samo lat co ty. Czy to nie sympatyczne? Wpadłam na pomysł, że pomożesz mi wysprzątać wolny pokój dla niego. Co ty na to?

Iris siedziała pod kuchennym stołem, kiedy przyjechał George z synem. Ściągnęła nisko obrus i siedziała tam po turecku, czekając. W fałdach spódnicy ukryła trzy pierniczki. Na wypadek gdyby George się spóźnił. Bo bardzo długo się nie pojawiał. Powiedziała to matce, na co matka stwierdziła: „Wszystko w porządku, kotuś" i dalej obierała marchewki.

Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, Iris wsadziła dwa pierniczki do ust. Po jednym do każdego policzka. I został jej już tylko jeden na sytuację awaryjną, ale miała to gdzieś. Usłyszała, że matka otwiera drzwi, że mówi „witajcie", z dziwacznym akcentem – wi-taj-cie! – a potem jeszcze dodaje, jak miło cię znowu zobaczyć, Alexander, wchodź, wchodź. Iris pozwoliła sobie raz ruszyć szczęką. Więc mama widziała go już wcześniej?

Iris ułożyła się na brzuchu. W takiej pozycji mogła swobodnie wyglądać pod skrajem obrusa na zewnątrz i widziała wyraźnie kuchenne linoleum, kanapę, drzwi do hallu. I w tych drzwiach pojawił się mężczyzna. Miał kręcone rudawe włosy, zieloną marynarkę z łatami na łokciach, a w ręce trzymał bukiet kwiatów. Te kwiaty to były neriny. Iris wiedziała dużo o kwiatach. Jej ojciec ją nauczył.

Właśnie rozmyślała o ojcu, o ich wspólnych spacerach po ogrodzie, kiedy zobaczyła tego chłopca. Rozpoznała go natychmiast. Widziała go już wcześniej. Widziała go wcześniej mnóstwo razy. Na ścianach kościołów we Włoszech, do których matka zabrała ją poprzedniego lata. Wszędzie, gdziekolwiek się spojrzało, wizerunki aniołów na ścianach. Ze skrzydłami, harfami i powiewającymi kawałkami tkanin. Alexander miał

to samo wytrzeszczone, niebieskie spojrzenie, kręcone, jasne włosy, delikatne palce. To właśnie w jednym z tych kościołów matka powiedziała jej o ojcu. Iris, powiedziała, twój ojciec umarł. Kochał cię, powiedziała. To nie była niczyja wina, powiedziała. Siedziały w ławce, na tyłach kościoła z dziwnymi oknami. Nie było w nich szyb ze szkła, tylko z jakiegoś pomalowanego na złoto kamienia, który, jak wyjaśniła matka, został pocięty bardzo cienko, żeby przepuszczać światło. Alabaster, tak się nazywał ten kamień. Przeczytały o tym w książce, którą matka miała w torebce. I kiedy matka już jej o tym powiedziała, to ścisnęła Iris za rękę, bardzo mocno, i Iris spojrzała na te okna, które jarzyły się niczym węgle od tego słońca za nimi, i popatrzyła na anioły na ścianach, z rozpostartymi skrzydłami, z twarzami zwróconymi ku górze. Do nieba, wyjaśniła matka.

Tak więc Iris leżała na brzuchu, z trudem przełykając rozmokniętego pierniczka, który uwiązł jej w gardle, przyglądając się anielskiemu chłopcu, który przysiadł na kanapie jakby nigdy nic, jakby był zwyczajnym śmiertelnikiem, takim jak oni wszyscy. Matka i George zniknęli w głębi korytarza i potem Iris usłyszała, że wchodzą i wychodzą przez frontowe drzwi, nosząc torby i pudła, śmiejąc się do siebie.

Iris zadarła obrus odrobinę wyżej. Chciała dobrze się przyjrzeć temu chłopcu. Siedział bez ruchu, wspierając jeden sandał na drugim. Na kolanach trzymał mały plecak i zaciskał wokół niego ręce. Iris próbowała sobie przypomnieć, co matka o nim mówiła. Że jest nieśmiały. Że jego matka odeszła z domu i od tego czasu więcej jej nie widział. Że być może jest smutny z tego powodu. Że niedawno miał ospę wietrzną.

Przyglądała mu się, jak patrzył na namalowany przez nią zachód słońca, który matka przykleiła taśmą do ściany. Bardzo szybko jednak

spuścił wzrok. Skierował twarz w stronę okna i też zaraz ją odwrócił.

Wiedziona impulsem Iris podniosła się niezdarnie na nogi i wypadła spod obrusa. Anioł na kanapie wzdrygnął się i przez jego oblicze przemknął paniczny strach, a Iris przeżyła szok, bo zobaczyła, że te niebieskie, anielskie oczy napełniają się łzami. Skrzywiła się. Stanęła na jednej nodze, potem na drugiej. Podeszła do niego po dywanie. Mrugał, starając się pozbyć łez, a Iris w tym czasie zastanawiała się, jak do niego zagadać. Co się mówi do anioła?

W zamyśleniu żuła ostatniego pierniczka, stojąc przed nim. Kiedy skończyła żuć, włożyła kciuk do ust, mnąc w palcach drugiej ręki warkocz. Obejrzała sobie jego plecak, sandałki, szorty, jego złote włosy. A potem wyjęła kciuk z ust.

– Chcesz obejrzeć kijanki? – spytała.

Kiedy Iris ma jedenaście lat, a Alex dwanaście, George i jej matka się rozchodzą. On poznał kogoś innego. Odchodzi i zabiera ze sobą Aleksa. Matka Iris, Sadie, płacze czasami w swoim pokoju, kiedy jej się wydaje, że Iris tego nie słyszy. Iris nosi jej herbatę – nie bardzo wie, co jeszcze mogłaby zrobić – i wtedy Sadie wyskakuje z łóżka, pospiesznie wycierając twarz i mówiąc, że katar sienny tego roku jest wyjątkowo nieprzyjemny. Iris nie zwraca jej uwagi, że katar sienny zazwyczaj nie atakuje w styczniu.

Iris nie płacze, ale czasami staje na środku pokoju, który należał do Aleksa, z dłońmi zaciśniętymi w pięści i z zamkniętymi oczyma. Ten pokój nadal nim pachnie. Jeśli będzie zaciskała powieki przez długi czas, to może udawać, że to się nie zdarzyło, że on nie odszedł.

Po upływie dwóch tygodni Alex wraca. Nowa kobieta George'a to

małpa z piekła rodem, mówi, i Iris zauważa, że Sadie nie beszta go za brzydkie słowa. Czy on może z nimi mieszkać? Iris klaszcze w dłonie, wrzeszczy, że tak. Ale Sadie nie jest pewna. Będzie musiała spytać George'a. Tak się jednak składa, że nie rozmawia z George'em. A zatem, stwierdza, mają problem.

Alex dzwoni do ojca i długo się kłócą. Iris przysłuchuje się, siedząc wciśnięta w jeden fotel z Aleksem, który pokrzykuje na ojca. Alex zostaje. Tydzień później pojawia się George i zabiera go do domu. Alex wraca. George znowu się pojawia, tym razem samochodem, i wywozi Aleksa. Alex wraca. George posyła Aleksa do szkoły z internatem w samym sercu Highlands. Alex ucieka, przyjeżdża autostopem do miasta, pojawia się wczesnym rankiem na progu Sadie. Wloką go z powrotem do szkoły z internatem. Znowu ucieka. Sadie przyjmuje go, ale ostrzega, że Alex musi zadzwonić do ojca. Alex nie dzwoni. W samym środku nocy Iris budzi się i znajduje go obok swojego łóżka. Jest ubrany, ma na sobie płaszcz, obok niego stoi jego torba. Twierdzi, że postanowił uciec do Francji i odszukać matkę, która pozwoli, żeby u niej zamieszkał, jest tego pewien. Czy Iris z nim pojedzie?

Docierają aż do Newcastle, zanim łapie ich policja. Wiozą ich z powrotem do Edynburga wozem policyjnym, co Iris uważa za niewiarygodnie podniecające. Alex twierdzi, że będą musieli skuć go kajdankami, jeśli zamierzają go odwieźć do domu ojca. Narobiłeś już i tak dość kłopotów jak na jeden dzień, synciu, mówi mu ten policjant, który prowadzi samochód. Alex układa głowę na ramieniu Iris i zasypia.

Sadie i George odbywają spotkanie na szczycie w kawiarni przy miejskiej galerii sztuki. Główny temat: Alex. Wszyscy są strasznie

uprzejmi. Macocha z piekła rodem siedzi przy stoliku w kącie, lustrując uważnie Sadie. Sadie, zauważa Iris, umyła włosy i włożyła niebieską sukienkę z kontrastującymi, czerwonymi lamówkami. George ma trudności z oderwaniem wzroku od głębokiego, obrzeżonego na czerwono V na przedzie sukni. W przeciwległym kącie siedzi Iris z Aleksem. W połowie spotkania Alex oświadcza, że on to chrzani, że idzie teraz poszukać sklepu z używanymi płytami na Cockburn Street. Iris mówi, że powinien zostać. Pomyślą, że znowu uciekasz, zauważa.

Ostatecznie zostaje uzgodnione, że Aleksowi wolno się przenieść do szkoły z internatem w Edynburgu, pod warunkiem że będzie się dobrze uczył i że więcej nie będzie uciekał. W zamian będzie mógł mieszkać z Iris i Sadie podczas ferii. Ma jednak odwiedzać ojca i macochę raz w tygodniu, by zjeść z nimi obiad, podczas którego – tu George wbija stalowe spojrzenie w swojego syna – oczekuje się od Alexandra, że będzie grzeczny i posłuszny. W czasie gdy George to mówi, Alex mruczy, kij ci w dupę, i Iris musi kaszlnąć, żeby się nie roześmiać. Nie sądzi jednak, by ktoś z pozostałych to usłyszał.

I tak oto w każde Boże Narodzenie, lato i Wielkanoc Alex mieszka z nimi, w pozbawionym okien schowanku w ich mieszkaniu w Newington. Kiedy ma szesnaście lat, a Iris piętnaście, Sadie stwierdza, że jej zdaniem są dostatecznie dorośli i odpowiedzialni, by przez jakiś czas sami zadbali o siebie, i wyjeżdża do Grecji na kurs jogi. Machają jej na pożegnanie z frontowych drzwi i kiedy taksówka znika za rogiem, zwracają się ku sobie z zachwytem.

Nie potrzeba dużo czasu. Pierwszej nocy podczas nieobecności Sadie zamykają na zamki wszystkie drzwi, zaciągają rolety, nastawiają sprzęt

stereo na pełen regulator, rozmrażają całe jedzenie z lodówki, rozkładają kanapę w salonie, znoszą na nią swoje pościele i kładą się pod kołdrę, z zamiarem obejrzenia jakiegoś starego filmu.

– Nie wychodźmy stąd – mówi Alex. – Zostańmy tutaj na cały tydzień.

– OK.

Iris mości się wygodniej wśród poduszek. Ich kończyny zderzają się pod kołdrą. Alex ma na sobie spodnie od piżamy. Iris górę od tej samej piżamy.

Ludzie na ekranie wbiegają na jakąś górę, która ma kolor gwałtownej, radioaktywnej zieleni, kiedy Alex wyciąga rękę. Bierze Iris za rękę. Podnosi ją. Kładzie ją powoli, bardzo powoli na swojej piersi. Tuż nad sercem. Iris czuje, że to serce skacze i skacze, jakby chciało się uwolnić. Nie odrywa wzroku od ekranu. Ludzie dotarli już na sam szczyt i z podnieceniem wskazują jakieś jezioro.

– To moje serce – mówi Alex, nie odrywając oczu od telewizora. Trzyma dłoń na dłoni Iris, przyciskając ją do piersi. Mówi spokojnym głosem zapraszającym do rozmowy. – Ale tak naprawdę należy do ciebie.

Jeszcze jakiś czas oglądają ludzi na ekranie, którzy tanecznym krokiem przemierzają łąkę równą formacją. A potem Alex przysuwa się do niej przez migoczący mrok, a ona obraca się ku niemu, stwierdza, że on się waha, i ponieważ nie widzi dla nich obojga innego wyjścia, przyciąga go do siebie bliżej i potem jeszcze bliżej. Za ścianą Esme chodzi powoli i ospale od drzwi do półek i z powrotem. Dotyka klamki – okrągłej, mosiężnej gałki, lekko wyszczerbionej i mniejszej, niż zapamiętała. A może te na dole były większe? To nieważne, bo ta gałka ma tę samą karbowaną obręcz i to jej sprawia przyjemność. Liczy te karby – płatki,

być może, ale kwiat z mosiądzu to brzydka anomalia, niewykluczone, że oksymoron – jest ich dziewięć. Liczba, która jak najbardziej może się podobać. W sumie trzy trójki.

Próbuje sobie przypomnieć imiona pokojówek, które mieszkały w tym pokoju, tak wysoko, pod samymi krokwiami. Nie myślała o tym od lat. Jeśli w ogóle kiedykolwiek o tym myślała. Niby idiotyzmem byłoby wymagać, że sobie przypomni, a jednak te imiona przychodzą. Maisie, Jean. Nie, lepiej we właściwym porządku. Martha. A jednak przychodzą. To jak odbieranie częstotliwości radiowej. Janet. Jeśli się znajdujesz we właściwym miejscu i właściwym czasie, jesteś w stanie odebrać sygnał.

Esme zmienia kurs. Zostawia drzwi i mosiężny kwiat, idzie do kąta, gdzie stoi lampa. Obraca głowę, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Chce zobaczyć, do czego jeszcze może się dostroić.

Iris się budzi i przez chwilę gapi się na roletę przesłaniającą okno w sypialni. Ubija kołdrę. Skręca w ręku pasmo włosów. Zastanawia się, dlaczego czuje w brzuchu kłębek niepokoju. Rozgląda się po pokoju: wszystko jest, jak być powinno. Na podłodze i krzesłach walają się jej rzeczy, na półkach stoją książki, ze ściany jarzy się zegar. Marszczy czoło. Kuchenne noże spoczywają na komodzie, obok jej kosmetyków do makijażu i biżuterii.

Siada gwałtownie na łóżku, przyciskając kołdrę do piersi. Jak mogła zapomnieć? To wina snu, który potrafi wymazać z głowy najważniejsze rzeczy. Nasłuchuje, nadstawiając uszu w poszukiwaniu jakichś dźwięków. Nic. Posykiwanie rur, chaotyczny pomruk telewizora z mieszkania pod nią, ulicą przejeżdża samochód. A potem słyszy dziwne skrobanie, jakby

blisko głowy. Odgłos na moment cichnie, po chwili odzywa się na nowo.

Stawia jedną stopę na podłodze, potem drugą. Wkłada szlafrok. Wychodzi na palcach z sypialni, pokonuje korytarz i zatrzymuje się pod drzwiami rupieciarni. Odgłos nabiera natężenia. Iris podnosi rękę, waha się, w końcu przymusza się, by zapukać. Skrobanie natychmiast ustaje. Cisza. Iris puka jeszcze raz, głośniej, kłykciami. Znowu cisza. Potem kilka kroków i znowu cisza.

– Esme? – woła Iris.

– Tak? – Odpowiedź jest natychmiastowa i tak wyraźna, że Iris orientuje się, że Esme stoi tuż za drzwiami.

Iris waha się.

– Czy mogę wejść?

Słychać raptowne szuranie stóp.

– Tak.

Iris czeka, aż Esme otworzy drzwi, ale nic się nie dzieje. Kładzie dłoń na gałce i powoli ją obraca.

– Dzień dobry – mówi z nadzieję, że w jej głosie jest więcej entuzjazmu, niż go w sobie czuje. Nie ma pojęcia, co zobaczy tam za drzwiami.

Esme stoi na środku pokoju. Jest w pełni ubrana, jej włosy są wyszczotkowane i schludnie spięte na bok. Z jakiegoś powodu ma na sobie płaszcz zapięty po szyję. Obok niej stoi fotel i do Iris dociera, że musiała go przesunąć po podłodze. Ze zdumieniem stwierdza, że jej twarz wyraża krańcowy, absolutny strach. Patrzy na nią takim wzrokiem, jakby się wręcz spodziewała, że Iris ją uderzy. Iris jest tak wstrząśnięta, że odbiera jej mowę. Mnie pasek przy swoim szlafroku.

– Dobrze spałaś? – pyta.

– Tak – odpowiada jej Esme. – Dziękuję.

Jej twarz jest wciąż pełna strachu, niepewności. Jedną dłonią skubie guzik płaszcza. Czy ona wie, gdzie jest? – zastanawia się Iris. Czy ona wie, kim ja jestem?

– Jesteś... – zaczyna Iris – ... wyjechałaś z Cauldstone.

Jesteś w moim mieszkaniu. Na Lauder Road.

Esme marszczy brwi.

– Wiem. Poddasze. Służbówka.

– Tak – z ulgą potwierdza Iris. – Tak. Znajdziemy ci jakieś inne miejsce, ale... ale dzisiaj jest sobota, dlatego na razie nie możemy, ale w poniedziałek... – Zawiesza głos. Właśnie zauważyła, że na stoliku stojącym obok łóżka Esme stoi rządek słoni z kości słoniowej, przyniesionych tam z salonu. Czyżby Esme chodziła nocą po domu i przestawiała różne rzeczy?

– W poniedziałek? – podejmuje wątek Esme.

– Podzwonię tu i tam – mówi z roztargnieniem Iris. Rozgląda się po pokoju, starając się zorientować, co jeszcze się zmieniło, ale widzi tylko szczotkę do włosów w jednym rzędzie z chusteczką do nosa, trzy spinki do włosów, szczoteczkę do zębów i szylkretowy grzebień. W sposobie, w jaki te przedmioty zostały ułożone, jest wiele godności. Przychodzi jej do głowy, że to zapewne jedyne rzeczy, jakie Esme posiada. Odwraca się. – Zrobię śniadanie.

W kuchni nalewa wody do czajnika, wyjmuje masło z lodówki, wkłada grzanki do tostera. Zastanawia ją ta osobliwość, że wykonuje te czynności tak jak zawsze, jakby w jej domu nic się nie zmieniło. Po prostu tak się

złożyło, że przez cały weekend będzie u siebie gościła obłąkaną staruszkę. W pewnym momencie musi się obrócić, by sprawdzić, czy ta staruszka rzeczywiście tam jest. Jest. Esme, zapomniana cioteczna babka, która siedzi przy jej stole i gładzi psa po łbie.

– Mieszkasz sama? – pyta Esme.

Iris musi stłumić westchnienie. Jakim cudem się w to wpakowała?

– Tak – odpowiada.

– Zupełnie sama?

Iris siada przy stole i wręcza Esme talerzyk z tostem.

– No cóż, jest jeszcze pies. Ale oprócz niego tak, mieszkam sama.

Esme kładzie prędko dłoń na toście, potem na talerzyku, na skraju stołu, na serwetce. Patrzy na stół, na marmoladę, na masło, na kubki z herbatą, takim wzrokiem, jakby w życiu nie widziała takich rzeczy. Podnosi nóż i obraca go w ręku.

– Pamiętam je – mówi. – Zostały kupione u Jennersa, w pudełku z aksamitną wyściółką.

– Naprawdę? – Iris wpatruje się w stary nóż z trzonkiem z odbarwionej kości. Nie ma pojęcia, jakim sposobem weszła w jego posiadanie.

– I ty pracujesz? – pyta Esme, smarując tost masłem.

Ona wszystko potrafi, zauważa Iris, z dziwacznym szacunkiem. Właściwie to jak bardzo jest stuknięta? I jak się coś takiego mierzy?

– Oczywiście. Mam teraz własną firmę.

Esme odrywa wzrok od nalepki na słoiku z marmoladą.

– To cudownie – mówi ledwie słyszalnie.

Iris śmieje się ze zdziwieniem.

– No nie wiem. Dla mnie to wcale nie jest takie cudowne.

– Nie?

– Nie. Nie zawsze. Trochę byłam tłumaczką, pracowałam dla dużej firmy z Glasgow, ale nie cierpiałam tego. A potem przez jakiś czas podróżowałam, zwiedzałam świat, rozumiesz, po drodze pracując jako kelnerka. I potem tak się jakoś stało, że założyłam własny sklep.

Esme tnie tosta na małe trójkąty.

– Nie masz męża? – pyta.

Iris potrząsa głową, z ustami pełnymi okruchów.

– Nie.

– Nigdy nie wyszłaś za mąż?

– Nie.

– I ludzie nic nie mówią?

– Jacy ludzie?

– Twoja rodzina.

Iris musi się nad tym zastanowić.

– Nie mam pojęcia, czy mojej matce to się podoba czy nie. Nigdy jej nie pytałam.

– Masz kochanków?

Iris zaczyna kasłać i musi upić łyk herbaty.

Esme nie przejawia śladu zakłopotania.

– Czy to niegrzeczne pytanie? – pyta.

– Nie... to znaczy bywa, że jest. Mnie to nie przeszkadza, że pytasz, ale niektórym ludziom mogłoby się nie podobać. – Iris przełyka herbatę. – Mam, tak... miałam... mam... tak.

– I kochasz ich? Tych kochanków?

– Hm. – Iris marszczy brwi i rzuca drobinę chleba na podłogę, dla psa,

który mknie w jej stronę, drapiąc pazurami po linoleum. – Nie... nie wiem. – Dolewa sobie herbaty i próbuje się zastanowić. – A właściwie to wiem. Jednych kochałam, a innych nie.

Patrzy ponad stołem na Esme i próbuje sobie wyobrazić, jaka była w jej wieku. Prawdopodobnie niebrzydka, z tymi kośćmi policzkowymi i z tymi oczyma, ale potem spędziła połowę życia w zamknięciu.

– Jest teraz pewien mężczyzna – wyrywa jej się i jest zdumiona, że to powiedziała, bo przecież nikt oprócz Aleksa nie wie o Luke'u i chce, żeby tak pozostało – ale... to skomplikowane.

– Ach tak – mówi Esme i przygląda się jej długo i twardo.

Iris odwraca wzrok. Wstaje, strzepuje okruchy ze szlafroka. Odstawia brudne naczynia do zlewu. Patrzy na zegar w drzwiczkach kuchenki, jest dopiero dziewiąta. Pozostaje dwanaście, a może trzynaście godzin do zabicia, zanim wedle wszelkich reguł przyzwoitości będzie mogła się spodziewać, że Esme znowu pójdzie spać. Czym ją zająć przez cały weekend? Do jasnej cholery, co ona ma z nią robić?

– No więc... – mówi Iris, przytomniejąc – nie wiem, co chciałabyś dzisiaj robić. Czy jest coś, co... ?

Esme znowu ogląda nóż z kościanym trzonkiem, obracając go w dłoni. Iris ma nadzieję, że ona coś powie. Ale oczywiście Esme nic nie mówi.

– Mogłybyśmy... – Iris próbuje coś wymyślić – ... gdzieś się przejechać. Jeśli chcesz. Po mieście. Albo... iść na spacer. Może chciałabyś zobaczyć jakieś miejsca, które... – Traci rezon. Po czym rozjaśnia się, bo przychodzi jej do głowy nowy pomysł. – Mogłybyśmy iść odwiedzić twoją siostrę. Godziny odwiedzin zaczynają się o...

– Morze – odpowiada jej Esme, odkładając nóż. – Chciałabym jechać

nad morze.

Esme pokonuje wodę, czując na piersi opadanie i wznoszenie się fal, traci oddech urywanymi sapnięciami. Pokonała już punkt załamywania się fal, jest na tej dziwnej, niespienionej ziemi niczyjej. Czuje przy nogach zimny, potężny nacisk głębokiej wody.

Odwraca się i ogląda w stronę lądu. Łuk Zatoki Canty, brązowożółty piasek, jej rodzice na kocu, babka, która siedzi sztywno na składanym krzesełku, Kitty, która stoi obok nich i patrzy w głąb plaży, ocieniając dłonią oczy. Esme zauważa, że ojciec wykonuje gest, który oznacza, że powinna wracać. Udaje, że tego nie widzi.

Nadciąga fala, fala, która stopniowo nabiera siły, wsysa całą wodę ze swego otoczenia. Napiera na nią, bezdźwięcznie, tworzy niewzruszoną grań w oceanie. Esme zbroi się, po czym czuje rozkoszne unoszenie, kiedy fala ją chwyta, podrzuca w górę, unosi ku niebu, po czym sunie dalej, delikatnie ją opuszczając. Przygląda się jej, przebierając nogami w wodzie, patrzy, jak się roztrzaskuje i rozpada, napierając rozszalałą bielą na piasek. Kitty macha do kogoś i Esme widzi kosmyki jej włosów wymykające się spod czepka.

Wynajęli na lato dom w North Berwick. Taki jest zwyczaj, wyjaśniła im babka. Powiedziała też, że jej obowiązkiem jest dopilnować, by Esme i Kitty zadawały się z „ludźmi właściwego pokroju". Są zabierane na lekcje golfa, których Esme serdecznie nie cierpi, i na podwieczorki taneczne w pawilonie, na które Esme zawsze idzie z jakąś książką, a oprócz tego popołudniami babka każe im paradować w najlepszych ubraniach po plaży i mówić „Moje uszanowanie państwu" do różnych ludzi. Zwłaszcza jeśli

są to rodziny z synami. Esme za nic nie chce chodzić na te idiotyczne spacery. Sprawiają, że czuje się jak koń na paradzie. Kitty za to, o dziwo, je lubi. Szykuje się do nich całymi godzinami, szczotkując włosy, wklepując w twarz kremy, ozdabiając swoje rękawiczki wstążkami. Dlaczego to robisz, spytała ją Esme dzień wcześniej, kiedy Kitty usiadła przed lustrem i bez końca szczypała skórę na swoich policzkach. A na to Kitty wstała ze stołka i wyszła z pokoju, nie racząc odpowiedzieć. Babka stale wieszczy, że Esme nie znajdzie męża, jeśli nie zmieni swojego zachowania. Dzień wcześniej powiedziała to przy śniadaniu, na co Esme odparła: I bardzo dobrze, przez co za karę kazano jej dokończyć śniadanie w kuchni.

Nadciąga kolejna fala, za nią jeszcze jedna. Esme widzi, że babka wyciągnęła swoją robótkę, że ojciec czyta gazetę. Kitty rozmawia z jakimiś ludźmi. Bodajże z tą kobietą, która ma dwóch synów. Esme się krzywi. Nie potrafi pojąć, co wstąpiło w jej siostrę. Ci synowie są zwaliści, mają wielkie dłonie i nie chcą odpowiadać na ochocze pytania Kitty. Nie umie sobie wyobrazić, co takiego Kitty mogłaby do nich mówić. Już ma do niej krzyknąć, żeby przyszła popływać, kiedy coś się zmienia. Głęboka, zimna toń pod nią przemieszcza się, ciągnie ją za nogi. Wsysa ją w tył, w bardzo szybkim tempie, otaczająca ją woda pędzi ku otwartemu morzu. Esme próbuje płynąć na przekór tej wodzie, w stronę brzegu, ale wydaje się, że niewidzialne łańcuchy opasały jej nogi. Słychać donośny szum, taki sam jak przed burzą. Esme się odwraca.

Za nią jest zielony, wodny mur. Jego szczyt wzbija się w górę, przełamuje. Esme składa usta do krzyku, ale coś ciężkiego uderza ją w głowę. Coś ją gwałtownie ciągnie, szarpie, wlecze w dół. Nie widzi nic

oprócz zielonkawej plamy, a jej usta i płuca wypełniają się gorzką wodą. Młóci rękoma to w jedną stronę, to w drugą, ale nie ma pojęcia, gdzie jest powierzchnia wody, ku czemu ma skierować swoje zmagania. Coś uderza ją silnie w głowę, coś nieustępliwego i twardego, sprawiając, że gwałtownie zwiera szczęki, i w tym momencie dociera do niej, że zderzyła się z dnem, że obróciło nią do góry nogami, niczym świętą Katarzynę na kole, ale poczucie orientacji utrzymuje się tylko przez sekundę, bo potem miota nią do przodu, w dół, bo wciąga ją do umięśnionego wnętrza fali. Po czym znienacka czuje piasek, pod jej brzuchem zgrzytają kamyczki. Robi silny wymach rękami i – cudownym zrządzeniem losu – jej głowa wybija się ponad powierzchnię.

Światło jest białe i oślepiające. Słyszy żałobne pokrzykiwania mew i swoją matkę, która mówi coś o stekach z udźca. Esme łapczywie chwyta powietrze. Patrzy w dół i widzi, że klęczy na mieliźnie. Jej czepek gdzieś się zapodział, włosy przywarły do jej pleców niczym mokry sznur. Obok niej płyną w stronę brzegu maleńkie fale. Czuje w czole ostry ból. Dotyka tego miejsca palcami i kiedy je odejmuje, widzi na nich plamki krwi.

Podnosi się niezdarnie. Kanciaste kamyki wpijają się w podeszwy jej stóp. Potyka się, ale ostatecznie udaje jej się ustać prosto. Podnosi głowę i patrzy w stronę plaży. Będą źli? Powiedzą jej, że przecież kazali jej pływać bliżej brzegu?

Jej rodzina siedzi na kocu, podają sobie kanapki i kawałki zimnego mięsa. Druty babki migoczą, pracowicie nabierają wełnę. Ojciec zawiązał sobie chustkę na głowie. I na tym kocu jest też ona sama. Jest tam Kitty, w pasiastym kostiumie kąpielowym, w naciągniętym nisko czepku, i ona też tam jest. Esme. Siedzi obok swojej siostry, Kitty, w identycznym

kostiumie, przyjmuje zimne kurze udko z ręki matki.

Esme wytrzeszcza oczy. Cała ta scena zdaje się drżeć i rozpadać na kawałki. Ma wrażenie, że coś, coś takiego jak magnes, z całej siły tam ciągnie, jakby wciąż się znajdowała w uścisku fali, ale wie, że przecież stoi nieruchomo, na płyciźnie. Przyciska dłoń do oczu i patrzy jeszcze raz.

Ona, albo ta osoba podobna do niej, siedzi po turecku. Jej kostium kąpielowy ma taką samą zapinkę na ramieniu i Esme zna szorstki dotyk wełnianego koca na gołej skórze, wie, że spiczaste źdźbła trzcinnika potrafią się przebić przez ubranie. Dociera do niej, że czuje to, dokładnie w tej chwili. Ale jak to możliwe, skoro przecież stoi w morzu?

Zerka w dół, jakby chciała się upewnić, że nadal tam jest, sprawdzić, czy w jakiś sposób została podmieniona na kogoś innego. Mija ją fala, maleńka i bez znaczenia, liżąc ją po łydkach. A kiedy znowu podnosi wzrok, wizja znika.

Skoro stoi w morzu, to co w takim razie robiła na kocu? Czy utonęła w tej fali, a jeśli tak, to kim była ta osoba?

Jestem tutaj, chce krzyknąć, to ja.

W swoim życiu z prawdziwego czasu jest znowu tutaj. Stoi w wodzie Zatoki Canty. Nad głową ma niebo, pod sobą piasek, a przed nią rozciąga się morze. Cała sceneria jest wyjątkowo niewymyślna. Prezentuje fakt swojego istnienia, niepodważalnie, jednoznacznie.

Morze tego dnia jest spokojne, niesamowicie spokojne. Maleńkie, zielone fale przewalają się i przewracają na jego skraju, a dalej jego skóra unosi się i rozciąga, jakby w jego głębinach coś się szamotało.

Esme postanawia, że za chwilę odwróci się i spojrzy w stronę lądu. Waha się jednak, bo nie jest pewna, co zobaczy. Czy na kraciastym,

podróżnym kocu zobaczy swoją rodzinę? Czy raczej tę dziewczynę, Iris, która będzie siedziała na piasku i obserwowała ją? A może zobaczy siebie samą? Jeśli tak, to którą? Trudno to przewidzieć.

Esme się odwraca. Wiatr wplata jej się we włosy, unosząc je w górę, ciskając je na twarz. Widzi dziewczynę, która siedzi tak, jak Esme się spodziewała, na piasku, po turecku. I przygląda jej się z tą lekko zaniepokojoną miną. Ale nie, Esme się myli. Nie patrzy na nią, tylko dalej, obserwuje horyzont. Rozmyśla o kochanku, Esme to teraz widzi.

Ta dziewczyna jest dla niej bardzo ważna. Jest cudem.

Z całej jej rodziny – po niej samej, po Kitty, Hugonie, po wszystkich innych dzieciach i jej rodzicach – po nich wszystkich została tylko ta dziewczyna. Tylko ona. Oni wszyscy skarleli, stając się tą czarnowłosą dziewczyną, która siedzi na piasku i nie ma pojęcia, że jej dłonie, oczy, sposób, w jaki przekrzywia głowę i potrząsa włosami, należą do matki Esme. Wszyscy, stwierdza Esme, jesteśmy tylko naczyniami, które służą kolejnym tożsamościom: użycza nam się rysów twarzy, gestów, nawyków, a potem oddajemy je innym ludziom. Nic do nas nie należy. Przychodzimy na świat jako anagramy naszych przodków.

Esme obraca się tyłem do morza, do nawoływania mew, do sterczącej z morza potwornej głowy wyspy Bass Rock, które są jedynymi, niezmienionymi rzeczami. Szura stopami w piasku, tworząc miniaturowe doliny i górskie pasma. Najbardziej chciałaby popływać. Ludzie mówią, że tego się nigdy nie zapomina. Chciałaby sprawdzić tę teorię. Chciałaby się pogrążyć w zimnych, niezmiennych wodach Firth of Forth. Chciałaby poczuć odwieczne przyciąganie prężących się pod nią prądów. Ale boi się, że mogłaby przerazić dziewczynę. Esme jest przerażająca – tyle to już się

nauczyła. Być może będzie musiała poprzestać na zdjęciu butów.

Iris przygląda się Esme z brzegu, kiedy dzwoni jej komórka. LUKĘ, błyska na wyświetlaczu.

– Cześć.

– Iris? – mówi Luke. – To ty?

– Tak. Co tam u ciebie? Wszystko dobrze? Masz dziwny głos.

– Bo... bo jest mi dziwnie.

Iris się krzywi.

– Nie rozumiem?

– Ja chyba...

Słychać westchnienie, a w tle odgłosy ulicy, klaksony, i do Iris dociera, że musiał wyjść z domu, żeby zadzwonić.

– Słuchaj, powiem Ginie. Powiem jej dzisiaj – odzywa się znowu Luke.

– Luke – Iris siada na kocu, w nagłym odruchu paniki – nie rób tego. Błagam, nie.

– Muszę. Uważam, że muszę.

– Nie. Wcale nie musisz. Luke, nie rób tego. A przynajmniej nie dzisiaj. Obiecasz mi to?

Na linii zapanowuje milczenie. Iris musi się pohamować, żeby nie zacząć krzyczeć, nie, nie rób tego!

– Kiedy... kiedy ja myślałem, że ty... – Jego głos jest napięty, zimny. – Myślałem, że chcesz, abyśmy byli razem.

Iris zaczyna przeciągać opuszkami palców po włosach.

– To nie tak, że ja tego nie chcę – zaczyna, zastanawiając się, co ona z tym zrobi. Dla Luke'a rozstanie z żoną byłoby katastrofą. To ostatnia

rzecz, jakiej ona chce. – Chodzi tylko o to, że... – Rozpaczliwie próbuje coś wymyślić ... że nie chcę, żebyś od niej odchodził z mojego powodu!

Urywa gwałtownie. Robi bruzdy w piasku, bez opamiętania grzebiąc w nim dłońmi. Słucha milczenia na drugim końcu linii. Nawet nie słyszy jego oddechu, tylko ryk i szum ulicy.

– Luke? Jesteś tam jeszcze?

Luke kaszle.

– Y-hy.

– Posłuchaj, to nie jest rozmowa na telefon. Moim zdaniem powinniśmy pogadać o tym jak należy, zanim ty...

– Od wielu dni próbowałem pogadać o tym z tobą jak należy.

– Wiem, ja...

– Mogę przyjechać?

– Mhm... Nie.

Znowu słyszy jego westchnienie.

– Iris, proszę. Mógłbym przyjechać właśnie teraz i...

– Jestem gdzie indziej. Jestem nad morzem, z moją babką cioteczną.

– Z twoją... – Luke urywa. – Mówisz o tej kobiecie z Cauldstone? – pyta zmienionym tonem.

– Tak.

– Iris, co ty z nią wyprawiasz? – warczy nowym, władczym głosem, czym ją rozśmiesza. Przez chwilę potrafi sobie wyobrazić, jaki on jest w sądzie. – I co to znaczy, że jesteś nad morzem? Ktoś jeszcze jest z tobą?

– Luke, wyluzuj, dobrze? Nic się nie dzieje.

Luke robi głęboki wdech i Iris czuje, że on ze wszystkich sił stara się nad sobą zapanować.

– Iris, to poważna sprawa. Ona teraz tam jest? Dlaczego jest z tobą? Zrozumiałem, że mieli ją przenieść do jakiegoś domu.

Iris nie odpowiada. Na linii znowu zapanowuje milczenie, akcentowane warkotem motocykla w oddali. Omiata wzrokiem Zatokę Canty. Pies jest nieco dalej, ryje w brzegu, w wodorostach. Esme pochyliła się, bada coś w piasku.

– To idiotyczne, że wzięłaś ją na swoje barki – mówi Luke. – Idiotyczne. Iris, czy ty mnie słuchasz? Ty masz ten zwyczaj, że ulegasz wszelkim głupim odruchom, jakie przychodzą ci do głowy. Tak nie można żyć. Nie masz zielonego pojęcia, jakie to durne. Gdybyś była profesjonalistką w tych sprawach, to może, powtarzam może, wiedziałabyś, jak...

Iris mruga. Przez chwilę nie potrafi się odnaleźć. Siedzi na plaży Zatoki Canty. Luke nadal gada do niej przez telefon. Pies gapi się na mewę siedzącą na skale. A jej leciwa krewna wchodzi do morza, ubrana po zęby.

– Esme! – wrzeszczy Iris, gramoląc się na nogi. – Esme, nie! – Po czym mówi do telefonu: – Muszę iść – i ciska telefon na piasek. – Esme! – krzyczy raz jeszcze, ruszając w dół plaży.

Nie wie, czy Esme ją słyszy. Biegnie po piasku w jej stronę. Postanowiła popływać? Czy ona...

Dobiega do linii wody. Esme idzie po szklistym, wilgotnym piasku i wokół jej bosych stóp załamują się maleńkie fale. Trzyma buty w jednej ręce, w drugiej rąbek spódnicy.

– To bardzo interesujące – mówi Esme – że dziewiąta fala jest największa, najpotężniejsza, prawda? Nigdy nie umiałam zrozumieć tej mechaniki. A może to nie jest mechanika. Może to coś innego.

Iris zgina się wpół, starając się złapać oddech.

– Dobrze się czujesz? – pyta Esme.

Dziewczyna zabiera ją na lunch, do kawiarni pobudowanej na najdalszym krańcu North Berwick. Siedzą na dworze, na drewnianym tarasie, i Iris wciska masło w pieczonego ziemniaka Esme. Esme dziwi się, że robi to nieproszona, ale wcale jej to nie przeszkadza. Mewy rozdzierają słone powietrze swoimi okrzykami.

– Jak byłam mała, to chodziłam na basen – mówi Iris, podając Esme widelec.

Esme znowu musi ukryć uśmiech. A potem widzi, że Iris patrzy na linie krzyżujące się na jej ręce i Esme bierze widelec, a potem obraca rękę, w taki sposób, że te linie, wydęte, białe usta, są skierowane ku podłodze. Wchodzi do zoetropu, na krótko, widzi przelotnie Kitty na ich huśtawce w Indiach, i matkę, która leży w łóżku na Lauder Road. Ale potem jej się przypomina, że musi rozmawiać, mówić, i wyciąga się stamtąd.

– Naprawdę? – mówi. – Ja zawsze chciałam, ale nigdy tego nie robiliśmy. Moja matka nie akceptowała czegoś takiego jak zbiorowe kąpiele.

Esme patrzy na pustą połać betonu, którym wylano basen, potem na inne stoliki. Jest sobota, ludzie się posilają na słońcu. Możliwe to, by życie było takie proste?

Iris pochyla się nad stołem.

– Co się z tobą działo, w tamtym miejscu – pyta – w Cauldstone? Co oni tam z tobą robili? – Mówi to uprzejmie, tonem zdradzającym zainteresowanie.

Esme nie wini jej za to, że spytała. Ale czuje, że się krzywi. Cauldstone i to miejsce, ten taras, pod którym jest morze, nie pasują do siebie. Jak mogłaby mówić o tych rzeczach w tym miejscu? W ogóle próbować tutaj o nich myśleć? Nawet nie wyobraża ich sobie w jakimś zdaniu. Nie wiedziałaby, jak zacząć.

Esme wkłada sobie jedzenie do ust i stwierdza, że jak już raz zaczęła, to nie umie się zatrzymać. Wsuwa kolejne kawałki miękkiego, ciepłego ziemniaka między zęby, aż wreszcie jej policzki są wypakowane i jej język nie jest w stanie wykonać żadnego ruchu.

– Mieszkaliśmy tutaj przez jakiś czas, po śmierci mojego ojca – mówi Iris.

Esme musi przełknąć wszystko raz, dwa razy, zanim jest w stanie coś powiedzieć, od tego boli ją gardło.

– Jak on umarł? – pyta.

– Och, to było takie głupie. Głupi wypadek. Poszedł do szpitala, na rutynową operację i dali mu lekarstwo, na które był uczulony. Był młody, miał zaledwie trzydzieści jeden lat.

Esme widzi przebłyski tej sceny. Wydaje jej się, że to widziała, albo coś podobnego. Kiedy? Nie pamięta. Ale pamięta konwulsje, miotające się ciało, przewalający się język, a potem okropną martwotę. Musi się skupić na swoim talerzu, żeby się pozbyć tych wizji.

– To bardzo smutne – mówi i wypowiedzenie tych słów jest czymś dobrym, bo przymusza umysł do formowania sylab.

– Rodzice byli już wtedy w separacji, kiedy umarł, dlatego rzadko go widywałam, ale nadal za nim tęsknię. W przyszłym tygodniu obchodziłby urodziny.

Iris nalewa wodę do szklanek i Esme dziwi się na widok maleńkich banieczek, tysięcy banieczek unoszących się ku powierzchni, przywierających do ścianek. Bierze szklankę do ręki i trzyma ją przy uchu. Słyszy cichutki odgłos pękania. Odstawia szklankę i widzi, że Iris patrzy na nią z przestrachem na twarzy.

– Którego dnia? – pyta Esme, by zapełnić milczenie, uspokoić tę dziewczynę.

– Słucham? – Iris nadal wygląda na przestraszoną, ale już mniej.

– Którego dnia twój ojciec miał urodziny?

– Dwudziestego ósmego.

Esme znowu sięga po szklankę z wodą, ale coś ją powstrzymuje. Ma wrażenie, że widzi te liczby. Podobne do łabędzi dwie kreski obok dwóch kółek ósemki. Jak je przestawić, to otrzymuje się osiemdziesiąt dwa. Jeśli dodać zero, to będzie z tego dwieście osiemdziesiąt, osiemset dwadzieścia, dwieście osiem, osiemset dwa. Te liczby mnożą się i replikują w jej umyśle, wypełniając go po brzegi, całe strumienie dwójek i ósemek.

Musi wstać i podejść do barierki, żeby się ich pozbyć, a kiedy wraca na miejsce, widzi pod tarasem z deszczułek, na którym wszyscy siedzą na słońcu, skupisko spiczastych, czarnych skał.

... dotarło do mnie, że nie mam pojęcia, kiedy jest rocznica ślubu moich rodziców. Trzeba było spytać matkę. Nie świętowali tego, a w każdym razie nic nam o tym nie było wiadomo. Ślub oczywiście musiał się odbyć w Indiach, matka w zasadzie była dziewczyną z kolonii, a ojciec dopiero co przyjechał. Później odbyło się cudowne przyjęcie w klubie. Przyszli wszyscy. Wszyscy, którzy się liczyli. Widziałam fotografie, matka w pięknej satynie...

... i wzięłam je, to było takie proste, ale ojciec powiedział, że nie wolno mi nigdy o tym mówić, że...

... mój mąż kupił go dla mnie albo ktoś inny kupił go dla niego, tak czy owak to on zapłacił i to musiał być jego pomysł. Był bardzo piękny. Idealne kółko z maleńkich kamyków o wielu fasetach. Zawsze odbijało światło w taki piękny sposób. Pierścionki dozgonnej miłości daje się na ogół z okazji narodzin pierwszego dziecka, wyjaśnił, w chwili, kiedy poczułam się bardzo uszczęśliwiona i wzruszona, no i oczywiście wszystko popsuł. Tym swoim natrętnym, półurzędowym tonem. Zawsze lubił być akuratny. Trzymał na biurku listę tego typu rzeczy. Konsultował się z nią. Kiedy dać banknot, a kiedy dać złoto i tak dalej, i tak dalej, a zresztą...

... i zabrali nas do studia na Nowym Mieście i próbowali sprawić, żeby nasze włosy wyglądały identycznie, co oczywiście było niewdzięcznym zadaniem, bo ona miała takie dzikie włosy, długie, z mnóstwem loków: za nic nie mogły się upodobnić do moich. Moje dawały się łatwo szczotkować na całej długości i dobrze się układały, blisko głowy. Musiałyśmy długo pozować, siedzieć idealnie spokojnie. Moim zdaniem zazwyczaj było tak, że na portretach rodzeństwa to starsze siedziało, a młodsze stało za nim. Ale ponieważ ona była znacznie ode mnie wyższa, to jej kazano usiąść na krześle, a stanąć kazano mnie, za nią, z jedną ręką wspartą na jej ramieniu i zawsze potem tego żałowałam, ponieważ spędziłam cały ranek na krochmaleniu plis w mojej sukni i oczywiście nie było ich widać, bo...

... tamta satynowa ślubna suknia przypłynęła razem z nami do Szkocji. Matka pozwoliła nam raz ją przymierzyć. Esme włożyła ją pierwsza, bo ja

to chciałam zrobić, tak strasznie chciałam ją przymierzyć, że kiedy matka spytała, która przymierza pierwsza, nie byłam w stanie nic wykrztusić. Tymczasem Esme stanęła przed lustrem, odrzuciła głowę w tył i zaczęła się śmiać. I nie potrafiła przestać, śmiała się i śmiała bez końca. Suknia była na nią za krótka! Miała takie długie nogi, zupełnie jak żyrafa, i to naprawdę wyglądało komicznie. Mnie jednak wcale nie było do śmiechu, bo widziałam, co matka ma na twarzy, widziałam, że wcale jej się nie podoba, że Esme naśmiewa się z jej sukni. Ja wyglądałam w niej doskonale. Tak powiedziała matka. Ona i ja byłyśmy tego samego wzrostu. Będziesz mogła ją włożyć w dniu swojego ślubu, kochanie, stwierdziła. A wtedy Esme, która stała za nami, widziałam ją w lustrze, zapytała: A więc ja nie? Tylko się tak przekomarzała, bo oczywiście to byłoby nie do pomyślenia, że miałaby ją włożyć, ale matka strasznie się wtedy zdenerwowała, bo Esme miała już taki nawyk, że doprowadzała ją do ostateczności...

... a kiedy usłyszałam ten krzyk, zwinęłam swoją skakankę i pobiegłam tam. Leżała na trawniku, matka i ojciec stali nad nią bezradnie, tylko na nią patrzyli. Cóż, ja byłam do tego bardziej przyzwyczajona niż oni. Objęłam ją ramionami i spytałam: No co jest, powiedz mi, co jest. Co to było? Nie pamiętam. Zawsze coś było, zawsze był jakiś powód, nieważne jak dziwny, ale nie dawało się domyślić, co to takiego może być. Z nią człowiek nigdy nie wiedział, co się zdarzy za chwilę. Myślę, że właśnie dlatego...

... i kiedy dostarczyli portret, matka wydała polecenie, że Esme ma przez cały dzień siedzieć w zamknięciu swojego pokoju. Esme wyglądała na nim na taką rozzłoszczoną, przez to naburmuszone spojrzenie. Matka

oczywiście miała wszelkie prawo do niezadowolenia. Cóż, biorąc pod uwagę cenę za całe to siedzenie i w ogóle, trudno ją było winić. Ja zresztą też byłam oburzona. Spędziłam cały tamten poranek na szykowaniu swoich rzeczy, uczesałam włosy z użyciem wody i olejku różanego, żeby wyglądały przyzwoicie. I wszystko na nic. Matka powiedziała, że żaden rodzic przy zdrowych zmysłach nie wystawiłby na pokaz takiego portretu. Esme nie okazała żadnej skruchy. Tamto krzesło było strasznie niewygodne, twierdziła, dwie sprężyny wbijały mi się w nogę. W ogóle często tak wydziwiała, wiecznie taka idiotycznie przewrażliwiona. Była jak ta księżniczka z bajki o ziarnku grochu i materacach. Masz tam jakiś groszek, pytałam ją, kiedy nocą miotała się po łóżku, próbując znaleźć wygodną pozycję, a ona wtedy mówiła, że całe stráki...

... zawsze nosiłam ten pierścionek, który ofiarował mi Duncan. Nosiłam go na palcu serdecznym, bo taki jest zwyczaj z pierścionkami dozgonnej miłości. Ale nie widzę go teraz. Nie ma go. Wyciągam dłonie, obie, żeby się upewnić. Nie ma go, mówię tej dziewczynie, bo zawsze jest jakaś dziewczyna. Nigdy daleko, obserwuje cię. Przepraszam, mówi, i wtedy wiem, że nie chodzi o to, że mnie nie usłyszała – mówię bardzo wyraźnie, często mi to mówiono – tylko o to, że ona mnie nie słucha. Majstruje przy jakimś wykresie wiszącym na ścianie. Mój pierścionek, mówię głośno, żeby wiedziała, że chodzi mi o poważne sprawy, te dziewczyny potrafią być takie trzpiotowate. Ach tak, odpowiada, ale nie odwraca się od wykresu, ja bym się teraz tym nie przejmowała, i to mnie złości tak bardzo, że wykręcam się w swoim fotelu i mówię...

... całe stráki, mówiła, wiercąc się, starając się znaleźć wygodną pozycję, a ja wtedy zaczynałam się śmiać i kiedy słyszała, że się śmieję,

robiła to jeszcze raz. Zawsze potrafiła rozśmieszyć człowieka. To znaczy do czasu, aż...

Esme gapi się na spiczaste skały. Gapi się i gapi, aż wreszcie zaczynają tracić swój trzeci wymiar, aż wreszcie zaczynają wyglądać niezrozumiale, niematerialnie. Tak jak to się dzieje ze słowami, które jeśli powtarzać je bez końca, stają się bełkotliwą kaskadą dźwięków. Zastanawia się nad tym. Bez końca powtarza w głowie słowo „słowo", aż w końcu słyszy tylko „wosło-wosło-wosło". Zdaje sobie sprawę, że te liczby, dwa i osiem, próbują znaleźć sobie miejsce, do którego mogłyby się z powrotem wślizgnąć. Czyhały na skraju, gdzie je odepchnęła, i teraz szykują się do ataku, do włamania. Ale ona im na to nie pozwoli. Mowy nie ma. Zatrzaskuje wszystkie drzwi, zasuwa rygle, przekręca klucze w zamkach. Zawiesza wzrok na skałach, na kolczastych blankach skał pod tarasem i przetrząsa umysł w poszukiwaniu czegoś innego, bo skały i słowo „słowo" nie będą działały wiecznie, ona o tym wie. I ni stąd, nie zowąd zostaje nagrodzona, bo łapie się na tym, że rozmyśla o blezerze. Sprawdza siebie prędko. Może o nim myśleć? I stwierdza, że tak.

Blezer, blezer. Pamięta dokładnie, że w dotyku był jakby filcowy, że kołnierzyk wywoływał swędzenie, że miał ohydną, haftowaną koronę na piersi. Nigdy nie lubiła szkoły. Lubiła się uczyć, lubiła lekcje, nauczycieli. Gdyby tylko szkoła mogła być taka. Ale te gromady dziewczyn, wiecznie rozczesujących sobie włosy, zakrywających dłońmi drwiące uśmieszki. Były nie do wytrzymania.

Esme odwraca się od skał. Jest teraz bezpieczna. Trzyma jednak dłoń na drewnianej barierce. Tak na wszelki wypadek. Widzi rzędy domów

ścieśnionych w jednej linii wzdłuż drogi wiodącej do plaży. Widzi tę dziewczynę, Iris, która siedzi z założonymi nogami przy stoliku, i Esme stwierdza, że to takie dziwne, bo przecież sama też tam siedziała, zaledwie chwilę wcześniej. Widzi krzesło, które było jej krzesłem – które nadal jest jej krzesłem. Stoi krzywo w stosunku do stołu, na którym wciąż jest jej talerz, z niedojedzonym ziemniakiem. Zdumiewające, jak łatwo jest wstać i odejść od stołu, od talerza z jedzeniem, że nikt cię nie zatrzymuje, że nikomu tutaj nie przyszłoby do głowy, żeby cię zatrzymać.

Uśmiecha się pod wpływem tej myśli. W jakimś zakamarku umysłu nadal majaczy szkoła. To chichotanie, te szyderstwa, śmiech, który wybuchał za jej plecami i ucichał, kiedy się odwracała. Nic ją to nie obchodziło, ani trochę. Nie interesowała się tymi dziewczynami i ich bajecznymi weekendami, debiutanckimi balami, liścikami od starszych chłopców. Potrafiła się zatracić, kiedy słuchała nauczycieli, kiedy wiedziała, że ma dobre stopnie, lepsze niż mało która z tych dziewczyn. Bywały jednak takie dni, kiedy te dziewczyny potrafiły się na nią uwziąć. Opowiedz nam o Indiach, Esme, skandowały, z niezrozumiałych powodów wymawiając to „In-dy-jach". I robiły tak tylko dlatego, że kiedyś błędnie uznała ich pytania za szczere i opisała im żółty pył mimozy, mieniące się skrzydła ważek, zakręcone rogi krów o czarnych pyskach. Minęło kilka minut, nim do niej dotarło, że wszystkie duszą śmiech w rękawach swetrów.

Ten śmiech. Wybuchał za jej plecami podczas lekcji, ścigał ją niczym orszak ślubny, kiedy szła przez korytarz. Esme nigdy się nie dowiedziała, co w niej takiego było, co wywoływało taką wesołość. Czy twoje włosy kręcą się naturalnie, pytały, a potem zaczynały chichotać. Czy twoja matka

nosi sari? Czy w domu jecie curry? Kto ci szyje ubrania? Czy jak skończysz szkołę, też będziesz starą panną jak twoja siostra?

To była ostatnia kropla. Esme obróciła się w stronę tej, która zadała to pytanie. Porwała kątomierz Catriony McFarlane, arcykapłanki klubu szyderców, i wycelowała w nią niczym różdżkę.

– Wiesz, kim jesteś, Catriono McFarlane? – spytała Esme. – Jesteś smętnym stworzeniem. Jesteś wredna, bezduszna. Umrzesz samotnie, nie będzie przy tobie nikogo. Słyszysz mnie?

Wstrząśnięta Catriona lekko rozchyliła usta, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Esme się odwróciła.

Na drewnianym tarasie dziewczyna, Iris, porusza się na krześle. Wydaje się trochę nieswoja. Czy Esme się na nią gapiła? Nie jest pewna. Na ich stoliku pojawiły się dwie filiżanki, coś z nich paruje. Iris popija z jednej, trzymając ją w obu dłoniach, i Esme uśmiecha się na ten widok, bo jej matka nigdy by na to nie pozwoliła, a Iris jest taka do niej podobna: jest tak, jakby Esme została użyczona wizja jej matki w jakimś idyllicznym życiu po śmierci, wypoczywającej na słońcu, z nową fryzurą, która przykłada filiżankę do ust i używa do tego wszystkich dziesięciu palców. Esme znowu się uśmiecha i uderza w drewnianą barierkę otwartą dłonią.

To Catriona podmieniła blezer. Jest o tym przekonana. I jedyną osobą, która mogła to potwierdzić, była...

Dziewczyna pochyla się do przodu, mówiąc coś, i wizja matki Esme, rozkoszującej się ziemską filiżanką herbaty, zanika. Jest teraz tylko ona i ta dziewczyna, Iris, w kawiarni nad morzem, a tamto wszystko działo się dawno temu. Musi o tym pamiętać.

A jednak jest pewna, że to była Catriona. Tamtego wieczoru w szatni

Esme zastała gromadę dziewczyn zdejmujących kapelusze i płaszcze z kołków. Potem wyszła stamtąd na korytarz i zaczęła się szamotać ze swoim blezerem, wpychając jedną rękę do rękawa i starając się znaleźć drugi otwór. Nie wychodziło. Nie mogła go znaleźć. Położyła na podłodze swój worek i spróbowała znowu, ale jej palce ślizgały się po podszewce, wciąż nie mogły znaleźć otworu. Później miała sobie przypomnieć, że niewyraźnie, w oddali, zobaczyła Catrionę, uciekającą w głąb korytarza. Ściągnęła blezer – tak czy owak był koszmarny, nie rozumiała, dlaczego kazano im je nosić – i przyjrzała mu się dokładnie. Czy wzięła właściwy? Wyglądał tak samo, ale z kolei wszystkie tak wyglądały. I przy kołnierzyku była naszywka z jej nazwiskiem, E. LENNOX. Esme wsunęła obie ręce w rękawy i energicznym ruchem wciągnęła go na plecy.

Efekt był natychmiastowy. Ledwie mogła się ruszyć, ledwie oddychała. Miała wrażenie, że blezer napina się na jej ramionach, że przyszpila jej ręce do boków, że gryzie ją pod pachami. Rękawy okazały się za krótkie, wystawały z nich całe nadgarstki. Blezer wyglądał jak jej blezer, miał naszywkę, która to potwierdzała, a jednak to nie był jej blezer. Nie chciał się dopiąć na piersi. Dwie dziewczyny, które właśnie przechodziły obok, wytrzeszczyły na nią oczy.

Esme siada znów przy stoliku.

– Zamówiłam dla ciebie kawę, ale nie wiem, czy dobrze zrobiłam, czy przypadkiem nie wolisz herbaty – mówi Iris.

Wskazuje gestem filiżankę. Esme się przygląda. Jest po brzegi wypełniona białą pianką. Na zakrzywieniu podstawka leży srebrna łyżeczka. I jeszcze mały, brązowy herbatnik. Esme na ogół nie pije ani kawy, ani herbaty, ale stwierdza, że tym razem zrobi wyjątek. Czubkami

palców jednej dłoni dotyka gorącej porcelany, potem dotyka jej drugą dłonią.

– Może być kawa – mówi.

Kitty czekała na nią, kiedy wysiadła z tramwaju, oparta o mur na rogu.

– Co się stało? – spytała, kiedy Esme do niej podeszła.

– To nie mój cholerny blezer – odburknęła Esme, nie zatrzymując się.

– Nie przeklinaj. – Kitty wlokła się za nią. – Jesteś pewna? Wygląda tak samo jak twój.

– To nie ten, mówię ci. Jakaś głupia dziewucha go podmieniła, nie wiem...

Kitty wyciągnęła rękę i odwinęła kołnierz.

– Tu jest twoja naszywka.

– Przyjrzyj mu się! – Esme zatrzymała się na środku chodnika i wyciągnęła ręce. Rękawy kończyły się tuż za łokciami. – Widzisz, że to nie mój blezer.

– Wyrosłaś i tyle. Ostatnio mocno urosłaś.

– Rano na mnie pasował.

Skręciły w Lauder Road. Latarnie zaczynały już płonąć, tak jak co dnia o tej porze, i człowiek, który je zapalał, szedł po drugiej stronie ulicy, z tyczką na ramieniu. Esme poczuła, że jej pole widzenia się kurczy i że zaraz zemdleje.

– Och! – wybuchła. – Nienawidzę tego! Nienawidzę!

– Czego?

– Właśnie tego. Tak się czuję, jakbym na coś czekała, i boję się, że to coś może nigdy nie nadejść.

Kitty zatrzymała się i spojrzała na nią nie rozumiejącym spojrzeniem.

– O czym ty gadasz?

Esme oparła się o mur jakiegoś ogrodu, ciskając swój worek na ziemię, i spojrzała na żółtą łunę gazowego światła.

– Sama nie bardzo wiem.

Kitty zaszurała stopą na chodniku.

– Posłuchaj, przyszłam ci powiedzieć... dzwonił pan McFarlane. Matka jest wściekła na ciebie. On twierdzi... twierdzi, że rzuciłaś klątwę na jego córkę.

Esme wytrzeszczyła oczy na siostrę, po czym wybuchnęła śmiechem.

– To nie jest śmieszne, Esme. Był naprawdę zły. Matka powiedziała, że jak przyjdziemy do domu, to mamy zaraz iść do gabinetu ojca i zaczekać tam na niego. Pan McFarlane powiedział, że przepowiedziałaś śmierć Catriony. Powiedział, że naskoczyłaś na nią jak dziki kot i że rzuciłaś na nią klątwę.

– Klątwę? – Esme wytarła oczy, ale nie przestała się śmiać. – Gdybym tylko mogła...

Po lunchu Iris i Esme wychodzą z kawiarni i wędrują ścieżką w stronę miasteczka. Iris zapina marynarkę na guziki, żeby tak nie dygotać, bo z obu stron siecze je wiatr. Widzi, że Esme idzie zgięta wpół, ale nie chroni twarzy przed podmuchami. W tej kobiecie jest coś dziwnego. Nikt by się raczej nie domyślił, że całe życie spędziła w zamknięciu, a jednak jest coś – coś w tych szeroko otwartych oczach albo może w tym braku zahamowań – co ją odróżnia od innych ludzi.

– Ha – mówi z szerokim uśmiechem – jak ja dawno nie szłam pod wiatr.

Mijają jakieś ruiny, które sterczą z trawy niczym zęby starca. Esme przystaje, chce im się przyjrzeć.

– To stare opactwo – wyjaśnia Iris, dźgając niski, skruszały mur stopą. Po czym, przypomniawszy sobie coś, co gdzieś, kiedyś wyczytała, dodaje: – Podobno odbywał się tu kiedyś sabat i pojawił się na nim sam diabeł, który pouczył czarownice, jak rzucić taki urok, by utopić króla.

Esme obraca się w jej stronę.

– Naprawdę?

Wyraźnie się przejęła, czym Iris jest lekko zaskoczona.

– Cóż – odpowiada jej udawanie normalnym tonem tak jedna z nich twierdziła.

– Ale po co by tak mówiła, gdyby to nie była prawda?

Iris musi się zastanowić przez chwilę, wymyślić, jak to ująć.

– Myślę – zaczyna ostrożnie – że jak cię biorą w imadła, to stajesz się dość pomysłowa.

– Och – mówi Esme. – Chcesz powiedzieć, że były torturowane?

Iris odchrząkuje, a potem chwytają atak kaszlu. Dlaczego w ogóle zaczęła tę rozmowę? Co też ją opętało?

– Chyba tak – mamrocze. – Tak.

Esme idzie wzdłuż fragmentu murów, stawiając jedną stopę przed drugą równym, zdecydowanym rytmem, zupełnie jak marionetka. Zatrzymuje się przy narożniku.

– Co się z nimi stało? – pyta.

– E... – Iris histerycznie rozgląda się dookoła, szukając czegoś, czym mogłaby zająć uwagę Esme. – Nie jestem pewna. – Wskazuje zamaszystym gestem morze. – Popatrz! Statki! Pójdziemy na nie

popatrzeć?

– Zabili je? – Esme nie ustępuje.

– Ja... no... być może. – Iris drapie się po głowie. – Chcesz iść popatrzeć na statki? Albo na lody? Masz ochotę na lody?

Esme prostuje się, ważąc na dłoni kamyk.

– Nie – odpowiada. – Palili je na stosie czy wieszali? Bo w niektórych rejonach Szkocji czarownice się kiedyś wieszało, prawda? Albo grzebało żywcem.

Iris musi stłamsić ochotę, by ukryć twarz w dłoniach. Zamiast tego bierze Esme pod rękę i odciąga ją od ruin opactwa.

– Może powinnyśmy już wracać do domu. Co ty na to?

Esme kiwa głową.

– Proszę bardzo.

Iris wędruje teraz bardzo uważnie, odtwarzając w głowie drogę powrotną do samochodu, starając się unikać kolejnych zabytków.

... jakieś słowo na to, wiem, że jest. Znam je. Znałam je jeszcze wczoraj. To taki dziwny przedmiot, który się wiesza pod sufitem, z drucianą ramą, na której się rozpina fioletową tkaninę. W środku jest światło, to światło tam wisi. Kiedy robi się ciemno, naciska się przełącznik w ścianie i to coś zaczyna świecić. Tylko co to za słowo? Na pewno je znam, prawie je widzę, zaczyna się na...

... leen, Kathleen. Nade mną pochyla się jakaś kobieta, zbyt blisko, w ręku trzyma drewnianą łyżkę. Ta łyżka jest ubrana w spódnicę i fartuch, w miejscu, gdzie powinny być włosy, ma poprzyklejane pasma włóczki, w miejscu twarzy jest namalowany ogromny, czerwony uśmiech. To

groteskowy przedmiot, coś okropnego, i w ogóle dlaczego ona mi go kładzie na kolanach? Wszyscy, widzę to teraz, dostali takie coś; nie wiem po co. Nic tylko cisnąć to na podłogę. Spódniczka, w którą ubrana jest łyżka, zadziera się do góry i widzę teraz tę pojedynczą, bladą nogę, kiedy...

... dlatego matka zatrzymała się na rogu, kazała jej zawrócić po rękawiczki. W tamtych czasach zawsze należało nosić rękawiczki, kiedy się wychodziło z domu, nie wypadało chodzić z gołymi rękoma, zwłaszcza gdy się wywodziłaś z takiej rodziny jak nasza. Były skórzane i szczelnie opasywały dłonie, każda z nas musiała znać swój rozmiar. A ona miała wyjątkowo długie palce, tak nam powiedział subiekt ze stoiska z rękawiczkami u Maules'a. Oktawa i jeszcze dwa, odparła z uśmiechem, to mój rozstaw. Nie zrozumiał, o czym ona mówi. Była dobrą pianistką, ale brakowało jej dyscypliny, tak twierdziła babka. No więc matka kazała jej wrócić po rękawiczki i przy okazji poprawić pończochę, która zsunęła jej się z nogi i odsłoniła pasek nagiego ciała tuż pod rąbkiem spódnicy, co oczywiście było bardzo nieeleganckie. Poszłam razem z nią, bo zauważyłam, jaką ma nadętą minę. Ja tego nie wytrzymam, ja tego nie wytrzymam, syczała mi do ucha, kiedy szłyśmy, przy czym ona szła szybciej niż normalnie, więc prawie musiałam biec, żeby dotrzymać jej kroku. Te zasady, te idiotyczne zasady, jak człowiek ma je wszystkie spamiętać? To tylko rękawiczki, uspokajałam ją, przecież ci o nich przypominałam, kiedy wychodziłyśmy z domu. Ona jednak była wściekła, takie drobiazgi zawsze ją irytowały. I oczywiście nie mogłyśmy znaleźć tych rękawiczek. Albo może znalazłyśmy tylko jedną. Nie pamiętam. Wiem, że szukałyśmy wszędzie. Nie mogę myśleć o wszystkim, powiedziałam jej, kiedy tak szukałyśmy, bo ona wiecznie gubiła, jak nie

jedną, to drugą, i to zawsze ja musiałam pamiętać o rękawiczkach, i za siebie, i za nią, i nawet zaczęłam...

... TAA-TAM, ta-ta-ta-ta-ta-tam, te-te-te, te-te-te, TAA-TAM, ta-ta-ta-ta-ta-tam. Chopin. Wiecznie go grała. I to grała go w taki sposób, że ta wypchana surykatka, która stała na pianinie, zaczynała podskakiwać. Matka tego nie cierpiała. Zagraj coś ładnego, Esme, mówiła, nie tego okropnego...

... słowo, które z całą pewnością znałam. Ktoś tu był i zapalił światło. Inni wstają i majstrują przy telewizorze, ale ja wolałabym wrócić już do swojego pokoju, tyle że nie ma tu nikogo, kto by mi mógł teraz pomóc, dlatego będę musiała siedzieć i czekać, cały czas próbując sobie przypomnieć, jak się nazywa to coś zwisające z sufitu. Konstrukcja z drutu i tkaniny, z żarówką w środku, która się świeci...

... mogłam powiedzieć o blezerze. Powiedziałam? Nie pamiętam. Esme. Esme. Esme. Nie chciała puścić, powiedziały. Trudno orzec, czy...

... a kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, to miałam wrażenie, że się rozpuszczę, jak cukier w wodzie. Wysiadłyśmy z tramwaju na Tollcross, bo się zepsuł, pantograf odłączył się od przewodów; pomagałam matce przy sprawunkach, dlatego obie byłyśmy obładowane pudłami i paczkami. Przeszłyśmy na trotuar i on tam stał. Obok swojej matki. Też z pudłami i paczkami. Wyglądaliśmy jak lustrzane odbicia. Matka i pani Dalziel wdały się w rozmowę na temat pogody, tramwaju oraz zdrowia swoich małżonków, w tej kolejności, po czym pani Dalziel przedstawiła nam swojego syna. To mój James, powiedziała, aleja oczywiście już to wiedziałam. Wszystkie dziewczyny w Edynburgu znały Jamiego Dalziela. James, powiedziałam, a wtedy on ujął mnie za rękę. Miło cię poznać,

Kitty, odparł, a ja zachwyciłam się sposobem, w jaki wymówił moje imię, tym, że mrugnął do mnie, kiedy matka się odwróciła w stronę ulicy, wypatrując, czy jedzie następny tramwaj, tym, że niósł swoje pudła, jakby one nic nie ważyły. Tamtego wieczoru wsunęłam swoją rękawiczkę pod poduszkę. Kiedy się rozstawaliśmy, pani Dalziel powiedziała, że muszę koniecznie przyjechać na ich przyjęcie do Hogmanay. I twoja siostra też, dodała. Na odchodnym nazwała go Jamiem. Jamie, uważaj na zakupy. Zaledwie tydzień później spotkałam go na ścieżce w Meadows. Był z przyjacielem, Duncanem Lockhartem, ale na Duncana nie spojrzałam nawet dwa razy, ma się rozumieć. A dokąd to zmierzasz, zapytał, kiedy zrównał ze mną krok, a ja wyjaśniłam, że wyszłam po siostrę. Ja też mam małą siostrzyczkę, powiedział, a ja mu na to, że moja nie jest już taka mała, jest wyższa ode mnie i niedługo skończy szkołę. I kiedy to powiedziałam, zobaczyłam ją, jak idzie ulicą. Szła w naszą stronę i, no wiesz, ledwie na niego spojrzała. Witaj, powiedziała do mnie, a ja na to: To moja siostra, Esme, a on się wtedy uśmiechnął tak po swojemu, ujął ją za rękę i powiedział, że jest oczarowany. Tak właśnie powiedział: oczarowany. A ona się roześmiała, autentycznie się zaśmiała, i wyrwała rękę. Posłuchaj siebie, co ty wygadujesz, powiedziała mu, i dodała: idioto, tak głośno, że musiał to usłyszeć. A potem, kiedy oglądnęłam się na niego, zobaczyłam całą prawdę, że to on byłby gotów rozpuścić się jak cukier w wodzie. I kiedy to zobaczyłam...

... problem rodził się także wtedy, gdy dokądś szłyśmy, ona i ja, a dostawałyśmy zaproszenia całkiem regularnie, oczywiście za sprawą naszego rodowego nazwiska, mimo że ona za nic nie chciała się zaprzyjaźnić z żadną ze szkolnych koleżanek. Harpie, mówiła o nich,

takiego używała słowa. Ale za każdym razem, gdy dokądś szłyśmy, na party tenisowe, na podwieczorek albo na tańce, zawsze robiła coś dziwnego, coś nienormalnego. Bębniła na pianinie albo przez cały czas rozmawiała z psem, a któregoś razu weszła na drzewo i siedziała tam, wśród konarów, gapiąc się w przestrzeń i skręcając te swoje dzikie włosy. Jestem pewna, że niektórzy ludzie przestali nas zapraszać z powodu jej zachowania. I muszę przyznać, że bardzo głęboko to przeżywałam. Matka twierdziła, że mam do tego prawo. Żebyś ty, mówiła, która nigdy się nie prowadzisz inaczej jak tylko w absolutnej zgodności z zasadami dobrego wychowania, miała cierpieć z jej powodu. To niesprawiedliwe. Któregoś razu podsłuchałam...

... moja była z białej organdyny z brzeżkiem w kwiaty pomarańczy i nie chciałam, żeby ostrokrzew ją rozdarł, dlatego to ona niosła wieniec. Jej tak nie zależało na sukni. Chciała szkarłatnego aksamitu. Purpury. Tymczasem dostała burgundową taftę. I twierdziła, że jest źle dopasowana, że szwy są krzywe, i nawet ja to widziałam, ale dlaczego tak nagle stwierdziła, że takie rzeczy są ważne...

... jakaś dziewczyna przykuca przede mną i widzę, że rozwiązuje sznurowadła w moich butach, że zdejmuje te buty, i mówię do niej: To ja je wzięłam, ja je wzięłam i nigdy się nikomu nie przyznałam. Dziewczyna patrzy na mnie i chichocze. Codziennie nam to powtarzasz, mówi. Wiem, że ona kłamie, więc tłumaczę, że ono należało do mojej siostry, no rozumiesz. A ta dziewczyna tylko się odwraca, żeby coś powiedzieć do kogoś ponad swoim ramieniem i...

... podsłuchałam raz, jak ją obgadywano, śmiano się z niej. To była dziewczyna w bluzce z krepy, naprawdę ślicznej, z haftkami od góry do

dołu. Pokazywała palcem Esme i trącała dwóch mężczyzn, którzy z nią stali. Popatrzcie tylko na to Straszydło, powiedziała. Straszydło, właśnie tak ją przezywali. Spojrzałam w tamtą stronę i dasz wiarę? Siedziała na fotelu i trzymała jedną łydkę przerzuconą przez poręcz, z książką na podołku, zupełnie się nie krępując, że widać spod spódnicy, że rozkraczyła nogi. To była potańcówka, na litość boską. Byłam taka zadowolona, że mnie zaproszono, to była porządna rodzina i wiedziałam, że następnym razem już nas nie zaproszą. Twarz mi pałała, ale musiałam do niej podejść, na oczach wszystkich, i mimo że dwa razy wypowiedziałam jej imię, była tak pochłonięta lekturą, że aż musiałam potrząsnąć ją za ramię. Spojrzała wtedy na mnie i wyglądało to tak, jakby budziła się ze snu. Przeciągnęła się. Naprawdę się przeciągnęła i powiedziała: Witaj, Kit. A potem musiała pewnie zauważyć, że jestem bliska łez, bo twarz jej obwisła i spytała: O co chodzi? A ja jej na to: O ciebie. Niszczysz moje szanse. A ona wtedy, wyobraź to sobie, spytała: Szanse na co? I wtedy zrozumiałam, że gdyby mi się udało...

... jak on na nią patrzył...

... surykatka, która podskakiwała w swojej szklanej skrzynce. Podobno złapał ją mój dziadek. Babka bardzo ją sobie ceniła. A ona twierdziła o tej surykatce, że wydaje się strasznie skrzywdzona, właśnie takim określeniem ją opisywała: skrzywdzona. I nic dziwnego, mawiała, kiedy grała, popatrując na nią, kto by chciał być zamknięty w...

... TAA-TAM, ta-ta-ta-ta-ta-tam. Pamiętam, że...

I tak oto wędrują razem po chodniku w North Berwick, Esme z Iris, najpierw ta dziewczyna, Iris, a za nią Esme, która wpatruje się w pięty w

czerwonych butach, które to znikają, to się znów pojawiają. Iris jej powiedziała, że wracają do samochodu, i Esme nie może się już doczekać, kiedy do niego wsiądzie, kiedy się umości na fotelu, i liczy, że dziewczyna znowu włączy radio i będą słuchały muzyki podczas jazdy powrotnej.

Idzie i wspomina, jak posprzeczała się raz z ojcem, któregoś wieczoru tuż przed pójściem spać, kiedy ogień już dogasał i Kitty, matka i babka zajmowały się czymś, co nazywały pracami ręcznymi, i matka spytała ją zwyczajnie, gdzie ten kwadrat z ozdobnej tkaniny, który jej dała. Esme jednak nie umiała się przyznać, że go schowała, że go wepchnęła pod poduszki w swoim pokoju.

– Odłóż tę książkę, Esme – powiedziała matka. – Już się dość naczytałaś jak na jeden wieczór.

Esme jednak nie potrafiła odłożyć książki, bo ludzie na tej stronie i pokój, w którym się znajdowali, pochłonęli ją bez reszty, ale potem ojciec stanął tam przed nią i wyrwał jej książkę z rąk, zamknął, nie zaznaczając strony, i nagle widziała już tylko ten pokój, w którym sama się znajdowała.

– Zrób, o co prosi cię matka – rozkazał. – Na litość boską.

Wyprostowała się, czując w sobie furię, i zamiast powiedzieć: Proszę, oddaj mi książkę, wypaliła:

– Chcę się dalej uczyć.

Wcale nie chciała tego powiedzieć. Wiedziała, że to nie jest dobry moment, żeby o tym mówić, że to donikąd nie zaprowadzi, ale to pragnienie sprawiało jej ból i nie mogła się powstrzymać. Słowa wyleciały z tego miejsca, w którym się dotąd ukrywały. Bez książki jej ręce wydawały się obce i bezużyteczne, a chęć pozostania w szkole wybiła się

na powierzchnię i wydostała z ust bez jej zgody.

W pokoju zapanowało milczenie. Babka podniosła wzrok na swojego syna. Kitty zerknęła na matkę, potem wróciła spojrzeniem do robótki. Co ona znowu szyła? Jakieś idiotyczne coś z koronki i wstążek do jej wyprawki, czy też *trousseau,* jak to nazywała, z tym afektowanym francuskim akcentem, pod którego wpływem Esme zachciało się wrzeszczeć. Będziesz najpierw musiała znaleźć sobie męża, panieneczko, powiedziała dopiero co służąca i Kitty tak się zdenerwowała, że aż musiała wybiec z pokoju, dlatego Esme wiedziała, że lepiej nie krytykować tej sterty koronek i jedwabiu, która rosła w ich komodzie.

– Nie – odparł ojciec.

– Proszę. – Esme wstała. Sczepiła z sobą dłonie, żeby je unieruchomić. – Panna Murray twierdzi, że mogłabym dostać stypendium i potem może uniwersytet i...

– Z tego nie byłoby żadnej korzyści – powiedział ojciec, sadowiąc się z powrotem w swoim fotelu. – Moje córki nie będą zarabiały na życie.

– Tupnęła nogą – trzask – i od tego poczuła się lepiej, choć wiedziała, że to nie pomoże, że tylko wszystko pogorszy.

– A niby czemu nie?! – krzyknęła, bo ostatnimi czasy czuła, że wokół niej coś się jakby zamyka. Nie mogła znieść myśli, że za kilka miesięcy będzie tkwiła w tym domu, od rana do wieczora pod czujnym okiem matki i babki, nie znajdując żadnych powodów do odejścia. Kitty niebawem odejdzie, zabierając z sobą koronki i wstążki. I nie będzie ucieczki, żadnej ulgi od tych ścian, od tego pokoju, od tej rodziny, dopóki nie wyjdzie za mąż, i ta myśl była równie nieprzyjemna, jeśli nie gorsza.

Docierają wreszcie do samochodu. Iris przekręca kluczyk w zamku i

Esme widzi, że z boku błyska pomarańczowe światełko. Otwiera drzwi i wsiada do środka.

Minął zaledwie dzień, może dwa, kiedy ona i Kitty siedziały razem w sypialni. Kitty znowu coś szyła – nocną koszulę, halkę, kto to wie? Esme stała przy oknie, przyglądając się, jak jej oddech się rozpłaszcza i bieleje na szybie, potem rysowała po nim palcami, przysłuchując się, jak skrobią szybę.

Do pokoju wkroczyła majestatycznie babka.

– Kitty, ruszaj się – powiedziała z rzadkim uśmiechem na twarzy. – Masz gościa.

Kitty odkłada igłę.

– Kogo?

Za plecami babki pojawiła się matka.

– Kitty, odłóż to, prędko – rozkazała. – On tu jest, czeka na dole...

– Kto? – spytała Kitty.

– Młody Dalziel. James. Dostał gazetę, ale nie może długo czekać.

– Esme przyglądała się z siedziska na parapecie okiennym, kiedy matka zaczęła pracować nad włosami Kitty, zakładając je za uszy, potem je znów rozpuszczając luźno.

– Powiedziałam, że idę po ciebie – mówiła Ishbel, głosem łamiącym się z zachwytu – a on wtedy odparł: „Cudownie". Słyszałaś? „Cudownie". Więc spiesz się, spiesz. Wyglądasz bardzo ładnie, a zresztą pójdziemy razem z tobą, więc nie musisz... – Ishbel odwróciła się i zauważywszy Esme w oknie, dodała: – Ty też. Zbieraj się.

Esme schodziła powoli. Nie miała ochoty spotykać się z żadnym z absztyfikantów Kitty. Wszyscy wydawali jej się tacy sami – nerwowi

mężczyźni z przesadnie ulizanymi włosami, wyszorowanymi dłońmi i wyprasowanymi koszulami. Przychodzili, pili herbatę, a od niej i od Kitty wymagano, że będą z nimi rozmawiały, podczas gdy ich matka niczym jakiś sędzia siedziała na krześle po drugiej stronie pokoju. Cała sytuacja sprawiała, że Esme miała ochotę na wybuch szczerości: Przestańmy wreszcie udawać, chcesz się z nią ożenić czy nie?

Chwilę zwlekała na podeście, przyglądając się ponurej akwareli szarego nieba nad wybrzeżem Fife, ale w hallu pojawiła się babka.

– Esme! – syknęła i Esme zwlokła się wreszcie na dół.

W salonie umościła się w kącie, w fotelu z wysokimi oparciami. Oplotła łydki wokół wypolerowanych nóg i zaczęła się przyglądać mężczyźnie, który przyszedł zalecać się do Kitty. Taki sam jak wszyscy. Choć może nieco przystojniejszy. Włosy koloru blond, aroganckie czoło, nienagannie czyste mankiety. Zapytał Ishbel o róże, które pływały w misie stojącej na stole. Esme musiała zwalczyć ochotę, by przewrócić oczyma. Kitty siedziała na sofie, sztywno, jakby kij połknęła; z rumieńcem rozchodzącym się po szyi nalewała herbatę do filiżanki.

Esme zaczęła bawić się w grę, w którą często grała sama ze sobą w takich momentach, czyli rozglądała się po pokoju i obmyślała, jak by mogła go obejść, nie dotykając podłogi. Zeszłaby z sofy na ten niski stolik i stamtąd na podnóżek. A potem na...

Zorientowała się, że matka patrzy na nią i coś mówi.

– Co takiego? – spytała.

– James mówił do ciebie – powiedziała matka.

Lekkie rozszerzenie nozdrzy ostrzegało – Esme dobrze o tym wiedziała – że ma się zachowywać przyzwoicie albo nabawi się kłopotów.

– Ja tylko... – zaczął James, wysuwając się do przodu na fotelu i wspierając łokcie na kolanach. Znienacka objawiło się w nim coś znajomego. Możliwe to, że Esme poznała go już wcześniej? Nie była pewna. – ... wyraziłem swój podziw dla ogrodu pani matki.

Zapadło milczenie i Esme uświadomiła sobie, że teraz nadeszła jej kolej, by coś powiedzieć.

– Ach tak – odparła. Nie umiała wymyślić nic innego.

– Może zechce mnie pani po nim oprowadzić?

Esme zamrugała niemądrze.

– Ja? – spytała.

Wszyscy na nią spojrzeli, jak jeden mąż. Matka, babka, Kitty, James. I na twarzy jej matki pojawił się wyraz takiego zażenowania, takiego szoku, że przez chwilę Esme bała się, że wybuchnie śmiechem. Babka gwałtownie obracała głowę, od Jamesa do Esme, od Esme do Kitty, i potem znowu do Jamesa. Jej też coś już świtało. Nerwowo przełykała ślinę i w końcu musiała chwycić swoją filiżankę.

– Nie mogę – odparła Esme.

James uśmiechnął się do niej.

– A to dlaczego?

– Bo... – Esme zastanawiała się przez chwilę – ... skaleczyłam się w nogę.

– Doprawdy? – James opadł na oparcie fotela i przyjrzał się jej badawczo, omiatając wzrokiem jej nogi, od kostek po kolana. – Przykro mi to słyszeć. Jak to się stało?

– Upadłam – wymamrotała Esme i wsadziła do ust kawałek ciasta owocowego, by zasygnalizować, że to koniec rozmowy, i na całe szczęście

matka z babką przyszły jej na ratunek, bo jedna przez drugą zaczęły mu oferować towarzystwo jej siostry.

– Kitty będzie uszczęśliwiona, jeśli...

– A może tak pójdzie pan z Kitty, ona posiada...

– ... będzie mogła pokazać panu kilka interesujących roślin w dalekim zakątku...

– ... rozległą wiedzę na temat ogrodu, pomaga mi tam bardzo często, widzi pan...

James wstał.

– Bardzo dobrze – powiedział i podał ramię Kitty. – Pójdziemy zatem?

Po ich wyjściu Esme wyciągnęła nogi spod krzesła i pozwoliła sobie przewrócić oczami, tylko raz, do sufitu. Przestraszyła się jednak, że James ją przyłapał, bo zbyt późno zauważyła, że obejrzał się w jej stronę, kiedy wychodził z pokoju śladem Kitty.

I nie pamięta teraz, ile potem minęło czasu do tamtego dnia, kiedy szła wśród drzew. Był wczesny wieczór, tyle pamięta. Została w szkole do późna, żeby dokończyć wypracowanie. Mgła opadała na miasto, klejąc się do budynków, ulic, latarni, czarnych konarów, sprawiając, że wszystko wydawało się zamazane i nieodróżnialne. Jej włosy schowane pod szkolnym beretem nasiąkły wilgocią, a stopy zrobiły się lodowato zimne.

Przerzucała właśnie worek z książkami na drugie ramię, kiedy zauważyła ciemny kształt lawirujący między drzewami w parku Meadows. Starała się nie oglądać za siebie i przyspieszyła kroku. Mgła gęstniała, szara i mokra.

Chuchała na swe zmarznięte na kość palce, kiedy, jakby znikąd, jakaś postać wyłoniła się przed nią z mroku i schwyciła ją za ramię. Wrzasnęła

przeraźliwie i pochwyciwszy skórzany pasek swojego worka, zamachnęła się na głowę tej osoby całym ciężarem swoich książek. Upiór stęknął głucho, potem zaklął, chwiejnie zataczając się w tył. Esme poderwała się do biegu, kiedy usłyszała, że on woła ją po imieniu.

Zatrzymała się i zaczekała, wytężając wzrok. Postać pojawiła się znowu, materializując się z szarych oparów, tym razem trzymając się ręką za głowę.

– Dlaczego to zrobiłaś? – warczał ten człowiek.

Zdumiona Esme wytrzeszczyła na niego oczy. Nie potrafiła uwierzyć, że to jest to potworne widmo z mroku. Miał jasne włosy, gładką twarz, porządny płaszcz i mówił akcentem z Grange, świadczącym o pochodzeniu z dobrego domu.

– Czy ja pana znam? – spytała.

Mężczyzna wyciągnął chusteczkę z kieszonki i wytarł nią skroń.

– Popatrz – wykrzyknął – krew! Zraniłaś mnie do krwi.

Esme zerknęła na białą bawełnę i zobaczyła trzy szkarłatne kropki. Do mężczyzny wreszcie dotarło, co powiedziała.

– Czy ty mnie znasz? – spytał zszokowany. – Nie pamiętasz mnie?

Jeszcze raz mu się przyjrzała. Zauważyła, że dziwnie skojarzył jej się z uczuciem uwięzienia, martwoty i nudy. W jej głowie coś zaskoczyło i wreszcie sobie przypomniała. James. Zalotnik, któremu podobał się ogród.

– Przyszedłem do was w odwiedziny – powiedział. – Ty tam byłaś, twoja siostra Kąty i...

– Kitty.

– Racja. Kitty. Przecież to było nie dalej jak przedwczoraj. Nie wierzę, że mnie nie rozpoznałaś.

– Mgła – próbowała usprawiedliwić się Esme, zastanawiając się, czego on jeszcze chce. Doprawdy miała prawo już sobie iść. Jej nogi były zimne jak lód.

– Ale po raz pierwszy poznałem cię właśnie tutaj. – Wskazał gestem za siebie. – Pamiętasz?

Skinęła głową, tłumiąc uśmiech.

– Mhm. Pan Oczarowany.

Wykonał drwiący ukłon, ujął jej dłoń, jakby chciał ją pocałować.

– Nie kto inny.

Wyrwała rękę.

– No więc... Muszę już iść. To do widzenia.

On jednak ujął jej ramię, splótł je ze swoim i zaczął iść razem z nią po trotuarze.

– Tak czy owak – powiedział takim tonem, jakby nadal rozmawiali, jakby wcale się z nim nie pożegnała – to nie ma znaczenia, bo ważne jest oczywiście to, kiedy pójdziesz ze mną do kina.

– Nie pójdę.

– A ja cię zapewniam, że pójdziesz – odparł z uśmiechem.

Esme zmarszczyła czoło. Jej kroki utraciły rytm. Próbowała wyrwać palce z jego dłoni, ale trzymał je mocno.

– Ja natomiast pana zapewniam, że nie pójdę. A ja to już wiem najlepiej.

– Na jakiej podstawie?

– Bo to przecież zależy ode mnie.

– Czyżby?

– Oczywiście.

– A gdybym tak – powiedział, ściskając jej rękę jeszcze mocniej – zapytał twoich rodziców? Co wtedy?

Esme wyrwała rękę.

– Nie może pan pytać moich rodziców, czy pójdę z panem do kina.

– Nie mogę?

– Nie – odparła. – A zresztą nawet gdyby powiedzieli, że tak, to i tak bym nie poszła. Wolałabym... – próbowała wymyślić coś ekstremalnego, coś, dzięki czemu wreszcie by sobie poszedł – ... wolałabym wsadzić sobie szpilki w oczy. – Uznała, że to powinno wystarczyć.

Tymczasem on uśmiechał się szeroko, jakby powiedziała coś nadzwyczaj pochlebnego. Co dolegało temu człowiekowi? Poprawił rękawiczkę i obciągnął mankiet, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów, jakby się zastanawiał, czy powinien ją zjeść czy nie.

– Szpilki, powiadasz? Nie uczą cię w tej szkole dobrych manier, co? Ale ja lubię wyzwania. Zapytam cię jeszcze raz. Kiedy pójdziesz ze mną do kina?

– Nigdy – odparowała. Znowu ze zdumieniem zobaczyła, że on się uśmiecha. A przecież w życiu nie była wobec kogoś tak niegrzeczna jak wobec niego.

Stanął blisko niej, ale postanowiła, że się nie podda.

– Nie jesteś taka jak inne dziewczęta, prawda? – wymruczał.

To stwierdzenie ją zainteresowało, wbrew jej woli.

– Nie jestem?

– Nie. Nie jesteś więdnącym fiołkiem salonowym. Podoba mi się to. Lubię, jak ktoś ma w sobie trochę ikry. Bez tego życie jest nudne, nie uważasz?

W ciemnościach zalśniła biel jego zębów i Esme poczuła na twarzy jego oddech.

– Ale teraz na poważnie – dodał, tym razem stanowczym, wręcz władczym tonem, i Esme pomyślała, że pewnie w taki sposób przemawia do koni. Pod wpływem tej myśli zachciało jej się śmiać. Czy rodzina Dalzielów nie słynęła ze swych osiągnięć hippicznych? – W twoim przypadku nie będę trwonił żadnych pięknych słówek i perswazji. Wiem, że ich nie potrzebujesz. Chcę się z tobą umówić, dlatego więc pytam, kiedy?

– Już panu powiedziałam – odparła, nie spuszczając z niego wzroku.

Poczuła, że on łapie ją za nadgarstek, i zdziwiła się tą natarczywością, siłą jego uścisku.

– Puszczaj! – krzyknęła, odsuwając się od niego.

On jednak nadal ją trzymał, wciąż bardzo silnie. Zaczęła się szamotać.

– Puszczaj! – powtórzyła. – Mam cię znowu uderzyć?

Puścił ją.

– Nie miałbym nic przeciwko – wycedził. Kiedy odchodziła, usłyszała, że woła za nią:

– Zamierzam zaprosić cię na herbatę.

– Nie przyjdę! – odkrzyknęła ponad ramieniem,

– A właśnie, że przyjdziesz. Każę mojej matce, żeby zaprosiła twoją matkę. Wtedy będziesz musiała przyjść.

– Nie przyjdę!

– Mamy fortepian, na którym będziesz mogła zagrać. To steinway.

– Esme zwolniła krok i wykonała półobrót w jego stronę.

– Steinway?

– Tak.

– Skąd wiedziałeś, że gram na pianinie?

Usłyszała jego śmiech, hałaśliwy śmiech, który odbijał się od mokrego chodnika w jej stronę.

– Zrobiłem mały wywiad na twój temat. Co nie było trudne, bo wiele wskazuje na to, że jesteś raczej znaną postacią. Dowiedziałem się najrozmaitszych rzeczy. Ale nie mogę powiedzieć czego. No więc przyjdziesz na herbatę czy nie?

Znowu odwróciła się w stronę domu.

– Wątpię.

Iris skręca z trasy biegnącej wzdłuż wybrzeża, w stronę obwodnicy wiodącej do Edynburga, wioząc Esme, siedzącą obok, kiedy stwierdza, że chyba powinna zadzwonić do Luke’a. Żeby tylko sprawdzić. Tylko sprawdzić, czy nie zrobił czegoś głupiego.

Kiedy pędzą już drogą dojazdową do obwodnicy, wyjmuje telefon z kieszeni jedną ręką, nie odrywając wzroku od asfaltu i trzymając stopę na pedale gazu. Powiedziała kiedyś Luke'owi, że nie będzie nigdy dzwoniła w weekendy. Że zna zasady. Tylko co będzie, jeśli on jej powiedział? Nie mógł. Nie powiedziałby. Na pewno.

Wzdycha i ciska telefon na deskę rozdzielczą. Niewykluczone, że czas najwyższy usunąć Luke'a ze swojego życia.

Esme przybrała wygodniejszą pozycję na fotelu. Był pokryty ciężką, brązową tkaniną, na oparciach łysiał. Czuła na udach ukłucia ostrych końcówek piór. Jeszcze raz zmieniła pozycję, przyciągając spojrzenie

matki. Musiała się pohamować, żeby nie pokazać jej języka. Dlaczego kazała jej tu przyjść?

Obie matki prowadziły rozmowę na temat przyjęcia, które miało się odbyć w niedalekiej przyszłości, problemów z zaproszeniami w Edynburgu, najlepszej mleczarni, z której można otrzymać świeżą śmietankę. Esme próbowała się temu przysłuchiwać, czuła, że być może powinna coś dodać od siebie. Jeszcze się ani razu nie odezwała i pomyślała, że być może to jest właściwy moment, kiedy powinna otworzyć usta. Kitty, siedząca na sofie obok ich matki, jakoś potrafiła wtrącić kilka swoich uwag, aczkolwiek tylko Bóg wiedział, skąd się znała na kupowaniu śmietanki. Pani Dalziel skomentowała zadrapanie na twarzy Jamiego, tłumacząc, że wszedł we mgle na nisko zwisającą gałąź. Esme momentalnie zesztywniała i wszelkie możliwe gambity konwersacyjne zamarły jej w gardle.

– Sądząc po wyglądzie tej rany, musi cię strasznie boleć, Jamesie – powiedziała matka Esme.

– Wcale tak nie boli – odparł. – Zapewniam panią. Bywało gorzej.

– Mam nadzieję, że się wygoi do czasu waszego przyjęcia. Umiałbyś zidentyfikować to drzewo? Ktoś chyba powinien powiedzieć władzom. Wydaje się, że ta gałąź przysparza zagrożenia.

Jamie chrząknął.

– Faktycznie przysparza. Chyba rzeczywiście zawiadomię władze. Dobry pomysł.

Esme, z pałającą twarzą, rozejrzała się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby odstawić filiżankę. W pobliżu nie było żadnego poręcznego stolika ani innej powierzchni. Podłoga? Zerknęła ponad oparciem fotela na

parkiet. Wydawał się okropnie daleko i nie była pewna, czy uda jej się utrzymać filiżankę we właściwej równowadze na podstawku, pod takim kątem, jakiego wymagała ta odległość. Już sobie wyobrażała okruchy roztrzaskanej filiżanki pani Dalziel. Kitty i jej matka postawiły swoje filiżanki na małym stoliczku stojącym przed nimi. Poczuła, że ogarnia ją rozpacz. Obróciła się jeszcze raz, by sprawdzić, czy po drugiej stronie monstrualnie wielkiego fotela nie stoi jakiś stolik, i w tym momencie jak spod ziemi wyrósł obok James, z wyciągniętą ręką.

– Wziąć ją od ciebie? – zapytał.

Esme postawiła filiżankę na jego dłoni.

– Och – powiedziała. – Dziękuję.

Mrugnął do niej, kiedy odbierał filiżankę, i Esme zauważyła, że pani Dalziel przygląda się im obojgu wzrokiem ostrym jak brzytwa.

– Proszę mi powiedzieć, pani Lennox – odezwała się pani Dalziel, nieznacznie podniesionym głosem – co zrobi Esme, kiedy już skończy szkołę? Co pani sobie zamierzyła w związku z nią?

– No cóż... – zaczęła matka.

Esme oburzyła się raptownie. Czemu nie pytają jej wprost? Uważają, że ona nie umie mówić czy jak? Otwarła usta, nie mając pojęcia, co zaraz z nich wypadnie, dopóki nie usłyszała:

– Zamierzam podróżować po całym świecie. – I nawet ten pomysł całkiem jej się spodobał.

Jamie, siedzący naprzeciwko na krześle, parsknął odruchowym śmiechem, który natychmiast stłumił, kaszląc w chusteczkę. Kitty zagapiła się na nią ze zdumieniem, a pani Dalziel przyłożyła do twarzy okulary i długo przyglądała się Esme, od stóp aż do czubka głowy.

– Doprawdy? – spytała pani Dalziel. – Ano tak, to ci z pewnością dostarczy jakiegoś zajęcia.

Matka Esme odłożyła łyżeczkę na podstawek z donośnym szczękiem.

– Esme jest... – zaczęła – ... jest jeszcze taka młoda... Ma dość... wybujałe poglądy na...

– Sama widzę.

Pani Dalziel rzuciła spojrzenie na syna, który obrócił głowę w stronę Esme, Esme zaś w tym samym momencie obróciła głowę w stronę swojej siostry. Kitty miała wzrok wbity w podłogę, ale podniosła go na Jamiego, na ułamek sekundy, i natychmiast znowu spuściła. Esme zauważyła w tym momencie, że się zmieniła, że na jej szyi wystąpiła czerwona plama, że zacisnęła wargi. Esme siedziała w bezruchu, w szoku, po czym wstała.

Twarze wszystkich obecnych skierowały się w jej stronę. Pani Dalziel krzywiła się, znowu sięgając po okulary. Esme przeszła na sam środek dywanu.

– Czy mogłabym pograć na fortepianie państwa? spytała.

Pani Dalziel przekrzywiła głowę na bok, przycisnęła dwa palce do ust. Znowu zerknęła na syna.

– Ależ jak najbardziej – powiedziała, pochylając głowę.

James poderwał się z miejsca.

– Pokażę ci, gdzie on stoi – powiedział i pospiesznie wyprowadził Esme na korytarz. – Spodobałaś się jej – szepnął, kiedy już zamknął za sobą drzwi.

– Nieprawda. Ona myśli, że jestem diabłem wcielonym.

– Nie bądź śmieszna. To moja matka. Znam ją. Polubiła cię. – Ujął dłonią jej ramię. – Tędy – rzucił i poprowadził ją w stronę pokoju na

tyłach domu, gdzie do okien zaglądało gęste listowie, rzucając osobliwą, zieloną łunę na ściany.

– Esme usiadła na taborecie i przejechała dłońmi po wieku z czarnego drewna, po złotych literach układających się w napis „Steinway".

– Zresztą nie rozumiem, dlaczego to takie ważne – powiedziała i podniosła wieko.

– To nie jest ważne – przyznał, opierając się o instrument – masz rację. Mogę mieć, kogo chcę.

Obrzuciła go spojrzeniem. Gapił się na nią z ustami wygiętymi w uśmiechu, z włosami opadającymi na oczy, a ona zastanowiła się przez chwilę, jak to może być, kiedy jest się jego żoną. Próbowała wyobrazić sobie siebie w tym wielkim domu, z ciemnymi ścianami, z oknami, przez które próbowały wejść rośliny, z krętą klatką schodową i pokojem na górze, który mógłby należeć do niej, i tym drugim tuż obok, który należałby do niego. Mogła to wszystko mieć, skonstatowała ze zdumieniem. To mogło należeć do niej. Mogła przybrać nazwisko Esme Dalziel.

Rozprostowała palce i miękko wystukała akord.

– Nieważne – powiedziała, nie patrząc na niego – bo i tak nie zamierzam wychodzić za mąż. Za nikogo.

Parsknął śmiechem.

– Powiadasz? – Obszedł ją dookoła i dosiadł się do niej. Pozwól, że coś ci powiem – mruknął, tuż przy jej uchu.

Esme wbiła wzrok w śrubę w pulpicie do nut, w zakręcone „y" w napisie „Steinway", w ostry jak nóż kant w nogawce jego spodni. W życiu nie znajdowała się tak blisko żadnego mężczyzny. Jego ręka napierała na

jej talię. Pachniał czymś ostrym, jakąś wodą kolońską i świeżą skórą. Wcale to nie było nieprzyjemne.

– Z wszystkich dziewcząt, jakie w życiu poznałem, ty chyba najlepiej nadajesz się do małżeństwa – ciągnął.

Esme przeżyła szok. Wcale się nie spodziewała, że on powie coś takiego. Obróciła się w jego stronę.

– Ja?

A jednak jego twarz była blisko jej twarzy, zamazana z powodu tej bliskości, i wtedy naszło ją znienacka, że Jamie chce ją pocałować, więc odwróciła głowę.

– Tak – szepnął jej do ucha – masz taki charakter. Ty byś się dopasowała do mężczyzny, rozumiałabyś go w lot. Ciebie by ono nie stłamsiło.

– Małżeństwo?

– Większość kobiet się tego boi. Ciągle się takie spotyka. Piękne, młode dziewczęta, które stają się nudnymi matronami wraz z chwilą, gdy ktoś wsunie obrączkę na ich palec. Ty byś taka nie była. Ciebie małżeństwo ani trochę by nie zmieniło. Nie wyobrażam sobie, że ciebie mogłoby cokolwiek zmienić. I tego właśnie pragnę. Dlatego właśnie pragnę ciebie.

Dłoń opasująca jej talię spotęgowała uścisk i pociągnęła ją ku niemu, a potem poczuła, że on przykłada usta do jej skóry, w miejscu, gdzie kończyła się jej bluzka, a zaczynała szyja. Szok był elektryzujący. Nikt nigdy, przez całe jej życie, nie robił z nią nic tak intymnego. Obróciła się, by spojrzeć na niego ze zdumieniem, i zobaczyła, że on się z niej śmieje, przyciskając pierś do jej ramienia. Zapragnęła spytać: czy to jest to, czy to właśnie jest takie, czy to tak ma być, właśnie tak? Usłyszała jednak, że

drzwi do salonu się otwierają, po chwili rozległ się głos matki Jamiego:

– A może tak przyłączysz się do nich, moja droga Kitty?

Oderwała wzrok od Jamiego w samą porę i zobaczyła, że do salonu wchodzi jej siostra. Kitty przestąpiła przez próg i podniosła głowę. Esme zauważyła, że mruga, bardzo powoli, po czym odwraca wzrok. Esme przyłożyła dłoń do drewnianej obudowy taboretu i odepchnęła się, żeby wstać. Podeszła do siostry i wsunęła jej rękę pod ramię, ale Kitty trzymała twarz odwróconą, a jej ręka wydawała się ciężka, pozbawiona życia.

W czasie rzeczywistym Esme siedzi w samochodzie, wiozą ją z powrotem znad morza do Edynburga. Postanowiła udawać, że zasnęła. Nie dlatego, że jest zmęczona, tylko dlatego, że musi pomyśleć. Pozwala swej głowie opaść w tył i przymyka oczy. Po kilku chwilach ta dziewczyna, Iris, pochyla się i wyłącza radio. Muzyka symfoniczna, która w rzeczy samej podobała się Esme, cichnie.

Esme od bardzo dawna nie była świadkiem podobnie miłego uczynku. Nieledwie zbiera jej się na płacz, co w obecnych czasach stanowi w jej przypadku rzadkość. Korci ją, żeby otworzyć oczy i wziąć tę dziewczynę za rękę. Nie robi tego jednak. Dziewczyna nie wie, co o niej myśleć, żałuje, że ona tu jest – Esme o tym wie. A to ci dopiero. Zmartwiła się, że muzyka z radia mogłaby przeszkadzać jej we śnie. Coś takiego.

Żeby się nie rozpłakać, zaczyna myśleć. Skupia się.

Po południu ostatniego dnia starego roku matka i Kitty wyprawiają się do krawcowej, maleńkiej kobiety z koczkiem, bo mają odebrać suknie. Podczas ich nieobecności Esme wchodzi do pokoju matki. Zagląda do szkatułki z biżuterią, otwiera słoiczki stojące na toaletce, przymierza filcowy kapelusz. Ma szesnaście lat.

Wygląda na ulicę. Pusto. Przekrzywia głowę i nasłuchuje odgłosów domu. Pusto. Skręca włosy w sznur i upina je na czubku głowy. Otwiera szafę matki. Tweed, futro, wełna, krata, kaszmir. Wie, czego szuka. Wiedziała, jeszcze zanim tu przyszła, dokładnie od chwili, kiedy usłyszała szczęk zamykanych drzwi. Widziała go przelotnie zaledwie kilka razy, nocą, gdy matka sunęła korytarzem między pokojem ojca a swoim. Peniuar z jedwabiu koloru morskiej zieleni. Chce sprawdzić, czy rąbek będzie poświstywał przy jej łydkach. Chce się przekonać, czy wąskie paski będą układały się na jej ramionach. Chce się przekonać, jak jej będzie w tych koronkach koloru morza. Ma szesnaście lat.

Znajduje go najpierw na dotyk – wyczuwa chłodną pieszczotę jedwabiu. Peniuar wisi ukryty z tyłu, za drugą z kolei najlepszą garsonką matki. Esme zsuwa go z wieszaka i peniuar próbuje przed nią uciec, wyślizguje się z jej palców, spływa na podłogę. Łapie go jednak w ostatniej chwili i rzuca na łóżko. Zdejmuje sweter, nie odrywając wzroku od kałuży jedwabiu. Ma ochotę do niej zanurkować. Starczy jej śmiałości?

Teraz jednak odwraca głowę do okna w samochodzie. Otwiera oczy. Nie chce o tym myśleć. Nie myśli. Po co miałaby? Jest takie piękne słońce, a ona miałaby o tym myśleć? Miałaby o tym myśleć, kiedy jest z tą dziewczyną, której zależy na tym, czy ona się wyśpi czy nie? Kiedy wiezie ją drogą, której ona nie rozpoznaje? Wie, co to za miasto, zna te budynki, linię dachów, ale nic więcej. Nie zna tej drogi, tych sznurów pomarańczowych światełek, witryn sklepowych. Dlaczego miałaby teraz o tym myśleć?

... ani krztyny wstydu, tyle ci mogę powiedzieć. W naszej rodzinie

nigdy nie stało się nic podobnego, nigdy. I żeby to miało spaść na mojego syna. Czasy się zmieniają, tak mi powiedział, a ja mu na to, że nad małżeństwem trzeba pracować, Bóg wie, że twój ojciec i ja pracowaliśmy, myśląc w duchu, gdyby tylko wiedział. Czy rozwód jest absolutnie konieczny, czy moglibyście... i wtedy mi przerwał. Nie jesteśmy małżeństwem, powiedział, dlatego technicznie to żaden rozwód. No cóż. Oczywiście nie rozpowiadałam o tym wśród naszych znajomych. Dla dobra dziecka. Nigdy nie lubiłam tej jego żony, czy kimkolwiek ona jest. Workowate ubrania i niezadbane włosy. Twierdzi, że to przyjazne rozstanie. I muszę przyznać, że on utrzymuje bardzo poprawne kontakty z dzieckiem. To takie śliczne stworzonko, ta dziewczynka, jest podobna do mojej matki, ale jeśli idzie o charakter, to moim zdaniem najbardziej przypomina...

... nie wiem, czy lubię jogurt. Jakaś kobieta mnie o to pyta, a ja nie wiem, co odpowiedzieć. Co ja jej powiem? Powiem, że nie. Zabierze ten jogurt i nie będę musiała się nad tym zastanawiać. Ale i tak nie zaczekała na odpowiedź, zostawiła jogurt obok mojego talerza. Wezmę go do ręki i jeszcze ten długi, lśniący przedmiot, który położyła obok, jest ze srebra i ma owalną główkę, nazywa się...

... zawsze je liczył, po każdej proszonej kolacji. Trzymał te ociekające wodą wiązki, owijał je w ściereczki, wycierał trzonki i potem chował do wyłożonego aksamitem pudełka na sztućce, przy okazji skrupulatnie przeliczając. Czym zawsze doprowadzał mnie do szaleństwa. Musiałam wyjść z pokoju. Nie mogłam wytrzymać tego mamrotania pod nosem, tego, że układał je w szykach po dziesięć na uprzątniętym stole. Nie wiem, czy jest coś, co potrafi doprowadzić człowieka do jeszcze większej...

... kamyki. Uczyłam ją liczyć kamyki, które zbierałam w naszym ogrodzie w Indiach. Znalazłam dziesięć pięknych, równych, gładkich kamyków i ułożyłam je przed nią na ścieżce. Popatrz, powiedziałam, jeden, dwa, trzy, widzisz? Była boso, włosy miała związane wstążką. Jendwatsy, powtórzyła za mną i uśmiechnęła się. Nie, powiedziałam, popatrz, jeden, dwa, trzy. Złapała te kamyki, cztery jedną dłonią i sześć drugą. Zanim zdążyłam ją powstrzymać, wyrzuciła je w powietrze. Uchyliłam się, kiedy zaczęły spadać na ziemię niczym grad. Naprawdę cud, że żaden jej nie trafił, bo jak pomyśleć...

... ta matka przyprowadza czasem do mnie ich dziecko. Ona i ja nie mamy sobie wiele do powiedzenia, ale przyznaję, że sama siebie zaskoczyłam; okazało się, że stać mnie na czułość względem tego dziecka. Babciu, powiedziała do mnie któregoś dnia, i robiła wtedy w powietrzu kółka, przyglądając się przy tym swoim ruchom: Kiedy ja coś robię, to mój szkielet też to robi. A ja wtedy jej powiedziałam, masz rację, moje złotko. Mój syn może mieć jeszcze inne dzieci, jest jeszcze młody. Jeśli będzie się spotykał z kimś innym, z kimś bardziej sympatycznym, z kimś bardziej odpowiednim. Chciałabym tego. Dla Iris byłoby lepiej, gdyby nie była jedynaczką, a kto jak kto, ja o tym wiem najlepiej, bo...

... a kiedy ich tam zastałam, kiedy naszłam ich tak siedzących obok siebie, we dwoje na taborecie przed fortepianem i on gapił się na nią takim wzrokiem, jakby widział coś rzadkiego, drogocennego i upragnionego, miałam ochotę tupnąć nogą, krzyknąć, czy ty wiesz, jak oni ją przezywają, że przezywają ją Straszydłem, że ludzie wyśmiewają się z niej za plecami, wiesz o tym czy nie? Wiedziałam, że tak nie może być, że tak się nie powinno dziać, że muszę...

... nie cierpię jogurtu. Jest zimny, przesłodzony i są w nim ukryte kawałki rozpaćkanych, śliskich owoców. Nie lubię tego. Upuszczam łyżeczkę na podłogę, jogurt robi interesującą plamę w kształcie wachlarza i...

Słychać głośny, raptowny trzask, podobny do trzasku błyskawicy, i w tym momencie odrzuca ją w tył. Czuje chłód lustra na gołej skórze swojej ręki. Twarz pulsuje jej ciepłem, bólem i do Esme wreszcie dociera, że własny ojciec ją spoliczkował.

– Zdejmij to! – krzyczy. – Zdejmij to natychmiast!

Przeżyty szok powoduje, że palce Esme poruszają się niemrawo. Majstruje niezdarnie przy dekolcie, w poszukiwaniu guzików, ale te guziczki są maleńkie, obszyte jedwabiem, a jej trzęsą się ręce. Ojciec sterczy nad nią jak niedźwiedź i próbuje zdjąć z niej peniuar przez głowę. Esme pogrąża się w oceanie jedwabiu, dusi się w nim, tonie. Dławi się, bo w ustach ma własne włosy i ten jedwab; nic nie widzi, traci równowagę i potykając się, wpada na twardy kant jakiegoś mebla i przez cały ten czas jej ojciec wykrzykuje jakieś słowa, okropne słowa, słowa, których nigdy wcześniej nie słyszała.

Nagle w pokoju rozlega się głos jej matki.

– Dosyć tego – mówi.

Esme słyszy jej kroki przemierzające pokój. Jedwabna pętla zostaje zdjęta z jej głowy, zerwana brutalnie. Matka stoi przed nią. Nie patrzy na nią. Rozpina guziki peniuaru i jednym ruchem zrywa go z niej, a w głowie Esme wykwita wspomnienie jakiegoś człowieka, który odzierał królika ze skóry.

Mruga i rozgląda się dookoła. Kilka sekund wcześniej stała przed lustrem, sama, przytrzymując połę peniuaru jedną ręką i ustawiała się bokiem, bo chciała zobaczyć, jak w nim wygląda od tyłu. A teraz stoi we własnej bieliźnie, z włosami opadającymi luźno na ramiona, próbuje osłonić się rękoma. Kitty stoi przy drzwiach, wciąż w płaszczu, miętosząc dłonie odziane w rękawiczki. Ojciec stoi przy oknie, tyłem do nich. Nikt nic nie mówi.

Matka strzepuje peniuar i bardzo długo go składa, wyrównując przy szwach i wygładzając zagięcia. Układa go na łóżku.

– Kitty – mówi matka, nie patrząc na nikogo – czy zechcesz przynieść suknię swojej siostrze?

Słuchają kroków Kitty, oddalających się w głąb korytarza.

– Ishbel, ona nie pójdzie na to przyjęcie, nie po czymś takim – cedzi przez zęby ojciec. – Naprawdę uważam...

– A właśnie że pójdzie – wchodzi mu w słowo matka. – Jak najbardziej pójdzie.

– Tylko po co, do diabła? – pyta ojciec, wygrzebując z kieszeni chusteczkę. – Jaki jest sens w posyłaniu takiej dziewczyny między ludzi?

– Całkiem spory. – Matka mówi to głosem cichym, a jednak pełnym determinacji, po czym ujmuje Esme za rękę i ciągnie ją w stronę toaletki. – Siadaj! – mówi rozkazującym tonem i usadza ją siłą na taborecie. – Przygotujemy ją – mówi, odszukując szczotkę do włosów. – Dopilnujemy, by wyglądała pięknie, wyprawimy ją na ten bal, a potem – tu podnosi szczotkę i podstępnym ruchem przeciąga ją po włosach córki – wydamy ją za tego chłopca Dalzielów.

– Mamo – zaczyna drżącym głosem Esme – ja nie chcę...

Matka zbliża twarz do jej twarzy.

– To czego ty chcesz – mruczy niemalże z czułością do jej ucha – nie ma tu żadnego znaczenia. Ten chłopiec cię chce. Bóg raczy wiedzieć dlaczego, a jednak chce. Twoje zachowanie nigdy nie było tolerowane w tym domu i nigdy nie będzie. Dlatego sprawdzimy, czy kilka miesięcy w roli pani Dalziel wystarczy, żeby złamać ci ducha. A teraz wstań i ubierz się. Twoja siostra przyniosła ci suknię.

W życiu zdarzają się dziwne zbiegi okoliczności. Esme nie nazwie tego ślepym trafem: nie cierpi tego wyrażenia. Niemniej czasami jej się wydaje, że coś się za wszystkim kryje, jakaś dziwna moc sprawcza, impuls, zderzenia sił, figle chronologii.

Oto jest tutaj, zastanawia się nad tym i nagle widzi, że ta dziewczyna przejeżdża samochodem obok właśnie tego domu. Zbieg okoliczności? Czy coś innego?

Esme wykręca się na fotelu, żeby mu się przyjrzeć. Kamienne ściany są brudne, pełne ciemnych plam; na ogrodzeniu ogrodu wisi rozdarty plakat. Ścieżkę tarasują wielkie kubły z brązowego plastiku. Z okien obłazi farba.

Szły tamtędy, w swoich wyjściowych pantoflach. Kitty była tak zakochana w swojej sukni, że za nic nie chciała nieść wieńca z ostrokrzewu, dlatego Esme zaofiarowała się, że poniesie go za nią. Kitty dla odmiany niosła torebkę Esme, którą własnoręcznie ozdobiła dla niej cekinami. Kiedy przyszły na miejsce i stały w hallu, zdejmując płaszcze, Esme wyciągnęła rękę, chcąc odebrać torebkę, i Kitty ją oddała; rozprostowała palce i puściła ją. Ale nie spojrzała na Esme. Może Esme powinna się była wtedy zorientować, dostrzec ten niewidzialny wątek i osnowę, które zaczęły się splatać dookoła niej, usłyszeć zaciskanie się

przędzy. Co by było, gdyby, zawsze się zastanawia. Prawie całe życie nękały ją te „Co by było, gdyby". Bo co by było, gdyby wtedy to przewidziała, gdyby chronologia spłatała jakiegoś figla i przewidziała to, co miało się zdarzyć? Co by wtedy zrobiła? Okręciła się na pięcie i wróciła do domu?

Chronologia nie spłatała figla i Esme nie wróciła do domu. Wręczyła służącej swój płaszcz, odebrała torebkę z cekinami od Kitty, zaczekała chwilę, bo siostra zabrała się do poprawiania włosów przed lustrem, jednocześnie witając się z dziewczyną, którą obie znały. Potem Kitty ją dogoniła i weszły na schody prowadzące na górę, w stronę świateł, w stronę muzyki, w stronę stłumionego gwaru rozmów. Dwie dziewczyny na tańcach, niech więc tak będzie. Jedna siedziała, druga stała. Było późno, dochodziła północ. Młodsza dziewczyna czuła, że jej suknia jest zbyt ciasna, że pije ją pod pachami. Że rozepchane szwy lada chwila się rozejdą, jeśli odetchnie zbyt głęboko. Sprawdziła, co się stanie, jeśli wygnie plecy w łuk, ale nic nie uzyskała: suknia wybrzuszyła się niczym luźna skóra wokół jej szyi. Za nic nie chciała się tak zachowywać, tak postępować, jakby naprawdę należała do niej. Noszenie tej sukni przypominało bieg trójnożny z kimś, kogo nie lubisz.

Wstała, by móc się lepiej przyjrzeć tańczącym. Skomplikowane figury, których nie znała, kobiety przechodziły od mężczyzny do mężczyzny, po czym wracały do swoich partnerów. Obróciła się w stronę siostry.

– Ile jeszcze do północy?

Kitty siedziała na krześle obok niej, ze swoim karnecikiem na podołku. W dłoniach ubranych w rękawiczki trzymała ołówek, wycelowany w kartkę.

– Jeszcze około godziny – odparła, pochłonięta czytaniem imion. – Nie jestem pewna. Idź sprawdzić na zegarze w hallu.

Esme jednak nie poszła. Stała i przyglądała się tańczącym, dopóki wreszcie nie znieruchomieli, dopóki muzyka nie umilkła, dopóki symetryczne formacje tworzone przez uczestników tańca nie rozpadły się, przeradzając się w tłum ludzi powracających na swoje miejsca. Na widok przystojnego, blondwłosego chłopca, syna ich gospodarzy, który przedzierał się w jej stronę, prędko odwróciła się plecami. Ale się spóźniła.

– Czy wolno mi otrzymać najbliższy taniec? – zapytał, oplatając palcami jej dłoń.

Wyrwała się.

– Dlaczego nie poprosisz mojej siostry? – wyszeptała.

Skrzywił się i powiedział głośno, specjalnie głośno, żeby Kitty to usłyszała i żeby Esme zobaczyła, że Kitty to usłyszała:

– Bo nie chcę tańczyć z twoją siostrą, tylko chcę tańczyć z tobą.

Ustawiła się naprzeciwko Jamiego, do *Strip the Willow.* Oboje stali na czele w swoich szeregach, dlatego kiedy muzyka rozbrzmiała, Jamie podszedł do niej, ujął ją za ręce i zaczął z nią wirować po parkiecie. Poczuła, że tkanina jej sukni się rozdyma, że wnętrze sali wiruje dookoła niej. Muzyka miała wyraziste, prędkie tempo i Jamie ujął ją za rękę i pociągnął wzdłuż szeregu ludzi i za każdym razem, kiedy kończyła okręcać się wokół własnej osi, czekał już na nią, gotów ją schwycić wyciągniętą ręką. I na samym końcu ich kolejki, kiedy musieli złapać się za ręce i dotrzeć tanecznymi krokami do końca szpaleru utworzonego przez pozostałych tancerzy, klaszczących im do rytmu, Jamie tańczył tak prędko i tak zamaszyście, że aż wypadali z sali, na podest, co wzbudzało w

niej śmiech, a potem jeszcze on wprawiał ją w wir, przez co dostawała zawrotów głowy i musiała się chwytać jego ramienia, by nie utracić równowagi, ale i tak nadal się śmiała i on też, kiedy przyciągał ją ku sobie, kiedy obracał nią już nie tak prędko, jakby przechodzili do walca, raz po raz wokół żyrandola, a ona wtedy odrzucała głowę w tył, by widzieć świetlne punkciki przemieszczające się nad nią jak w kalejdoskopie.

W którym miejscu kończy się dłoń, a zaczyna nadgarstek? W którym miejscu kończy się ramię, a zaczyna szyja? Później często miała myśleć, że to był ten moment, który zaważył na wszystkim, bo jeśli w ogóle istniał punkt, w którym mogła coś zmienić, to właśnie to był ten moment, kiedy tak bez końca wirowała pod żyrandolem w ostatni dzień starego roku.

Prowadził ją, przymuszając do obrotów, wciąż przyciskając ją z całej siły do siebie. Poczuła nagle, że jej plecy zderzają się z jakąś ścianą, że ta ściana jakby ustępuje, że mrok połyka ich oboje, mrok w jakimś małym pokoju. I muzyka znienacka jakby zaczęła się oddalać. Esme zauważyła przytłaczające sylwety mebli, sterty płaszczy, kapeluszy. Jamie objął ją ramionami i wyszeptał jej imię. Czuła, że zaraz ją pocałuje, że jedna z jego dłoni dotyka jej włosów, i wtedy jej się pomyślało, że chciałaby wiedzieć, co to za uczucie, wiedzieć, czy warto przeżyć to doświadczenie, jakim jest pocałunek z mężczyzną, wiedzieć, czy rzeczywiście nie ma w tym nic złego, tak więc kiedy twarz Jamiego zaczęła się przybliżać ku jej twarzy, czekała, nie odsunęła się.

To było osobliwe uczucie. Wargi ocierające się o jej wargi, wpijające się w jej wargi, jego ramiona obejmujące ją z całej siły. Jego usta okazały się śliskie i smakowały jakby mięsem. Ni stąd, ni zowąd uderzył ją idiotyzm całej sytuacji. Dwoje ludzi w jakimś schowku, przyciskający się

do siebie ustami. Esme zachichotała, odwróciła głowę w drugą stronę. On jednak mruczał jej coś do ucha. Nie rozumiem, powiedziała. Potem on zaczął ją pchać w tył, stopniowo, delikatnie, a ona poczuła, że się przewraca, że jej nogi tracą oparcie w podłodze, i wtem wylądowali na czymś miękkim i ustępliwym, na stercie jakichś ubrań. Próbowała się podnieść, ale on śmiał się cicho, znów pchał ją w tył i mówił: Przecież mnie kochasz, no sama przyznaj, i oboje wciąż jeszcze się uśmiechali w tym punkcie, jej zdaniem. Ale potem zrobiło się inaczej i już naprawdę chciała wstać, naprawdę czuła, że powinna, a on nie chciał jej pozwolić. Odpychała go, mówiąc: Jamie, proszę cię, wróćmy na parkiet. On jednak opasał dłońmi jej szyję, a potem zaczął się szamotać z jej spódnicą, mocować z jej nogami.

Znowu go odepchnęła, tym razem z całej siły. Nie, powiedziała. Przestań, powiedziała. A potem, kiedy szarpał za dekolt przy jej sukni, ugniatał jej piersi, rozgorzała w niej furia przemieszana ze strachem i zaczęła go kopać i okładać pięściami. On zaś przycisnął dłoń do jej ust, powiedział jej do ucha: Ty smarkata dziwko, i towarzyszący temu ból był zdumiewający, miała wręcz wrażenie, że płonie w jej wnętrzu, że rozdziera ją na dwie połowy. To, co się działo, było niewyobrażalne. Nie miała przedtem pojęcia, że coś takiego jest możliwe. Jego dłoń na jej ustach, jego głowa taranująca jej podbródek. Próbowała zaprzątnąć czymś myśli: że być może jednak obetnie włosy, że drzewa kauczukowe tak dziwnie szumią, że powinna nadal oddychać, że ona i Kitty trzymają pod łóżkiem skrzynkę z programami filmów, że liczba krzyżyków w F-dur...

A potem, jakby bardzo długi czas potem, znowu znaleźli się na podeście. Jamie trzymał ją za nadgarstek. Prowadził ją z powrotem w

stronę muzyki. I o dziwo, to było nadal *Strip the Willow.* Czyżby uważał, że znowu przyłączą się do tańczących? Esme spojrzała na niego. Spojrzała na świece, które roztapiały się we własnych kałużach, na ludzi krążących w koło i podskakujących w tańcu, na twarze napięte z koncentracji, z zadowolenia.

Wyrwała dłoń z jego uścisku. Zabolała ją od tego skóra, ale przynajmniej była wolna. Rozprostowała palce w powietrzu. Zrobiła dwa, trzy kroki w stronę drzwi i tam musiała się zatrzymać. Musiała oprzeć czoło o drewnianą framugę. Granice jej pola widzenia drżały niczym linia horyzontu w upale. Czyjaś twarz podpłynęła do niej i coś powiedziała, ale nic nie usłyszała, bo muzyka szczelnie wypełniała jej uszy. Ta osoba ujęła ją za rękę, potrząsnęła nią, wygładziła na niej suknię. Zobaczyła, że to pani Dalziel. Esme rozchyliła wargi, aby powiedzieć, że chciałaby zobaczyć swoją siostrę, że bardzo o to prosi, bardzo, ale wyszedł jej tylko jakiś piskliwy dźwięk, którego nie potrafiła przerwać, nad którym nie miała żadnej władzy.

A potem siedziała na tylnej kanapie samochodu, który prowadziła pani Dalziel, a jeszcze potem była już w domu i pani Dalziel wyjaśniła jej matce, że Esme odrobinkę za dużo wypiła, zrobiła z siebie idiotkę i że może rankiem poczuje się lepiej.

A jednak rankiem Esme nie poczuła się lepiej. Ani trochę nie poczuła się lepiej. Kiedy w pokoju pojawiła się jej matka i spytała: Co się właściwie stało wieczorem, młoda damo?, Esme usiadła na łóżku i znowu wydała z siebie ten dźwięk. Otwarła usta i zaczęła krzyczeć. I tak krzyczała, krzyczała i krzyczała.

Iris pozwala Esme wejść po schodach pierwszej i zauważa, że Esme wspina się nadzwyczaj powoli, przy każdym kroku opierając cały ciężar ciała na balustradzie. Niewykluczone, że ta wyprawa to był dla niej za duży wysiłek.

Podczas pokonywania ostatniego zakrętu Iris przystaje raptownie. W szparze pod drzwiami widzi kreskę rozjarzonego światła. Ktoś jest w jej mieszkaniu.

Przepycha się obok Esme i po zaledwie chwili wahania przekręca gałkę w drzwiach.

– Halo? – woła do wnętrza własnego korytarza. – Jest tam kto?

Pies ociera się o jej bok. Iris zaciska dłoń na jego obroży. Czuje, że pies sztywnieje. A potem zadziera łeb i szczeka głucho.

– Halo? – woła jeszcze raz i jej głos załamuje się w połowie słowa.

W drzwiach do kuchni pojawia się jakaś osoba. Mężczyzna.

– Nie trzymasz żadnego jedzenia w tym lokalu? – pyta Alex.

Wypuszcza obrożę, biegnie w stronę brata, zatrzymuje się tuż przed nim.

– Nastraszyłeś mnie – mówi, uderzając go pięścią w ramię.

– Przepraszam. – Alex szczerzy się w uśmiechu. – Pomyślałem, że powinienem przyjść, skoro... – Urywa i patrzy ponad jej ramieniem.

Iris odwraca się, podchodzi do Esme.

– To mój brat – wyjaśnia.

Esme marszczy brew.

– To ty masz brata?

– Jestem przyrodnim bratem – mówi Alex, podchodząc do niej. – Zawsze zapomina to dodać. Ty pewnie jesteś Euphemia.

Iris i Esme jednocześnie nabierają powietrza.

– Esme – poprawiają.

... a kiedy nie chciała przestać...

... to trudne, kiedy cała rodzina jest pełna jedynaków. Nie miałam żadnych kuzynek, a mężczyzna, za którego wychodziłam za mąż, też był jedynakiem, dlatego nie miałam żadnych przyszłych szwagierek. Potrzebowałam kogoś, kto by trzymał moje kwiaty, kto by mi pomagał z trenem, mimo że był dość skromnych rozmiarów, żeby towarzyszył mi w chwilach bezpośrednio poprzedzających ceremonię. Nie można brać ślubu bez towarzystwa druhny, powiedziała matka, musisz sobie kogoś znaleźć. Było kilka przyjaciółek, które mogłam poprosić, ale to się wydawało takie dziwne po tym, jak...

... a kiedy nie chciała przestać wrzeszczeć, matka przegnała mnie z pokoju i...

... zaledwie dwa tygodnie później zajrzał do nas Duncan Lockhart. Nikt wcześniej nawet się do nas nie zbliżył. Żadnych pierwszych gości w nowym roku, żadnych telefonów. Nic. Bez niej w domu panowała upiorna cisza. Mijały całe godziny bez ani jednego dźwięku. Z jakiegoś niewytłumaczonego powodu już nie przypominaliśmy rodziny, tylko grupę ludzi mieszkających w różnych pokojach. Duncan przyszedł do mojego ojca, rzekomo, ale znałam go już z tamtego przyjęcia: tańczyliśmy z sobą. *Dashing White Sergeant,* jeśli dobrze pamiętam. Miał bardzo suche dłonie. A on wspomniał też tamten dzień, kiedy zobaczył mnie w parku Meadows. Ja oczywiście zapomniałam, że on tam w ogóle był. W dniu, w którym przyszedł, w chłodne, styczniowe popołudnie, obudziłam się i znalazłam

lód od wewnętrznej strony okien. I znowu wtedy zamknęłam oczy, bo w tym pokoju było nadal mnóstwo jej rzeczy, ubrań, książek. Matka jeszcze nie zabrała się do...

... pamiętam, jak szlam przez pokój w samym środku nocy, z dzieckiem na ręku. Nie wiedziałam nic o niemowlętach – oczywiście przy swoim pierwszym nic nie umiesz, więc kierujesz się instynktami. Nie poddawaj się, podpowiadał mi mój instynkt. Nie chciał jeść, był taki maciupeńki, młócił powietrze czerwonymi piąstkami. Musiałam go karmić muślinową szmatką nasączoną w mleku. Czwartego dnia wziął ją do ust, zaczął ssać, z początku nieufnie, potem żarłocznie. I odtąd na kuchni wiecznie stawiało się wielkie garnki z wodą, w których gotowały się butelki, od rana do wieczora, wieszało się pieluszki nad ogniem, w powietrzu zmętniałym od pary...

... a kiedy nie chciała przestać wrzeszczeć, matka wezwała doktora. Kazano mi wyjść z pokoju, ale słuchałam, z uchem przyciśniętym do zimnego mosiądzu dziurki do klucza. Słyszałam tylko to, co doktor mówił do Esme – zdawał się mówić głośniej, kiedy zwracał się do niej, jakby ona miała trudności ze słuchem albo była upośledzona na umyśle. Oboje z matką szeptali o czymś przez kilka minut, a potem doktor znowu podniósł głos i powiedział do Esme: Zabierzemy cię w takie miejsce, gdzie troszeńkę sobie odpoczniesz, co ty na to? A ona oczywiście, jak to ona, odparła, że wcale jej się to nie podoba, a wtedy jego głos nabrał surowego tonu i wyjaśnił jej: Nie dajemy ci wyboru, więc...

... i ostatecznie poprosiłam kuzynkę Duncana, dziewczynę, którą widziałam zaledwie dwa razy. Była ode mnie młodsza i wyraźnie sprawiłam jej przyjemność. Przynajmniej, stwierdziła ponuro babka, nie

będziemy musieli się martwić, że przyćmi urodą pannę młodą. Zaprowadziłam ją do pani Mac, do przymiarki. Nie zaczekałam na nią, nie mogłabym...

... opowiadałam ci o blezerze? Opowiadałam. Tak mi się wydaje. Tylko dlatego, że mnie spytali, prosto z mostu. A ja zawsze się staram być uczciwa. O Zatoce Canty też ci opowiadałam? Tylko co to mogło zmienić, tak naprawdę? Zawsze staram się być jak najbardziej uczciwa. W owym czasie byłam taka zdruzgotana. Wcale nie chciałam, żeby ona odeszła na zawsze, tylko na tyle, ile potrzebowałam, żeby...

... więc przegnano mnie z pokoju i oczywiście sobie poszłam, ale tak naprawdę to zostałam za drzwiami i podsłuchiwałam. Matka porozumiewała się z doktorem szeptem, więc prawie nic nie słyszałam, a poza tym bałam się, że na górę zaraz przyjdzie babka i mnie nakryje. Podsłuchiwanie to bardzo zły obyczaj, wiedziałam o tym. Ledwie coś słyszałam, jak już mówiłam, matka opowiadała bodajże o tym, jak to ją rozbolały tylne zęby od tych krzyków i wybuchów złości. A doktor z kolei rozwodził się na temat histerii i młodych panien, przez co poczułam się lekko urażona, bo ja się nigdy nie zachowywałam w taki sposób. Używał takich słów jak „terapia", „zakład" i „nauczyć się dobrych manier". A kiedy to usłyszałam, uznałam, że to dobry pomysł, dobry plan dla niej, bo zawsze była taka...

... że tak bardzo je kochasz, nic mnie w życiu bardziej nie zdziwiło. Niby wiesz, że je pokochasz, ale potem to się pojawia w tobie, kiedy wreszcie je widzisz, kiedy trzymasz to maleńkie ciałko, i to uczucie przypomina balon, który cały czas napełnia się powietrzem. Matka Duncana wymogła to na nas, więc najęliśmy niańkę, straszną istotę, która

posługiwała się harmonogramem karmienia i nosiła wykrochmalony fartuch. Moje dni zrobiły się znienacka puste. Tęskniłam za Robertem. Chodziłam do pokoju dziecięcego, żeby go zobaczyć, ale nim zdążyłam dojść do łóżeczka, niańka już tam była. Śpimy, mówiła, a ja zawsze wtedy miałam ochotę zapytać: Wszyscy? Ale oczywiście nigdy tego nie powiedziałam. Teściowa twierdziła, że ta niańka jest na wagę złota i że powinniśmy uważać, żeby jej nie stracić. Nie bardzo wtedy wiedziałam, czego właściwie się ode mnie wymaga. Dom prowadziły kucharka z gosposią, Duncan był w biurze razem z moim ojcem, a Robert był ze swoją niańką. Czasami w środku dnia błąkałam się po domu, zastanawiając się, czy nie powinnam przypadkiem...

... *dementia praecox,* taką jej postawili diagnozę. Powtórzył mi to ojciec, kiedy któregoś razu spytałam. Kazałam mu napisać te słowa na papierze. Słowa, które brzmiały tak pięknie, znacznie piękniej, niż miały prawo brzmieć. Oczywiście już nikt ich teraz nie używa. Czytałam o tym w jakimś artykule. „Przestarzałe terminy", tak stwierdził autor. Wyjaśnił też, że w dzisiejszych czasach nazywają to „schizofrenią", co jest brzydkim, strasznym słowem, ale tak czy owak też robiącym wrażenie, zwłaszcza jako nazwa czegoś, co jakby nie było...

... suknia, którą uszyła dla druhny, był zdecydowanie piękniejsza niż wszystkie stroje, które kiedykolwiek uszyła dla mnie. Sama oczywiście szłam do ślubu w sukni matki, która musiała być specjalnie dopasowana do mojej figury. Wielu ludzi ją komplementowało. Ale suknia druhny była ozdobiona cekinami, przyszytymi na całej długości do szyfonu...

... nigdy nie chciałam, by ona tam zamieszkała na zawsze, wcale tego nie chciałam. Po prostu tak jakoś...

... wyrywała się i kopała, ojciec musiał pomóc doktorowi i w końcu razem im się udało, ale na dole schodów schwyciła się balustrady. Trwała tak i wykrzykiwała moje imię. Przyciskałam dłonie do uszu i babka dodatkowo nakryła je swoimi dłońmi, a jednak i tak ją słyszałam. KITTY! KITTY! KITTY! KITTY! Do teraz to słyszę. Później znalazłam but: prawdopodobnie spadł z nogi podczas szamotaniny w hallu, bo utknął pod stojakiem na parasole, więc wyciągnęłam go stamtąd, usiadłam, wsunęłam głowę między słupki balustrady i...

... przyglądałam się między słupkami balustrady, jak ojciec ściskał mu rękę w korytarzu. Ojciec wszedł jako pierwszy do swojego gabinetu, a kiedy obrócił się plecami, Duncan zrobił ten gest, który, jak miałam przekonać się później, robił zawsze, kiedy był zdenerwowany. Podniósł rękę w górę, przyłożył ją do głowy i przygładził włosy, żeby układały się na boku. To wyglądało tak dziwnie, że aż się uśmiechnęłam. Zobaczyłam, że zerka na otaczające go pozamykane drzwi, że omiata wzrokiem korytarz biegnący w głąb domu, i autentycznie przyszło mi na myśl: Czyżby on mnie szukał? Nigdy jednak nie...

Podczas jazdy samochodem ojciec się nie odzywa. Mówi do niego po imieniu, Ojcze, mówi do niego, dotyka jego ramienia, wyciera sobie twarz, próbuje wypowiedzieć słowo proszę. On jednak patrzy prosto przed siebie, przez przednią szybę, nie patrzy nawet na doktora, który siedzi obok. Przy wysiadaniu też się nie odzywa, kiedy razem z doktorem biorą ją między siebie, idą z nią po żwirowanej ścieżce, a potem po schodkach do wysokiego budynku na szczycie wzgórza.

W środku panuje ciężka cisza. Posadzka jest wyłożona płytkami z

marmuru: czarna płytka, biała płytka, czarna płytka, biała płytka, czarna... Ojciec i doktor przebierają w jakichś papierach. Nie zdejmują kapeluszy. A potem za rękę ujmuje ją jakaś kobieta, kobieta, której nigdy wcześniej nie widziała. Pielęgniarka, sądząc po ubiorze.

– Ojcze! – krzyczy wtedy. – Ojcze, proszę! – Wyrywa się pielęgniarce, która posykuje z irytacją. Esme widzi, że ojciec pochyla się na chwilę nad źródełkiem z wodą do picia, ociera usta chusteczką, po czym oddala się po marmurowej szachownicy w stronę drzwi. – Nie zostawiaj mnie tutaj! – krzyczy. – Proszę! Proszę, nie rób tego. Już będę grzeczna, obiecuję.

Za chwilę pielęgniarka złapie ją za rękę, a potem zmaterializuje się jeszcze druga pielęgniarka, która schwyci ją za drugą rękę, po czym obie wyniosą ją stamtąd, ale na razie Esme patrzy na ojca przez oszklone drzwi. Ojciec schodzi po schodach, zapina płaszcz, wkłada kapelusz, spogląda na niebo, jakby sprawdzał, czy nie zanosi się na deszcz, a potem znika.

Pielęgniarki osaczają ją z dwóch stron, oplatają rękoma, po czym wloką gdzieś na dół, po schodach, a potem przez obcy korytarz. Jej pięty ledwie drapią podłogę, a one trzymają ją w żelaznym uścisku, tak że nie jest w stanie im się wyrwać. Wnętrze szpitala jawi jej się niczym sekwencja klatek filmowych, tyle że puszczona od końca. Mijają jakieś drzwi i wtedy widzi wysoko sklepiony sufit, sznur świateł, rzędy łóżek, ludzkie sylwetki skulone pod kocami. Słyszy kaszel, pojękiwania, ktoś gdzieś mruczy coś do siebie. Pielęgniarki wloką ją w stronę jednego z łóżek, obie dyszą z wysiłku. Esme obraca głowę w stronę okna i widzi kraty przecinające je wszerz i wzdłuż.

O Boże, mówi do cuchnącego powietrza. Dotyka ręką głowy. O Boże. Szok wywołany całą sytuacją dochodzi do punktu wrzenia i znów owocuje

łzami. To niemożliwe, to niemożliwe. Wyciąga rękę i zdziera zasłonę, przewraca kopniakiem szafkę, krzyczy, zaszła pomyłka, to jakaś pomyłka, błagam, wysłuchajcie mnie. Nadbiegają pielęgniarki z szerokimi skórzanymi pasami i przywiązują ją do łóżka, a potem odchodzą, potrząsając głowami, poprawiając czepki.

W tych pasach pozostawiają ją na cały dzień i dwie noce. Ktoś przychodzi i zdejmuje z niej ubranie. O zmierzchu pojawia się kobieta z wielkimi, srebrnymi nożycami i ścina jej włosy, całymi pasmami. Esme zaczyna wyć, a potem szlochać, łzy leją jej się strumieniami po bokach twarzy i skapują na poduszkę. Przygląda się, jak ta kobieta odchodzi z jej włosami; w jej ręku wyglądają z daleka jak bicz.

W powietrzu unosi się woń środka dezynfekującego i pasty do podłogi, przez całą noc słychać mamrotanie osoby, która zajmuje łóżko w kącie. Lampa na suficie migocze i brzęczy. Esme płacze. Mocuje się z ciasno spiętymi pasami, próbuje się uwolnić, krzyczy, proszę, proszę, pomóżcie mi, aż w końcu całkiem chrypnie. Gryzie pielęgniarkę, która próbuje dać jej wody.

Wbrew jej woli nawiedza ją to życie, z którym się rozstała, z którego została wyrwana. Kiedy o zmierzchu światło wycieka z sali, rozmyśla o tym, że jej babka schodzi teraz po wyłożonych płytkami schodach, by sprawdzić, jak idą przygotowania do kolacji, że matka pije herbatę w salonie od frontu, nabierając szczypcami kostki cukru, że jej koleżanki szkolne wsiadają już do tramwajów, by wrócić nimi do domów. To nie do pomyślenia, że miałaby nie brać udziału w tych wydarzeniach. Jak mogłyby się dziać bez niej?

W niebieskim świetle następnego ranka przy jej łóżku pojawia się jakaś

postać. Jest niewyraźna, rozmazana, ubrana na biało. Esme wytrzeszcza na nią oczy. Od wielu godzin na jej oczach leży zabłąkany włos, a ona nie może sięgnąć ręką i go stamtąd strzepnąć.

– Nie marudź i się nie stawiaj, dziewczyno – szepcze postać.

Esme nie widzi jej twarzy, bo jest ukryta w cieniach, a poza tym wciąż ma ten włos na oku.

– Lepiej żebyś nie trafiła na czwarty oddział.

– Ale zaszła pomyłka – skrzeczy Esme. – Nie powinnam tu być, ja nie...

– Powinnaś uważać – mówi kobieta. – Nie zagalopuj się. Jak będziesz dalej tak...

Słychać czyjeś kroki i pojawia się ta sama pielęgniarka, która obcięła włosy Esme.

– Ej, ty! – krzyczy. – Natychmiast wracaj do łóżka.

Postać umyka w głąb sali, znika.

Iris rozbija skorupkę jajka o brzeg miski i przygląda się spadającemu żółtku. Alex opiera się o lodówkę, wrzuca winogrona do ust.

– No więc jak jest między wami? – pyta i Iris czuje ukłucie irytacji, bo wie, co on zaraz powie. – Wciąż się spotykasz z tym facetem?

– Z jakim facetem? – odpowiada ze wzrokiem wzniesionym do sufitu.

– Wiesz, o kogo pytam – wyjaśnia przymilnym tonem Alex. – O tego prawnika.

Iris wsadza jedną skorupkę w drugą. Z wdzięczności, że nie powiedział o nim „ten żonaty facet", odpowiada mu zgodnie z prawdą.

– Owszem. – Wyciera ręce w ściereczkę do naczyń.

– Bez sensu – mruczy Alex.

Iris naciera na niego.

– A jak jest z tobą?

– Co jak jest ze mną?

– Nadal jesteś żonaty z osobą, z którą twoim zdaniem w ogóle nie powinieneś był się żenić?

Alex wzrusza ramionami.

– Chyba tak.

– I kto tu mówi o bezsensie? – odparowuje Iris.

Zapada chwila milczenia. Iris bierze widelec i ubija jajka, aż przeobrażają się w jednolitą, spienioną masę. Alex odsuwa krzesło i siada przy stole.

– Nie kłóćmy się – mówi. – Ty żyjesz swoim życiem, ja żyję swoim.

Iris miele pieprz do jajek.

– I dobrze.

– No więc jak jest z tobą i prawnikiem?

Iris potrząsa głową.

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nie. Wiem. Tylko nie chcę o tym rozmawiać. – Odgarnia włosy z oczu i przygląda się bratu siedzącemu przy kuchennym stole.

On dłuższą chwilę odwzajemnia spojrzenie, a potem uśmiechają się do siebie.

– Nadal nie wiem, co ty tu robisz – mówi Iris. – A tak nawiasem, zostajesz na kolacji czy spadasz stąd?

– Nie wiesz, co ja tu robię? – powtarza Alex. – Zwariowałaś? Czy dostałaś amnezji? Wczoraj do mnie zadzwoniłaś, że wpadłaś w szpony

jakiejś wariatki, więc co miałem robić? Spędzić weekend na byczeniu się w domu czy przyjść tutaj i ratować cię przed obłąkaną ciotką? Nie wpadłem na to, że będziecie się szwendały po plaży.

Iris odkłada widelec.

– Mówisz poważnie? – pyta cichym głosem. – Przyjechałeś z mojego powodu?

Alex prostuje i ponownie krzyżuje nogi.

– To jasne, że przyjechałem z twojego powodu – mówi z zażenowaniem. – Co jeszcze miałbym tu robić?

Iris podchodzi do niego, klęka i obejmuje go ramionami. Czuje smukłe kształty jego torsu, gładki kark pod T-shirtem. Po chwili on oplata ramieniem jej bark, kołysze ją i Iris wie w tym momencie, że oboje myślą o tamtym dniu, do którego żadne z nich nie chce wracać pamięcią. Szczypie go delikatnie i uśmiecha się do jego piersi.

– Ściełaś włosy – mówi Alex, pociągając za jeden kosmyk.

– Tak. Ładnie mi?

– Nie.

Wybuchają śmiechem. Iris odsuwa się, a Alex kiwa głową w stronę wolnego pokoju.

– Wcale nie wygląda na wariatkę – stwierdza.

– Wiesz co? – Iris kładzie sobie ręce na biodrach. – Wcale nie jestem taka pewna, czy rzeczywiście jest wariatką.

Alex natychmiast odzyskuje czujność.

– Ale przecież siedziała w domu bez klamek... Jeszcze raz, jak długo to było?

– To wcale nie musi znaczyć, że jest niepoczytalna.

– E, moim zdaniem to dokładnie tyle znaczy.

– A niby czemu?

– Czekaj, czekaj. – Alex podnosi ręce w górę, jakby uspokajał zdenerwowane zwierzę. – O czym my tutaj rozmawiamy?

– Rozmawiamy – Iris nagle traci cierpliwość – o szesnastoletniej dziewczynie zamkniętej tylko za to, że przymierzała jakieś ciuchy, rozmawiamy o kobiecie, która siedziała w zamknięciu przez całe życie i dopiero teraz została wypuszczona... i moja w tym rola, by spróbować... sama nie wiem...

Alex gapi się na nią przez chwilę, z rękoma założonymi na piersi.

– O Boże – mówi.

– Co? Co to znaczy „O Boże"?

– Ponosi cię znowu, prawda?

– Co mnie ponosi?

– Poczucie moralnej wyższości.

– Nie wiem, o czym ty gadasz! – krzyczy Iris. – Moim zdaniem to nie w porządku, żeby...

– Musisz zrozumieć, że ona nie jest jednym z twoich rzadkich znalezisk w stylu retro. – Alex robi palcami w powietrzu znak cudzysłowu.

Przez chwilę brakuje jej słów. A potem chwyta miskę z jajkami.

– Nie mam pojęcia, co chcesz przez to powiedzieć – warczy – ale możesz iść do diabła.

– Posłuchaj – mówi Alex, bardziej łagodnie – obiecaj mi tylko... – Z westchnieniem urywa. – Obiecaj mi po prostu, że nie zrobisz nic głupiego.

– Na przykład czego?

– Na przykład... Powiedz, że gdzieś ją ulokujesz, prawda? Że

znajdziesz coś dla niej? No powiedz.

Iris ciska patelnię na palnik i wlewa na nią oliwę.

– Iris? – mówi Alex za jej plecami. – Przyrzeknij, że znajdziesz dla niej jakieś miejsce, gdzie będzie mogła zamieszkać.

Iris obraca się z patelnią w ręku.

– Sam wiesz, że jeśli się nad tym zastanowić, to ten dom tak naprawdę należy do niej.

Alex ukrywa głowę w dłoniach.

– O Chryste – mówi.

Esme słyszy ich głosy dobiegające zza ściany. Czy raczej słyszy szmer podobny do bzyczenia os w słoiku z dżemem. Głos dziewczyny faluje, osiąga wysokie szczyty, po czym opada, głos chłopca jest niemalże monotonny. Prawdopodobnie się kłócą. W każdym razie ta dziewczyna mówi takim głosem, że to brzmi jak kłótnia, ale jeśli tak, to jest to bardzo jednostronna kłótnia.

Jej brat, powiedziała. Kiedy Esme zobaczyła go tutaj po raz pierwszy, stojącego na progu, zastanawiała się przez chwilę, czy on może być jej kochankiem. Potem obejrzała się na Iris i stwierdziła, że nie. Ale to nie jest zwyczajny brat, prawdziwy brat, tylko ktoś w rodzaju przyszywanego brata.

Esme ugina nogi, przez co jej kolana rozbijają powierzchnię wody w wannie i wystają z niej teraz niczym wyspy w lagunie. Nalała sobie tak gorącej wody, że jej skóra zrobiła się różowa, a nawet zaogniona. Siedź w wannie tak długo, jak chcesz, powiedziała jej Iris, więc siedzi. Para kłębi się przy ścianach, na lustrze, we wnęce okiennej, wokół flakonów na

półce. Esme nie pamięta tej łazienki. Co tu mogło być za jej czasów? Pozostałe wnętrza potrafi odtworzyć, nałożyć na nie dagerotyp, zobaczyć je takimi, jakie były: swój pokój jako służbówkę, duży pokój jako to pomieszczenie pod krokwiami, gdzie w skrzyniach z drzewa cedrowego przechowywało się letnie ubrania. W sypialni Iris dawniej pod jedną ścianą stały szklane słoje z przetworami. Ale tego wnętrza sobie nie przypomina. Zresztą całą przestrzeń domu pamięta jako strasznie mroczną, z niskimi sufitami, podczas gdy w rzeczywistości te pokoje są całkiem wysokie i przestronne. To tylko dowodzi, jak zawodna jest pamięć.

Bierze mydło z mydelniczki i pociera je w dłoniach niczym Aladyn swoją lampę. Unosi się od niego cudowna, słodka woń, więc przykłada je do nosa i wdycha ten zapach. Zastanawia się, co by ta para za ścianą powiedziała, gdyby się dowiedzieli, że to jej pierwsza kąpiel bez niczyjego dozoru od sześćdziesięciu lat. Przygląda się maszynce do golenia, która leży na skraju wanny, i uśmiecha się. Ta dziewczyna zostawiła ją tutaj, tak zupełnie bez zastanowienia. Esme już zapomniała, jak to jest być wśród ludzi, którzy niczego nie podejrzewają. Bierze maszynkę do ręki, dotyka czubkiem palca chłodnego ostrza i kiedy to robi, nagle jej się przypomina, co kiedyś było w tym pokoju.

Rzeczy dla dziecka. Drewniane łóżeczko, z poprzeczkami ułożonymi niczym żebra w szkielecie jakiegoś zwierzaka. Wysokie krzesełko ze sznurkiem kolorowych paciorków przywiązanych do tacy. I pudła pełne maleńkich koszulek nocnych, czapeczek, wełnianych bucików, ostra woń kulek na mole.

Kto był ostatnim dzieckiem w tym domu? Dla kogo dziergano te kaftaniki, dla kogo szyto te koszulki? Kto nawlekał paciorki do wysokiego

krzesełka? Jej babka dla jej ojca, była gotowa zgadywać, ale nie potrafi sobie tego wyobrazić. Pod wpływem tej myśli ma ochotę zachichotać. A potem wciąga oddech, zatrzymuje go i zanurza głowę pod wodą, dzięki czemu jej włosy unoszą się dookoła niczym wodorosty.

Leżała skrępowana pasami. Obserwowała muchę pełznącą cal za calem po ścianie koloru niezdrowej zieleni. Liczyła wszystkie odgłosy, jakie wpadły jej do ucha: warkot samochodu na dworze, paplaninę szpaków, wiatr potrząsający oknem, nieustające mamrotanie kobiety w kącie, skrzypienie kółek na korytarzu, szelest pościeli, westchnienia i pochrząkiwania pozostałych kobiet. Przyjmowała łyżki z grudowatą, letnią owsianką od pielęgniarki, połykała je, mimo że jej żołądek się buntował, jakby zamykał się przed każdym kęsem.

W połowie poranka dwie kobiety wdały się w kłótnię.

– To moje.

– Wcale że nie.

– To moje. Oddawaj.

– Puszczaj, to moje.

Esme zadarła głowę i zobaczyła, że szamoczą się, próbują coś sobie wyrwać. Potem ta wyższa, z siwiejącymi włosami zgarniętymi w nieporządny kok, wyciągnęła rękę i wymierzyła tej drugiej policzek. Ta z kolei natychmiast wrzasnęła, wypuściła to coś, o co się pobiły, po czym wyprężyła się niczym zwierzę na zadnich łapach i rzuciła się całym ciałem na tę pierwszą. Obie przewróciły się na podłogę, tworząc dziwne stworzenie o ośmiu kończynach, szamocząc się i wrzeszcząc wniebogłosy, przewracając przy okazji stołek, koszyk z rzeczami. Jakby znikąd pojawiły się pielęgniarki, które krzyczały, wołały do siebie, dmuchały w gwizdki.

– Przestańcie! – krzyczała siostra oddziałowa. – Przestańcie natychmiast.

Pielęgniarki rozdzieliły walczące. Siwowłosa kobieta zwiotczała, usiadła potulnie na łóżku. Ta druga nadal walczyła, krzycząc, wrzeszcząc, rzucając się z pazurami do twarzy siostry oddziałowej. Koszula nocna podjechała do góry i Esme zobaczyła jej pośladki, blade i okrągłe jak pieczarki, fałdy na brzuchu. Siostra oddziałowa schwyciła ją za nadgarstek i wykręciła go, tak mocno, że tamta aż krzyknęła.

– Wezmę cię w kaftan – zagroziła pielęgniarka. – Zrobię to. Wiesz, że to zrobię.

Esme zobaczyła, że kobieta zastanawia się nad tym, i przez chwilę się wydawało, że się uspokoi. A jednak nagle wierzgnęła jak koń, po czym schwyciła siostrę oddziałową za kolano, wywrzaskując ciągi sprośności. Siostra sapnęła urywanie i potem, na jakiś sygnał, pielęgniarki pojmały kobietę i poprowadziły ją przez salę, w stronę drzwi i Esme słyszała teraz oddalający się hałas.

– Czwarty oddział – usłyszała czyjś szept. – Wezmą ją na czwarty oddział.

Esme odwróciła głowę, żeby zobaczyć, kto to mówi, ale wszystkie kobiety siedziały na łóżkach, sztywno wyprostowane, z pochylonymi głowami.

Kiedy odpięli jej pasy, Esme zachowywała się bardzo spokojnie. Usiadła na łóżku, z rękoma wciśniętymi pod siebie. Rozmyślała o zwierzętach, które potrafią godzinami trwać w bezruchu, przyczajone. Przypomniała sobie zabawę, w której się udawało, że jest się padłym lwem.

Pojawiła się salowa i zaczęła rzucać na każde łóżko ścierki i tuby z żółtą pastą o gorzkim zapachu. Esme zsunęła się ze swojego łóżka i stała, niepewna, gdy tymczasem pozostałe kobiety padły na kolana, jakby zamierzały się modlić, po czym zabrały się do pastowania podłogi, cofając się w stronę drzwi. Czuła, że jej nogi są zesztywniałe i nie chcą się ruszać po tych pasach. Właśnie sięgała po ścierkę i pastę leżące na jej łóżku, kiedy zauważyła, że jedna z pielęgniarek wskazuje ją palcem.

– Patrzcie na jaśnie panią – powiedziała szyderczo.

– Euphemia! – krzyknęła siostra Stewart. – Migiem na kolana!

Zaalarmowana krzykiem Esme podskoczyła w miejscu. Przez chwilę się zastanawiała, dlaczego wszyscy się na nią gapią. Po czym do niej dotarło, że siostra Stewart zwracała się do niej.

– Właściwie to... zaczęła. – Mówią na mnie...

– Klękaj i bierz się do roboty! – warknęła siostra Stewart. – Nie jesteś lepsza od innych.

Esme uklękła, cała się trzęsąc, owinęła dłoń szmatą i zaczęła trzeć podłogę.

Później przyszły do niej na rozmowę inne kobiety. Była wśród nich Maudie, która poślubiła Donalda, a potem Archibalda, kiedy wciąż była żoną Hectora, mimo że tak naprawdę to kochała Frankiego, który poległ we Flandrii. W swoich dobrych momentach raczyła wszystkich opowieściami z własnych ceremonii ślubnych; w złych momentach Maudie ślizgała się po oddziale w halce zawiązanej pod brodą, aż w końcu siostra Stewart ściągała z niej tę halkę, rozkazywała Maudie, żeby usiadła i była grzeczną dziewczynką, bo inaczej popamięta. Kolejne łóżka zajmowały Elizabeth, która widziała na własne oczy, jak jej dziecko

rozjechał powóz, i Dorothy, która czasami zdzierała z siebie całe ubranie. Na przeciwległym krańcu sali leżała staruszka, którą pielęgniarki nazywały Agnes, ale która zawsze je poprawiała, mówiąc „Pani Dalgleish, jeśli można prosić". Maudie powiedziała Esme, że Agnes nie mogła mieć dzieci i że czasami między nią a Elizabeth dochodzi do sprzeczki.

Po lunchu, na który podano jakąś nieokreśloną, szarą zupę, pojawił się niejaki doktor Naysmith. Szedł między ich łóżkami, wyprzedzając o dwa kroki siostrę Stewart, kiwał do nich kolejno głową, co jakiś czas mówiąc: „Jak się dzisiaj czujesz?" Kobiety, a zwłaszcza Elizabeth, zrobiły się bardzo podniecone; albo zaczynały jakieś niezrozumiałe monologi, albo zalewały się łzami. Dwie zabrano na zimną kąpiel.

Doktor Naysmith zatrzymał się przy łóżku Esme, zerknął na tabliczkę z nazwiskiem wiszącą obok niej na ścianie. Esme usiadła, przejechała językiem po wargach. Zamierzała mu powiedzieć – zamierzała mu powiedzieć, że zaszła pomyłka, że nie powinna tu być. Ale siostra Stewart wspięła się na palce i zaczęła mu coś szeptać do ucha.

– Bardzo dobrze – powiedział i ruszył dalej.

... kiedy mi się oświadczył, przy czym to ja mówię, że się oświadczył, bo tak naprawdę to powiedział wtedy: Uważam, że to byłby pierwszorzędny pomysł, gdybyśmy się pobrali. Powiedział to na Lothian Road, kiedy oboje staliśmy na chodniku. Wyszliśmy właśnie z kina, byliśmy po seansie, podczas którego czekałam bez skutku, aż on ujmie mnie za rękę. Przewiesiłam ją przez poręcz mojego fotela, zdjęłam rękawiczki, ale on jakby tego nie zauważał. Przypuszczam, że należało to przyjąć za oznakę...

... klepsydra z czerwonym piaskiem, która stała na...

... i czasami zabieram tę małą dziewczynkę do kina. Jest bardzo poważna. Siedzi z dłońmi splecionymi na kolanach, z lekko zmarszczonym czołem, chłonąc tę scenę, kiedy krasnoludki schodzą do kopalni, jeden za drugim, z krótkimi kijami na plecach. Ktoś to zrobił w ten sposób, że bardzo szybko układał rysunki, wyjaśniła mi ostatnim razem, a ja wtedy powiedziałam, że ma rację, na co ona spytała, kto to zrobił, a ja jej na to: Jakiś bardzo mądry pan, kochanie, a ona wtedy spytała: Skąd wiesz, że to był pan? To mnie rozśmieszyło, bo oczywiście wcale tego nie wiedziałam, ale z jakichś powodów człowiek sobie...

... przyglądała się, jak ten czerwony piasek spadał, ziarnko po ziarnku, i spytała, czy to oznacza, że ta szczelina ma szerokość dokładnie jednego ziarnka? Nie miałam pojęcia, w życiu się nad tym nie zastanawiałam. Matka twierdziła...

... tego chłopca, który z nimi mieszka, nigdy nie uznam. Podrzutek, tak go nazywam, ale tylko na użytek swój i pokojówki. Ta kobieta powiedziała mi, że byłoby cudownie, gdybym została również jego babcią. No cóż. Nie ma takiej siły na całym bożym świecie, żebym mogła go uznać za swojego krewniaka. Ponure, nadąsane dziecko z nieufnymi oczyma. On nie jest z mojej krwi. Ale malutka bardzo go lubi i z tego, co wszyscy mówią, wynika, że miał ciężkie życie. Zdaje się jego matka zbiesiła się i uciekła; zupełnie nie potrafię pojąć, jak kobieta może coś takiego. To przecież wbrew naturze. Malutka trzyma go stale za rękę, mimo że jest o rok albo i dwa od niej starszy, a on nie odstępuje jej na krok. Zawsze mam ochotę oderwać ją od niego, od tych jego lepkich, chłopięcych łap, ale oczywiście w takich sprawach człowiek powinien zachowywać się dojrzale i...

... coś okropnego, tak bardzo chcieć...

... na Lothian Road zatrzasnęłam zapięcie przy mojej torebce. Miałam ochotę zamknąć na chwilę oczy. Światła powozów i tramwajów bardzo raziły, zwłaszcza po tym filmie, który dopiero co obejrzeliśmy. On stał i czekał, a ja spojrzałam na niego i zauważyłam, że kołnierzyk pije go w szyję, że w szaliku biegnie mu oczko, i wtedy zaczęłam się zastanawiać, kto mu wy dziergał ten szalik, kto go tak bardzo kocha. Można było się domyślić, że matka, ale i tak chciałam go spytać. Chciałam wiedzieć, kto go kocha. Powiedziałam, że tak, oczywiście. Powiedziałam to bez tchu, tak jak to się powinno zrobić, i jeszcze uśmiechnęłam się przy tym nieśmiało, jakby wszystko było doskonałe, jakby on ukląkł na jedno kolano, z różami w jednej ręce i brylantem w drugiej. Nie mogłam znieść kolejnych nocy w tamtym pokoju, bez...

... wyjechał, mówili wszyscy. Do Paryża, powiedziała mi jedna dziewczyna. Do Ameryki Południowej, twierdził ktoś inny. Krążyły pogłoski, jakoby pani Dalziel wysłała go do domu jego wuja w Anglii. I mimo że i tak rzadko go widywałam, świadomość, że już nigdy nie spotkam go przypadkiem, że on już nie chodzi po ulicach tego miasta, wystarczała, by...

... i znalazłam plik listów, ukryty na dnie pudła na kapelusze. Bodajże kilka miesięcy później. Byłam już wtedy mężatką i szukałam kapelusza, który mogłabym włożyć na chrzciny. Matka i ojciec powiedzieli któregoś wieczoru, tuż przed moim ślubem, że nigdy więcej nie będziemy wymieniali jej imienia i że będą mi wdzięczni, jeśli będę się zachowywała stosownie do ich woli. I ja to zrobiłam, zachowywałam się stosownie, mimo że myślałam o niej o wiele częściej, niż podejrzewali. Dlatego

wyciągnęłam listy i...

... to nie miało być na zawsze. Chciałabym powiedzieć to jasno i wyraźnie. Myślałam, że tylko na jakiś czas. Przyszłam do salonu, kiedy zawołała mnie matka, i tam był ten doktor. Ona była na górze, wciąż krzyczała, wciąż się awanturowała. A oni coś do siebie szeptali i pochwyciłam słowo „odizolować". Kitty wie, co będzie dla niej najlepsze, powiedziała matka, a wtedy ten doktor, z tego szpitala, spojrzał na mnie i zapytał, czy jest w związku z twoją siostrą coś, co cię martwi? Czy powierzyła ci jakąś tajemnicę, którą twoim zdaniem powinnaś nam powtórzyć? Zaczęłam się zastanawiać i tak myślałam, myślałam, a potem podniosłam głowę, zrobiłam trochę smutną, a trochę niepewną minę i odparłam: Owszem, jej się wydaje, że któregoś dnia zobaczyła samą siebie na plaży, podczas gdy właśnie stała w morzu. I wtedy zrozumiałam po jego minie, że dobrze się spisałam, opowiadając tę...

... sposób, w jaki się zatrzaskiwała, ta torebka. To mi się podobało. Zawsze ją nosiłam przewieszoną na nadgarstku, nigdy zbyt...

Iris zanosi sałatkę na stół i ustawia ją pomiędzy Esme i Aleksem. Łyżkę do nabierania sałatki ustawia w taki sposób, że trzonek jest wycelowany w Esme. Pozwala sobie na nieznaczny uśmiech, jakby skierowany do siebie samej, kwitując tym myśl, że byłoby raczej niemożliwe znaleźć dwóch bardziej różniących się towarzyszy kolacji.

– Gdzie mieszkasz? – pyta Esme.

– W Stockbridge – mówi Alex. – A przedtem mieszkałem w Nowym Jorku.

– W Stanach Zjednoczonych Ameryki? – pyta Esme, pochylając się do

przodu ponad swoim talerzem.

Alex się uśmiecha.

– Doskonale powiedziane.

– Jak tam dotarłeś?

– Samolotem.

– Samolotem – powtarza i robi taką minę, jakby to słowo dało jej do myślenia. – Widziałam już kiedyś samoloty.

Alex pochyla się w jej stronę i trąca swoim kieliszkiem jej kieliszek.

– Nie wiem, czy wiesz, ale ani trochę nie jesteś podobna do swojej siostry.

Esme, która przygląda się uważnie sałatce, obracając salaterkę to w jedną, to w drugą stronę, nieruchomieje.

– Znasz moją siostrę?

Alex przepiłowuje ręką powietrze.

– Nie posunąłbym się do stwierdzenia, że ją znam. Widywałem ją. Wiele razy. Nie lubiła mnie.

– To nieprawda – protestuje Iris. – Ona po prostu nigdy...

Alex pochyla się konspiracyjnie w stronę Esme.

– Nie lubiła mnie. Kiedy mój ojciec i Sadie, matka Iris, byli razem, Sadie wymyśliła, że to byłby dobry pomysł, gdybym razem z Iris odwiedzał jej babcię. Bóg wie po co. Babcia pewnie się zastanawiała, co ja tam robię. Myślała, że wylągłem się z kukułczego jaja. Nie lubiła mnie za to, że się bratałem z jej drogocenną wnuczką. Ale weź pod uwagę, że między nią a Sadie wcale nie było jakiejś niesamowitej miłości, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Esme długo się przygląda Aleksowi.

– A ja ciebie lubię – mówi w końcu. – Moim zdaniem jesteś zabawny.

– A tak nawiasem, to kiedy widziałaś ją po raz ostatni?

– Kogo?

– Swoją siostrę. – Alex jest zajęty wycieraniem talerza kawałkiem chleba, przez co tylko Iris widzi wyraz twarzy Esme.

– Sześćdziesiąt jeden lat, pięć miesięcy i sześć dni temu – mówi Esme.

Dłoń Aleksa z chlebem nieruchomieje w połowie drogi do ust.

– Chcesz powiedzieć...

– Nigdy nie przyjechała cię odwiedzić? – pyta Iris.

Esme potrząsa głową, wpatrując się w swój talerz.

– To znaczy widziałam ją raz, jakiś czas po tym, jak tam pojechałam, ale...

– Ale co? – zachęca ją Alex, a Iris ma ochotę go uciszyć i jednocześnie sama też chce poznać odpowiedź.

– Nie rozmawiałyśmy ze sobą... – zaczyna Esme, obojętnym głosem, jak aktorka, która sprawdza, czy zapamiętała kwestię – ... przy tej okazji. Znajdowałam się w innym pomieszczeniu. Za zamkniętymi drzwiami. Nie weszła do środka.

Alex spogląda na Iris, a Iris milcząco odwzajemnia spojrzenie. Sięga po swój kieliszek z winem, po czym znienacka zmienia zamiar. Kładzie dłoń na stole, a potem drapie się po głowie.

– Widzisz? – mruczy. – Zawsze ci mówiłem, że to suka.

– Alex – upomina go Iris. – Błagam. – Wstaje i zaczyna zbierać talerze ze stołu.

Esme siedzi przy stole w pokoju dziennym, z nogami oplecionymi

wokół nóg krzesła. Nie wolno jej płakać, nie wolno jej płakać. Tutaj się nie płacze publicznie. Zagrożą ci jakąś kuracją albo dadzą zastrzyki, po których zaśniesz, a potem się obudzisz skołowana i rozbita.

Zaciska dłonie, żeby powstrzymać łzy, i spogląda na leżącą przed nią kartkę. *Droga Kitty,* tak napisała. Za jej plecami Agnes i Elizabeth dogadują sobie wzajem.

– A ja to przynajmniej urodziłam dziecko. Niektóre kobiety nigdy...

– Ja przynajmniej nie zamordowałam swojego dziecka przez nieuwagę. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym patrzeć, jak moja własna krew i kości wchodzą pod furmankę.

Chcąc odciąć się od ich głosów, Esme bierze do ręki ołówek. *Proszę, przyjedź,* pisze. *Odwiedziny są w środy. Proszę,* pisze znowu, *proszę, proszę.* Opiera czoło na swojej dłoni. Dlaczego ona nie przyjeżdża? Esme nie wierzy, że pielęgniarki wysyłają jej listy. Bo jaki byłby inny powód, że nie przyjeżdża? Jakie tu może być inne wytłumaczenie? Jeszcze nie wyzdrowiałaś, mówią jej pielęgniarki. Jeszcze nie wyzdrowiałaś, mówi jej doktor. I Esme stwierdza, że chyba zaczęła w to wierzyć. Nie wiedzieć jak i kiedy, zrobiła się dziwnie rozedrgana. Potrafi płakać z byle powodu, że na przykład Maudie uszczypnęła ją w rękę, że Dorothy ukradła jej herbatnik. Bywają takie chwile, kiedy wygląda przez okno, oceniając, jaka jest od nich odległość do ziemi, i rozmyśla o uldze spadania, o chłodzie powietrza. I jej ciało zrobiło się jakieś takie rozbite, boli ją, głowa wydaje się rozmiękczona, zamulona. Dorobiła się niepokojąco ostrego węchu. Bywa, że nęka ją woń farby drukarskiej bijąca od czasopisma, które jedna z kobiet czyta po drugiej stronie sali. Wystarczy, że tylko powącha powietrze i już wie, co będzie na ich talerzach podczas lunchu. Potrafi iść

środkiem sali i wie, kto brał kąpiel w danym tygodniu, a kto nie.

Wstaje, żeby spróbować oczyścić myśli, żeby odgrodzić się od nich, i podchodzi do okna. Na dworze jeszcze wciąż jest jasno. Dziwnie nieruchomo. Ani jeden liść nie drga na drzewach, kwiaty na grządkach stoją wszystkie prosto, bez ruchu. I widzi, że na trawniku pacjenci z czwartego oddziału uprawiają ćwiczenia gimnastyczne. Esme dotyka czołem framugi, przyglądając się im. Są ubrani w koszule, jasne koszule, i dryfują po trawniku jak obłoki. Trudno orzec, czy to mężczyźni czy kobiety, bo koszule są luźne i wszyscy mają krótko obcięte włosy. Niektórzy stoją w bezruchu, gapiąc się w dal. Ktoś łka w złożone ręce. Ktoś inny wydaje ostry, chrapliwy okrzyk, który kończy się mamrotaniem.

Odwraca się i rozgląda po pokoju dziennym. Tu przynajmniej nosi się własne ubrania, tu przynajmniej co rano czeszą włosy. Nie jest chora. Wie, że nie jest chora. Chciałaby się rzucić do biegu, przepchnąć przez drzwi prowadzące na korytarz, pokonać pędem ten korytarz i nigdy tu nie wrócić. Ma ochotę krzyczeć: Wypuśćcie mnie! Jak śmiecie mnie tu trzymać! Kusi ją, żeby coś rozbić, na przykład szybę albo ten oprawiony obrazek z krowami na śniegu, cokolwiek. I mimo że ma ochotę i na to, i na jeszcze więcej, przymusza się, by usiąść znowu przy stole. Przymusza się, by przejść przez pokój, ugiąć kolana, usiąść na krześle. Jak normalna osoba. Wysiłek sprawia, że drżą jej nogi. Oddycha głęboko, przyciska dłonie do blatu stołu, na wypadek gdyby ktoś ją obserwował. Musi się stąd wydostać, musi ich zmusić, żeby ją stąd wypuścili. Udaje, że czyta to, co napisała.

A później, podczas długo wyczekiwanej wizyty u doktora, mówi mu, że czuje się lepiej. Stwierdziła, że tych właśnie słów powinna użyć. Powinna

dać im do zrozumienia, że ona też uważa, że była chora, musi potwierdzić, że jednak mieli rację. Coś się w niej popsuło, ale teraz już została naprawiona. Mówi to sobie w duchu cały czas, więc niemalże sama już w to wierzy, niemalże potrafi zapanować nad sobą i nie wykrzyczeć: Nic mi nie jest! Nigdy mi nic nie było!

– Lepiej pod jakim względem? – pyta doktor Naysmith, z wiecznym piórem zastygłym w ręku, za biurkiem, na którego wypolerowanym blacie rozlewa się plama słońca.

Esme nie pragnie teraz niczego więcej, jak tylko dotknąć tego ciepła, położyć głowę na tych papierach, poczuć, jak ją parzą w twarz.

– Po prostu lepiej – mówi, starając się ogarnąć cwałujące myśli. – Już... już w ogóle nie płaczę. Dobrze sypiam. Cieszą mnie różne rzeczy. – Co jeszcze, co jeszcze? – Dopisuje mi apetyt. Jestem... mam wielką ochotę wrócić do nauki.

Widzi, że na czole doktora Naysmitha pojawia się mars.

– Albo... albo... – zaczyna się plątać – ... albo może chciałabym... pomagać mojej matce, przez jakiś czas. W domu.

– Czy zdarza ci się myśleć o mężczyznach?

Esme przełyka ślinę.

– Nie.

– I czy nadal doświadczasz tych stanów histerycznego pomieszania?

– Co pan ma na myśli?

Doktor Naysmith przygląda się czemuś w swoich notatkach.

– Upierałaś się, że ubrania, które należały do ciebie, nie są twoje, szczególnie jakiś szkolny blezer – czyta monotonnym głosem. – Twierdziłaś, że zobaczyłaś samą siebie siedzącą na kocu z rodziną,

podczas gdy w rzeczywistości znajdowałaś się w jakiejś odległości od nich.

Esme patrzy na usta doktora. Przestają się poruszać, zamykają się i już nie widać tych zębów. Zerka na leżące przed nim akta. W pokoju jest jakby bardzo niewiele powietrza: musi je wdychać do samego dna płuc i nadal jest jej go za mało. Kości w jej głowie sprawiają wrażenie zbyt ciasnych, zaciśniętych; kończynami znowu owładnęło drżenie. Jest tak, jakby ten doktor obdarł ją ze skóry i zaglądał do jej wnętrza. Skąd on wie, skoro jedyną osobą, której o tym powiedziała, była...

– Jak się pan tego dowiedział? – Słyszy, że jej głos się łamie, unosi na końcu zdania, i powtarza sobie: Uważaj, pilnuj się, mocno się pilnuj. – Gdzie pan o tym wszystkim usłyszał?

– Nie to jest kwestią. Kwestią, nieprawdaż, jest to, czy nadal doświadczasz tych halucynacji?

Wbija paznokcie w swoje uda; mruga, żeby wprowadzić ład w myślach.

– Nie, panie doktorze – mówi.

Doktor Naysmith dopisuje coś wściekle do swoich notatek i chyba w tym, co mu powiedziała, musi coś być, bo pod koniec wizyty opiera się na swym krześle, składając z sobą czubki palców.

– Doskonale, młoda damo – mówi wyniośle. – Jak bardzo chciałabyś wrócić do domu?

Esme tłumi szloch.

– Bardzo. – Udaje jej się wypowiedzieć te słowa rozważnym głosem, ani zbyt skwapliwie, ani zbyt histerycznie. Bardzo bym chciała.

Biegnie korytarzem w stronę okna, rozświetlonego miękkim,

wiosennym światłem. Zanim dochodzi do drzwi oddziału, zmienia krok na równy, zwyczajny chód. Zwyczajny, zwyczajny, to słowo, które bez końca śpiewa sobie w duchu, kiedy wchodzi do sali, kiedy podchodzi do swojego łóżka i siada na nim, jak każda grzeczna dziewczynka.

... coś okropnego, tak pragnąć...

... ozdobiłam jej wieczorową torebkę cekinami. Bo ona sama tego zrobić nie umiała. W rzeczy samej nie bardzo się starała. Już przy drugim cekinie ukłuła się w palec, poplątała nici i upuściła pudełko. Cisnęła wszystko na bok z wściekłością, pytając, jak ktoś jest w stanie wytrzymać takie nudziarstwo. Wzięłam to wszystko od niej, bo ktoś to musiał zrobić, i usiadłam przy kominku, podczas gdy ona chodziła od okna do stołu, od stołu do pianina i stamtąd z powrotem do okna, cały czas narzekając na męki, na nudę, że ona już tego nie może ścierpieć. Zwróciłam jej uwagę, że krew z jej palca kapie na dywan, więc wsadziła ten palec do ust i zaczęła go ssać. Naszywałam te cekiny przez cały wieczór, a potem jej powiedziałam, że może powiedzieć matce, że to ona to zrobiła, ale matka spojrzała tylko raz i...

... upuściłam kwiaty, kiedy szłam przez nawę. Nie wiem dlaczego. Nie byłam zdenerwowana, miałam osobliwie jasną głowę i było mi zimno w tej cienkiej sukni, sukni matki. A jednak wszystkim głośno zaparło dech, kiedy to zrobiłam, i ta dziewczyna, która była druhną, wybiegła natychmiast przede mnie i podniosła kwiaty. Ktoś z gości mruknął, że to zły znak, a ja miałam ochotę powiedzieć, że w to nie wierzę, nie jestem taka przesądna, wychodzę za mąż, wychodzę za mąż i...

... coś okropnego, tak bardzo chcieć...

... pamiętam bardzo wyraźnie, kiedy ją zobaczyłam po raz pierwszy. Ta aja, zapomniałam, jak ona miała na imię, weszła do pokoju, położyła dłoń na moim karku i powiedziała: Masz młodszą siostrzyczkę. Szłyśmy, trzymając się za ręce, przez dziedziniec, do sypialni; matka leżała tam na boku, a ojciec powiedział: Ciii, ona śpi, i podniósł mnie, żebym mogła zajrzeć do kołyski. Nie spała, bawiła się falbanką przy swojej kołderce. Jej skóra była biała, jakby nasiąknięta wodą, jakby należała do jakiegoś innego żywiołu. Miała oczy tak ciemne jak ziarenka kawy i przyglądała się czemuś, co było za naszymi głowami. I co myślisz, spytał ojciec, a ja mu wtedy powiedziałam, że czegoś piękniejszego nigdy w życiu nie widziałam, że ona jest jak...

... koszulę nocną z jedwabiu barwy róż i wyobraziłam go sobie, jak mówi: W życiu nie widziałem czegoś piękniejszego. I wcale nie byłam zdenerwowana, kiedy wyszedł z łazienki, a ja już leżałam w łóżku, cała gotowa, w tej koszuli z jedwabiu koloru różanych płatków. Chciałam tylko, żeby już było po wszystkim, żebyśmy już to zaczęli robić, żeby moje nowe życie wreszcie się zaczęło, żebym mogła pozostawić tamto wszystko poza sobą. W pociągu przećwiczyłam swój nowy podpis: Pani Duncanowa Lockhart, Pani K. E. Lockhart, Pani D. A. Lockhart. Pokazałam mu, ot, żeby go trochę rozbawić. A on wtedy powiedział, że nieszczególnie lubi moje imię. Kitty, powiedział, to imię dla psa albo kota, czy nie uważam, że Kathleen to mądrzejsze wyjście teraz, kiedy już...

... coś okropnego, okropna...

... tak więc leżałam tam i wydawało mi się, że to trwa strasznie długo. Nic nie słyszałam, ani cieknącej wody, ani żadnych ruchów. Nic. Kusiło mnie, żeby podejść pod drzwi łazienki i przyłożyć do nich ucho, żeby

tylko sprawdzić, czy on tam ciągle jest, i wtedy naszła mnie okropna myśl: a jeśli on uciekł przez okno, w środku nocy? Jednak wtedy właśnie drzwi się otworzyły i sypialnię na krótko zalała łuna żółtego światła, ale zaraz je zgasił i zobaczyłam jego sylwetkę w piżamie przechodzącą przez pokój, poczułam, że łóżko się ugina, kiedy usiadł. Chrząknął. Pewnie jesteś bardzo zmęczona, powiedział. Tyłem do mnie. Nie, wcale nie, odparłam. Próbowałam dodać, kochanie, ale nie bardzo mi wyszło. Mimo woli przypomniał mi się Jamie, z tym uśmiechem, który tak rozjaśniał mu twarz, z tymi włosami, które układały mu się w szpaka nad czołem, odwróciłam głowę i chyba to zauważył, bo właśnie wtedy się kładł. Odwróciłam głowę w jego stronę, chcąc powiedzieć, nie odwracam się od ciebie, ale nie mogłam, bo pochylił się nade mną i pocałował mnie w policzek. Przyłożył rękę do mojego ramienia, pocałował mnie w policzek i trwał tak przez chwilę, a ja pomyślałam, teraz, to się stanie teraz, i wstrzymywałam oddech, a wtedy on powiedział mi dobranoc. A ja nie mogłam zrozumieć, co...

... i kiedy stałam tam w pokoju matki, z listami w ręku, zobaczyłam na samej górze moje imię, rozpoznałam charakter pisma i stwierdziłam, że nikt ich nigdy nie otworzył, więc wsunęłam palec pod skrzydełko jednego z nich i klej ustąpił bez trudu, a potem rozłożyłam kartkę i zobaczyłam tylko: *Proszę, proszę, przyjedź jak najszybciej,* a kiedy to przeczytałam, to...

... dociera do mnie, że mówię na głos. Coś okropnego, mówię, tak pragnąć dziecka i nie móc go mieć. Przy stole stoi pielęgniarka, przygląda się czemuś na ścianie i patrzy na mnie dziwnie. Jest młoda. Co ona wie? Co ty wiesz, pytam, i...

Iris stoi na progu swojego salonu. Alex siedzi rozwalony w kącie kanapy, z jedną ręką wyciągniętą, którą próbuje dosięgnąć pilota. Telewizor zaczyna żyć i ze studia krzywi się do nich jakiś człowiek, pokazujący koncentrycznymi wymachami rąk, że w innej części kraju nadciąga burza.

Siada obok niego, podwijając pod siebie nogi, opierając skroń na jego ramieniu, i oboje oglądają mapę pogody.

Alex drapie się po ręce, poprawia pozycję.

– No więc powiedziałem Fran, że prawdopodobnie zostanę.

– Że zostaniesz?

– Na noc.

– Ach tak. – Iris jest zdziwiona, ale maskuje to. – OK. Jeśli tak chcesz.

– Nie. – Alex kręci głową. – Jeśli ty chcesz.

– Co?

– Zostanę na noc, jeśli ty tego chcesz.

Iris się prostuje.

– Alex, o co ci chodzi? Wiesz, że jak najbardziej możesz tu zostać, ale...

Przerywa jej tym spokojnym, wyważonym głosem, którym zawsze doprowadza ją do szału.

– Tak trudno zauważyć, że ktoś chce ci zrobić przysługę? Pomyślałem, że zostanę na noc, na wypadek gdybyś się bała. No wiesz. Bała się zostać sama z Esme.

– Nie wydurniaj się – upomina go. – Esme jest absolutnie...

Alex ujmuje jej twarz obiema dłońmi i przyciąga ją do swojej. Jest tak wstrząśnięta, że przez chwilę nie potrafi się ruszyć. A potem zaczyna ze

złością wić się w jego uścisku. On jej nie puszcza.

– Iris, posłuchaj mnie – mówi, w tym ich nowym, bliskim dystansie. – Proponuję, że zostanę, żeby ci pomóc. Nie wiem, czy wiesz, ale w takich sytuacjach mówi się „tak" i „dziękuję". Czy chcesz, żebym został na noc? – Przymusza jej głowę do skinięcia na potwierdzenie. – Dobrze. W takim razie załatwione. Powiedz: „Dziękuję ci, Alex", proszę.

– Dziękuję ci, Alex, proszę.

– Nie ma za co. – Nadal trzyma jej twarz między swoimi dłońmi. Przez chwilę wpatrują się w siebie. Alex chrząka. – Znaczy się na kanapie – mówi prędko.

– Co na kanapie?

– Będę spał na kanapie.

Iris odsuwa się od niego. Przygładza włosy.

– Oczywiście – mówi.

Przenosi uwagę z powrotem na ekran telewizora. Widać na nim teraz ujęcia na poły zawalonego budynku, rzeki występującej z brzegów, rozpłaszczonego samochodu, drzew miotanych wiatrem.

– Czy pamiętasz – odzywa się nagle Alex – kiedy to było, kiedy po raz ostatni spaliśmy pod jednym dachem?

Iris kręci głową, nadal oglądając relacje z burzy.

– Jedenaście lat temu. W noc przed moim ślubem.

Iris się nie rusza. Wpatruje się ze skupieniem w postrzępiony brzeg jego rękawa, w plamę po atramencie, w to miejsce, w którym rękaw zaczął się pruć.

– Z tą różnicą, że to ty spałaś na kanapie tamtej nocy. Nie ja.

Iris przypomina sobie cichy szum uszkodzonej świetlówki na korytarzu

przed maleńkim mieszkankiem na Lower East Side na Manhattanie, długie godziny bezsenności spowodowanej zmianą stref czasowych, żelazną sztabę, która zdawała się przebiegać przez całą długość kanapy, tuż pod tapicerką. Pamięta łomot i wycie miasta wlatujące do środka przez otwarte okno. I pamięta też Aleksa, który pojawił się przy niej w samym środku nocy. Nie, powiedziała wtedy, nie. Mowy nie ma. I wyrwała mu się. Dlaczego, spytał, o co chodzi? Nie widziała go prawie dziewięć miesięcy – wtedy to było ich najdłuższe rozstanie. Iris wyjechała do Moskwy, na praktyki w ramach studiów magisterskich, i usiłowała tam uczyć chmurną, rosyjską młodzież subtelności angielskiego czasu zaprzeszłego.

Żenisz się, Alex, krzyknęła, jutro. Pamiętasz jeszcze? Mam to gdzieś, nie chcę się z nią żenić, powiedział jej wtedy. No to się nie żeń, odparowała Iris. Muszę, powiedział, wszystko zostało załatwione. Wszystko można odkręcić, wskazała, trzeba tylko chcieć. Tymczasem on wrzasnął wtedy: Dlaczego wyjechałaś do Rosji, dlaczego wyjechałaś, jak mogłaś tak zniknąć? Musiałam, odwrzasnęła, musiałam tam jechać, to ty nie musiałeś wyjeżdżać do Nowego Jorku, i wcale nie musisz tu zostawać, nie musisz żenić się z Fran. A właśnie, że muszę, odparł.

Iris wyplątuje się, prostuje nogi, stawia stopy na podłodze. Nic nie mówi.

– No więc co zamierzasz zrobić z tym Lucasem? – pyta Alex, bawiąc się pilotem.

Iris odczekuje chwilę i dopiero wtedy odpowiada:

– On ma na imię Luke.

– Luke, Lucas – Alex macha ręką – czy jak mu tam. Co zamierzasz zrobić?

– Z czym?

Alex wzdycha.

– Przestań udawać, że nic do ciebie nie dociera. Po prostu spróbuj. Chociaż raz. Sprawdź, co to za uczucie.

– Nic – mówi Iris, uparcie wpatrując się w telewizor. Nie chce o tym rozmawiać, tak jak nie chciała o tym rozmawiać w noc poprzedzającą ślub Aleksa, ale czuje ulgę, że przynajmniej z pozoru wrócili do teraźniejszości. – Nie wiem, o czym ty mówisz. Nie mam zamiaru nic robić.

– Co? Masz zamiar dalej tak żyć jako kochanica tego faceta? Jak gdyby nigdy nic? Zlituj się, Iris. – Alex ciska pilota na oparcie kanapy. – Ani trochę do ciebie nie dociera, że tanio się sprzedajesz?

Iris podrywa się z miejsca, urażona do żywego.

– Wcale się nie sprzedaję, ani tanio, ani drogo. I nie jestem jego kochanica. Co za obrzydliwe słowo. Jeśli uważasz...

– Iris, ja ciebie nie atakuję. Ja się tylko zastanawiam, czy... – Zawiesza głos.

– No co? Nad czym się zastanawiasz?

– Nie wiem. – Alex wzrusza ramionami. – To znaczy, czy on... Nie wiem. – Bawi się nitką wyprutą z poduszki. – Tobie na nim zależy?

Iris wzdycha. Pada na plecy, leży teraz płasko. Zaciska powieki, przyciskając do nich palce, a kiedy je otwiera, cały pokój wiruje agresywnymi barwami.

– Twierdzi, że chce od niej odejść. – Adresuje te słowa do wiszącego nad nią abażuru.

– Naprawdę? – Alex patrzy na nią, Iris wie o tym, ale nie patrzy mu w

oczy. – Hmm... – mamrocze Alex i znowu – bierze do ręki pilota. – Założę się, że tego nie zrobi. Ale co zrobisz, jeśli jednak ją zostawi?

Iris, która wciąż leży na kanapie, widzi, że do pokoju wchodzi Esme i zaczyna iść w ich stronę. Potrafi być niemalże niewidzialna, jeśli chce. Iris nie rozumie, jak ona to robi. Obserwuje ją i widzi, że Esme nie patrzy w ich stronę, że nie zwraca na nich uwagi, jakby to oni byli dla niej niewidzialni.

– Co? – pyta Iris, obserwując Esme. – Och, byłabym wściekła. Byłabym przerażona. Wiesz o tym.

Coś sprawia, że Esme zapomina o swojej niewidzialności. Zatrzymuje się w pół kroku, po czym podchodzi do biurka, które Iris trzyma przystawione do ściany. Jest zainteresowana biurkiem? Nie. Jej chodzi o tablicę, do której Iris przyczepiła zbieraninę pocztówek i fotografii. Widzi, że Esme pochyla się do przodu, by im się przyjrzeć. Iris zerka na ekran telewizora, słucha kolejnych doniesień o silnych wiatrach i ulewach.

Obraca się nagle. Esme powiedziała coś, dziwnie podniesionym głosem.

– Co takiego? – pyta Iris.

Esme wskazuje gestem jedno ze zdjęć na tablicy.

– To ja – mówi.

– Ty?

– Mhm. – Dalej wskazuje tablicę. – To moja podobizna.

Iris podnosi się niezdarnie z kanapy. Niczego bardziej nie pragnie, jak z niej zejść i skończyć rozmowę z Aleksem. Przechodzi przez pokój i staje obok Esme.

– Jesteś pewna? – pyta. Jest sceptyczna. To niemożliwe, by przez te

wszystkie lata na jej ścianie wisiała fotografia Esme i ona nie miała o tym pojęcia.

Esme wskazuje zbrązowiałą fotografię z zawiniętymi brzegami, którą Iris znalazła w papierach babci. Fotografia jej się spodobała, więc ją zatrzymała, przypięła razem z innymi. Dwie małe dziewczynki i kobieta stoją obok dużego, białego samochodu. Kobieta jest ubrana w białą suknię i kapelusz naciągnięty na oczy. Na ramionach ma lisa, z ogonem w pysku. Starsza dziewczynka dotyka głową ręki kobiety. Ma włosy przepasane wstążką, skarpetki, szeroko rozstawione stopy, i trzyma się za ręce z tą drugą dziewczynką, która patrzy na coś tuż poza obiektywem aparatu. Jej sylwetka jest lekko rozmazana – musiała się poruszyć, kiedy trzasnęła migawka. Zdaniem Iris to jej nadaje nieco upiornego wyglądu, jakby mogło jej tam wcale nie być. Ma na sobie sukienkę podobną do sukienki tej drugiej, ale jej wstążka się rozwiązała i jeden koniec opada na ramię. W wolnej ręce trzyma jakiś mały, kanciasty przedmiot, może dziecięcą grzechotkę, może procę.

– To było przed naszym domem w Indiach – mówi Esme. – Wyjeżdżaliśmy na piknik. Kitty dostała porażenia od słońca.

– Nie mogę uwierzyć, że to ty – mówi Iris, wpatrując się w zdjęcie, które zna na pamięć, a jednak nagle go nie rozpoznaje. – Nie wierzę, że to ty jesteś tutaj. Właśnie tutaj. Patrzyłam na ciebie przez te wszystkie lata i nigdy się nie dowiedziałam o twoim istnieniu. To zdjęcie wisiało nad moim biurkiem od tak dawna, a ja się nigdy nie zastanowiłam, kim jest ta młodsza dziewczynka. To takie głupie. Niesamowicie głupie z mojej strony. No bo przecież jesteście ubrane tak samo. – Iris marszczy brwi. – Jak ja mogłam tego nie zauważyć. Jak ja mogłam się nad tym nie

zastanowić? To takie oczywiste, że jesteście siostrami.

– Tak uważasz? – pyta Esme, obracając się w jej stronę.

– No cóż, nie jesteście podobne. Ale nie rozumiem, jak mogłam tego nie zauważyć. Nie rozumiem, dlaczego nigdy – jej nie spytałam, kim ty jesteś. Aczkolwiek fakt jest taki, że znalazłam to zdjęcie dopiero wtedy, gdy jej się tak pogorszyło, że musieliśmy ją stąd zabrać.

Esme nadal na nią patrzy.

– Jest bardzo chora? – pyta.

Iris obgryza skórkę przy paznokciu, a potem krzywi się wymownie.

– Trudno to określić. Powiadają, że fizycznie jest w niezłym stanie. Ale umysłowo to poniekąd zagadka. Niektóre rzeczy pamięta dość wyraźnie, a inne po prostu dla niej nie istnieją. Na ogół cofa się o jakieś trzydzieści lat. Mnie w ogóle nie rozpoznaje. Nie ma pojęcia, kim jestem. Dla niej Iris to mała dziewczynka w ślicznej sukieneczce.

– Ale pamięta różne dawne sprawy? Sprzed trzydziestu lat?

– Tak i nie. Ma dobre dni i złe dni. To zależy od tego, co jej powiesz i w jakim jest akurat stanie. – Iris zastanawia się, czy o tym powiedzieć czy nie, ale nie zdąża tego przemyśleć, bo wymyka jej się: – Widzisz, spytałam ją o ciebie. Pojechałam do niej specjalnie w tej sprawie. Najpierw nic nie powiedziała, a potem... potem powiedziała coś bardzo dziwnego.

Esme patrzy na nią tak długo, że Iris się zastanawia, czy ona ją słuchała.

– Kitty – wyjaśnia Iris. – Pojechałam do Kitty w twojej sprawie.

– Tak. – Esme kiwa głową. – Rozumiem.

– Chcesz wiedzieć, co powiedziała? Czy nie? Nie muszę ci mówić, to znaczy, to zależy od ciebie, czy...

– Chcę wiedzieć.

– Powiedziała: „Esme nie chciała puścić dziecka".

Esme odwraca się od niej momentalnie, jak nakręcana zabawka. Jej ręka przelatuje przez powietrze nad biurkiem Iris, nad papierami, kopertami, długopisami, nie otworzoną pocztą. Zatrzymuje się obok tablicy.

– To twoja matka? – pyta Esme, wskazując fotografię, na której widnieją Iris, pies i jej matka na plaży.

Iris odpowiada jej dopiero po chwili. Myśli wciąż jej zaprząta to dziecko, pytanie, czyje to dziecko mogło być; nadal pędzi po tej ścieżce detektywistycznej i potrzebuje kilku sekund, żeby gwałtownie zahamować.

– Tak – mówi, starając się skupić na fotografii. A więc bawisz się w uniki, ma ochotę dodać. Dotyka kolejnej fotografii, rzucając prędkie spojrzenie na Esme. – To moja kuzynka z dzieckiem. Tu jest Alex i znowu moja mama, na szczycie Empire State Building. To moi znajomi. Jesteśmy na wakacjach w Tajlandii. To moja chrześniaczka. Jest przebrana za aniołka. To ja i Alex, kiedy byliśmy mali... zostało zrobione w tym ogrodzie. To zrobiono na weselu mojej przyjaciółki, kilka miesięcy temu.

Esme przygląda się starannie wszystkim zdjęciom, jakby potem miano ją z nich odpytywać.

– W twoim życiu jest bardzo wielu ludzi – mruczy. – A twój ojciec? – pyta, prostując się, wpijając w Iris to swoje świdrujące spojrzenie.

– Mój ojciec?

– Masz jego fotografię?

– Tak. – Iris pokazuje. – Ten tutaj to on.

Esme pochyla się, by popatrzeć. Wyciąga pinezkę i przysuwa zdjęcie do twarzy.

– Zostało zrobione tuż przed jego śmiercią – mówi Iris.

... więc ukryłam się przed matką i Duncanem, a potem wzięłam taksówkę. Powiedziałam im, że jadę do miasta, ale w rzeczywistości pojechałam w przeciwną stronę. Podczas jazdy stale myślałam o tym, jak to będzie, i wyobrażałam sobie jakiś piękny pokój i ją w koszuli nocnej, siedzącą na fotelu z pledem na kolanach, być może wyglądającą na ogród. I wyobrażałam też sobie, jak jej twarz się rozjaśni na mój widok i że może trochę jej pomogę w jakichś drobiazgach, na przykład poprawię pled albo przeczytam kilka linijek z książki, jeśli sobie zażyczy. Wyobrażałam ją sobie, jak ujmuje mnie za rękę i ściska ją z wdzięcznością. Byłam zdumiona, kiedy taksówkarz powiedział mi, że przyjechaliśmy na miejsce. To było tak blisko! Nawet nie dziesięć minut od naszego domu. A ja cały ten czas wyobrażałam sobie, że to bardzo daleko, gdzieś za miastem. Tymczasem to miejsce nie mogło znajdować się dalej niż w odległości mili, najwyżej dwóch. Kiedy szłam przez podjazd, rozglądałam się w poszukiwaniu innych pacjentów, ale nikogo tam nie było. Jakaś pielęgniarka przywitała mnie przy drzwiach i pokazała mi drogę, ale nie do niej, tylko do gabinetu, gdzie jakiś doktor bawił się wiecznym piórem i powiedział: To przyjemność poznać panią, panno... , a ja go wtedy poprawiłam: Pani, pani Lockhart. Przeprosił mnie, pokiwał głową i chciał wiedzieć. Chciał wiedzieć. Powiedział, próbowałem nawiązać kontakt z pani rodzicami. Powiedział...

... i podczas szóstej nocy naszego małżeństwa, kiedy położył się do

łóżka, wyciągnęłam do niego rękę w ciemnościach. Ujęłam jego dłoń i mocno ją trzymałam. Duncan, powiedziałam, i sama się zdziwiłam swoim władczym tonem, czy wszystko w porządku? Ćwiczyłam to za dnia, od wielu dni, postanowiłam, że to właśnie powiem. Czy to chodzi o mnie? – spytałam. Czy chodzi o coś, co robię, albo czego nie robię? Powiedz mi, co mam robić. Musisz mi powiedzieć. A on wysunął swoje palce z moich. Poklepał mnie po ręce. Moja droga, powiedział, na pewno jesteś zmęczona. Dziewiętnastej nocy znienacka przetoczył się na mnie, w mroku. Właśnie zasypiałam. Dlatego przeżyłam szok i nie mogłam oddychać, ale leżałam nieruchomo i czułam, jak ściska moje ramię jedną ręką, niczym ktoś, kto bada piłkę tenisową, i czułam też, że jego stopy wiosłują po moich stopach i że jego druga ręka zadziera moją koszulę nocną, a potem on wykonał jakiś taki gwałtowny ruch, szarpiąc za coś tam w dole, przeniósł dłoń z mojego ramienia na moją pierś, i wtedy przyszło mi do głowy jedynie: O mój Boże, a potem znieruchomiał. Znieruchomiał jak trup. Zszedł ze mnie niezdarnie, wrócił na swoją połowę łóżka. Och, powiedział, i jego głos był pełen śmiertelnego strachu, och, pomyślałam... i powiedziałam: Co, myślałeś, że co? Ale on w ogóle...

... doktor nazwał mnie więc panią Lockhart i spytał: Jakie przygotowania poczyniła pani rodzina w związku z jej powrotem do domu? Dla niej i dla dziecka?

Któregoś dnia, wczesnym rankiem obok łóżka Esme pojawia się siostra Stewart.

– Wstań i pozbieraj swoje rzeczy.

Esme odrzuca kołdrę.

– Idę do domu – mówi. – Wracam do domu. Prawda?

Siostra Stewart przysuwa twarz do jej twarzy.

– Nie potwierdzam i nie zaprzeczam. No już, zbieraj się. Pospiesz się.

Esme wkłada suknię przez głowę i robi zawiniątko ze swoich rzeczy.

– Idę do domu! – woła do Maudie, wędrując przez salę za siostrą Stewart.

– No i dobrze dla ciebie, rybko – odpowiada jej Maudie. – Wróć tu, żeby nas odwiedzić.

– Siostra Stewart pokonuje dwa piętra po schodach, idzie długim korytarzem, obok rzędu okien, i Esme widzi skrawki nieba, drzew, ludzi idących drogą. Wychodzi. Tam czeka na nią świat. Ledwie potrafi się powstrzymać, by nie przepchnąć się obok siostry Stewart i nie poderwać do biegu. Zastanawia się, kto po nią przyjdzie. Kitty? Czy tylko jej rodzice? Z pewnością Kitty, po takim długim czasie. Będzie czekała w hallu z czarno-białymi płytkami, może będzie siedziała na krześle, z torebką na kolanach, jak zawsze, i w rękawiczkach, a kiedy Esme zejdzie ze schodów, obróci głowę w jej stronę. Obróci głowę i się uśmiechnie.

Esme już ma wejść na schody prowadzące na parter i do Kitty, kiedy zauważa, że siostra Stewart przytrzymuje dla niej jakieś drzwi. Esme przechodzi przez nie. A potem siostra Stewart zagaduje do innej pielęgniarki: Przyprowadziłam ci tu Euphemię, i ta pielęgniarka mówi: No chodź, tędy, tu jest twoje łóżko.

Esme gapi się na to łóżko. To stalowe łóżko, zaścielone narzutą z szorstkiej bawełny, na jednym krańcu leży złożony koc. Stoi w zupełnie pustym pokoju z pojedynczym oknem, osadzonym tak wysoko, że nie widzi za nim nic oprócz szarej chmury. Odwraca się.

– Ale ja przecież idę do domu – mówi.

– Nie, nie idziesz – odpowiada pielęgniarka i wyciąga rękę, próbuje odebrać jej zawiniątko z rzeczami.

Esme wyrywa zawiniątko. Czuje, że zaraz się rozpłacze. Będzie płakać i tym razem pewnie już nie przestanie. Tupie nogą.

– Idę! Doktor Naysmith powiedział...

– Masz tu zostać do narodzin dziecka.

Esme widzi teraz, że siostra Stewart stoi oparta o ścianę i obserwuje ją z dziwnym uśmiechem na twarzy.

– Jakiego dziecka? – pyta Esme. Widzi plamki na metalu, tak blisko wezgłowia łóżka jest jej twarz. Nie plamki, tylko zadrapania albo pęknięcia w emalii. Jest cała powykręcana, pokrzywiona, jej głowa wbija się w materac, plecy wyginają się w łuk. Zaciska dłonie na skazach i przygląda się, jak bieleją jej palce. Ból pulsuje od samego jej rdzenia i zdaje się ją połykać, przelatywać niczym burza przez głowę. To ból poza wszelkim wyobrażeniem, który nie chce ustać. Trzyma ją w ciągłym, na moment niesłabnącym uścisku; przestała już wierzyć, że go przeżyje. Nadciąga jej kres. Już niebawem będzie po wszystkim. Nie można doświadczać takiego bólu i nie umrzeć.

Zaciska palce na zadrapaniach w emalii, słucha, jak ktoś wrzeszczy i wrzeszczy, i dopiero wtedy dociera do niej, że to są ślady zębów. Ktoś w tej sali, na tym łóżku, musiał gryźć wezgłowie. Zęby, zęby, słyszy własny krzyk.

– Co ona mówi? – pyta jedna z pielęgniarek, ale nie słyszy odpowiedzi.

Są przy niej dwie pielęgniarki, jedna starsza, druga młodsza. Ta młodsza jest miła. Przytrzymuje ją przy łóżku, tak jak ta starsza, ale nie tak

brutalnie i na samym początku przetarła jej twarz ręcznikiem, kiedy ta starsza nie patrzyła.

Przyciskają ją za ramiona, za łydki. Leż spokojnie, cały czas powtarzają. Ale ona nie może uleżeć. Ból ją wykręca, unosi ją z łóżka, każe wierzgać nogami. Pielęgniarki stale wpychają ją w materac. Przyj, krzyczą do niej, przyj. Nie przyj. Teraz przyj. Przestań przeć. No już, dziewczyno.

Esme straciła czucie w nogach i rękach. Słyszy jakiś piskliwy wrzask i dyszenie, jakie mogłoby wydawać z siebie chore zwierzę, i pielęgniarka mówi: O tak, o tak, nie przestawaj, a jej się wydaje, że już gdzieś kiedyś słyszała takie dźwięki, jakimś sposobem, dawno temu, i czy to możliwe, że słyszała, jak jej matka rodziła, jak rodziła Hugona albo któreś z tych innych dzieci? Ma wrażenie, że widzi siebie, jak podchodzi na palcach pod jakieś drzwi, pod drzwi pokoju rodziców w tamtym domu w Indiach, i słyszy to samo dyszenie, piskliwe zawodzenie i okrzyki zachęty. I ten zapach. Już gdzieś, kiedyś się zetknęła z tym gorącym, mokrym, słonym zapachem. Widzi siebie przy drzwiach, jak je uchyla i jak przez szczelinę patrzy na coś, co przez krótką chwilę wygląda jak malowany obraz. Mroczny pokój i biel pościeli z przerażającą, szkarłatną plamą, kobiecą głowę pociemniałą od potu, błagająco pochyloną, wokół krąg służek i para buchająca z miski. Możliwe, że widziała coś takiego? Pochyla własną głowę, wydaje trzy krótkie sapnięcia: nawet to pojawienie się małego, śliskiego, podobnego do foki stworzenia wydaje się nierzeczywiste, jakby zdarzyło się kiedyś, a nie teraz.

Esme przewraca się na bok i podciąga kolana do piersi. Leży wyrzucona na brzeg, jest rozbitkiem. Przygląda się tępo swoim dłoniom,

które spoczywają bezwładnie blisko jej twarzy. Są takie same jak zawsze. Jest w tym coś osobliwego, że są takie niezmienione, że wyglądają tak, jak zawsze wyglądały. Pielęgniarka przecina coś skręconego, podobnego do sznura i Esme przygląda się maleńkiemu, sinemu ciałku, które oblewa się czerwienią; pielęgniarka daje mu klapsa w siedzenie i przewraca je do góry nogami.

Wspiera się na łokciu, co wymaga ogromnego wysiłku. Dziecko ma zaciśnięte powieki, trzyma piąstki przy policzkach, jego buzia wyraża niepewność, lęk. Popatrz, mówi pielęgniarka, chłopiec, zdrowy chłopiec. Esme kiwa głową. Pielęgniarka opatula dziecko w zielony kocyk.

– Czy ja mogę go potrzymać? – pyta Esme.

Pielęgniarka – ta młoda – zerka najpierw w stronę drzwi, a dopiero potem patrzy na Esme.

– No cóż... – mówi, trzymając dziecko. – Byle szybko.

Pochyla się, układa je w ramionach Esme i Esme stwierdza, że jego ciężar, to balansowanie tym ciężarem jest jakieś dziwnie znajome. Chłopczyk otwiera oczy, patrzy na nią poważnie i spokojnie, jakby spodziewał się zobaczyć właśnie ją. Esme dotyka jego policzka, dotyka jego czoła, jego dłoni, która otwiera się w tym momencie i oplata silnie wokół jej palca.

Starsza pielęgniarka wraca do pokoju i mówi coś o dokumentach, ale Esme jej nie słucha. Pielęgniarka pochyla się w stronę dziecka, obejmuje je dłońmi.

– Może damy jej jeszcze chociaż pięć minut? – Głos młodszej pielęgniarki brzmi potulnie, błagalnie.

– Nie, nie możemy – warczy ta starsza i zaczyna wyciągać dziecko z

rąk Esme.

I wtedy właśnie do Esme dociera, co się dzieje. Wyrywa dziecko pielęgniarce. Nie, mówi, nie. Zsuwa się razem z nim z łóżka i mimo że uginają się pod nią kolana, odpełza, po posadzce, przyciskając dziecko do piersi. No co ty, Euphemia, słyszy za sobą głos pielęgniarki, nie bądź niegrzeczna, oddaj mi dziecko. Esme mówi, że tego nie zrobi, nie zrobi i już, odejdźcie ode mnie. Pielęgniarka chwyta ją za rękę. Ale posłuchaj, zaczyna, jednak Esme odwraca się i wymierza jej cios pięścią prosto w oko. Ty mała... , mruczy pielęgniarka, zataczając się w tył, i Esme wreszcie odnajduje siłę, powstaje na równe nogi. Przez sekundę nie jest w stanie utrzymać równowagi, jest dziwnie lekka po tych wszystkich miesiącach. Mimo to przymusza się do biegu; udaje jej się obiec łóżko, wyminąć młodą pielęgniarkę, która też próbuje zabiec jej drogę, zbliżając się do drzwi.

Udało się, udało się, zaraz stąd wyjdzie, wychodzi, już jest na korytarzu, już biegnie w stronę schodów, z ciepłym, mokrym dzieckiem w ramionach, i wierzy, że teraz pewnie odzyska wolność, że zabierze dziecko i wróci z nim do domu, że oni tam jej nie odrzucą i że jest w stanie biec tak w nieskończoność, a jednak słyszy za sobą czyjeś kroki i czuje czyjąś rękę oplatającą ją silnie w pasie.

Euphemia, mówią, zatrzymaj się, zatrzymaj się natychmiast. Znowu jest przy niej pielęgniarka, ta stara suka, cała czerwona ze złości. Rzuca się z rękami na to ramię, przy którym Esme trzyma swoje dziecko, ale Esme uskakuje gwałtownie. Dookoła nich słychać syrenę alarmową. Młodsza pielęgniarka już trzyma dłonie na dziecku, na dziecku Esme, i ciągnie je, a wtedy dziecko zaczyna płakać. Takim cichym *eee, eee,* tuż przy uchu

Esme. To jej dziecko, trzyma je w rękach, nie pozwoli, żeby go jej odebrali, ale ta druga pielęgniarka obłapia ją teraz i wygina jej rękę, przyciskając dłoń do pleców, przez co w ciele Esme znowu odzywa się ból, a jednak Esme wierzy, że ten ból zniesie i że nie odbiorą jej dziecka, ale pielęgniarka opasuje ręką jej szyję, zaciska tę rękę na krtani, utrudniając oddychanie, Esme zaczyna się szamotać i czuje już, że dziecko zaczyna się wysuwać z jej uścisku. Nie, próbuje powiedzieć, nie, nie, proszę. Pielęgniarka zabiera chłopca, zabiera go, chłopiec znika. Nie ma go.

Esme widzi jeszcze skręcone w lok pasemko włosów na czubku jego głowy, kiedy pielęgniarka odchodzi z nim pospiesznie, widzi zaciśniętą rączkę podobną do rozgwiazdy, słyszy to *eee, eee*. Ludzie, mężczyźni, rośli mężczyźni biegną w jej stronę z pasami, igłami i kaftanami. Zostaje powalona na podłogę, twarzą w dół, jak marionetka bez sznurków, widzi teraz, że jedyne, co jej po nim zostało, to kocyk, pusty zielony kocyk, który rozwinął się w jej dłoniach, i wtedy znów zaczyna się szamotać, krzyczeć wniebogłosy, zadziera głowę i widzi stopy pielęgniarki, która niesie jej dziecko, widzi buty i nogi oddalającej się kobiety, ale jego już nie widzi. Próbuje podnieść głowę jeszcze wyżej, bo chce go zobaczyć, jeszcze ten ostatni raz, ale ktoś wpycha jej twarz w płytki, więc może tylko słuchać – pośród wrzasków, krzyków i dźwięków alarmu – kroków, które oddalają się w głąb korytarza i w końcu milkną.

... absolutnie nic nie wiedziałam. I nie sądzę, by którakolwiek z nas to wiedziała. Pewnie wszystkie się spodziewałyśmy, że mężczyzna będzie posiadał tę wiedzę i że tę wiedzę spożytkuje. Oczywiście nigdy nie

zapytałam matki, a ona nigdy mi niczego nie wyjaśniła. Pamiętam naturalnie, że denerwowałam się zawczasu, ale wtedy moje troski były innego rodzaju. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że on nie będzie wiedział, jak...

... i bywały takie dni, kiedy patrzyłam na nią i zastanawiałam się, co ona w sobie takiego ma. Chodziła wiecznie potargana, była piegowata, bo nigdy nie nosiła kapelusza na słońcu, nie pielęgnowała dłoni, ubierała się byle jak, w zmięte rzeczy. Naturalnie czułam się winna z tego powodu, przecież to była moja siostra, więc jak mogłam myśleć o niej tak nieżyczliwie? A jednak się zastanawiałam. Dlaczego ona? Dlaczego ona, a nie ja? Powszechnie uważano mnie za tę ładniejszą, no i byłam też starsza, prawie w jego wieku w rzeczy samej. Miałam umiejętności, których ona w ogóle nie potrafiła opanować. Nadal myślę, od czasu do czasu, że gdyby nie wyjechał, to być może udałoby mi się...

... słyszałam. Słyszałam to wszystko. Byłam w jakimś pokoju przy tym samym korytarzu, czekałam. Weszła jedna pielęgniarka, potem druga, po czym zamknęły drzwi, z taką siłą, że aż łupnęło. Obie miały czerwone twarze i obie ziajały z wysiłku. Ta wredna..., zaczęła mówić jedna z nich, ale na mój widok natychmiast urwała. Potem wszystkie trzy słuchałyśmy wrzasków. Nad drzwiami była szpara, więc słyszałyśmy wyraźnie, cały ten rwetes. I powiedziałam wtedy...

... i ten specjalista kazał mi zdjąć ubranie z dolnych partii ciała, przez co omal nie zwymiotowałam, ale zrobiłam to. Musiałam patrzeć na sufit, gdy tymczasem on coś tam rozciągał i rozszerzał, że aż chciałam wrzasnąć, ale się w końcu wyprostował. I był wyraźnie zdenerwowany. Drogie dziecko, powiedział, pani jest, mhm, pani jest wciąż nietknięta.

Czy pani mnie rozumie? Odparłam, że rozumiem, ale w rzeczywistości wcale nie rozumiałam. Czy to możliwe, spytał, jednocześnie zajmując się czymś, myjąc ręce tyłem do mnie, że pani jeszcze nie odbywała stosunków ze swoim mężem? Odparłam, że nie. Powiedziałam, że odbywałam. Że tak mi się wydawało. A nie odbywałam? Doktor zajrzał do swoich notatek i powiedział: Nie, moja droga. No więc tamtej nocy przysiadłam na skraju łóżka i starając się nie płakać, bardzo starając się nie płakać, powtórzyłam Duncanowi, co powiedział doktor, posługując się tymi samymi sformułowaniami...

... czas na herbatnika, wymyśliła sobie ta kobieta. Wolałabym, żeby sobie poszła. Wolałabym, żeby oni wszyscy sobie poszli. Nie pojmuję, jak tu można zaznać spokoju, kiedy stale otaczają cię ludzie. Jak ja mam egzystować, jeśli...

... próbowałam zgromadzić jakieś wskazówki, dziewczęta robiły to w tamtych czasach, ale wszystko było takie nieczytelne. Wiedziałaś, że to się dzieje w łóżku, nocą, i że to powinno boleć, ale to wszystko było takie niejasne. Pomyślałam wręcz, że wypytam babkę, ale...

... nie, nie chcę herbatnika z kremem karmelowym. To ostatnia rzecz, jakiej chcę. Czy ci ludzie nigdy...

... i ten wrzask urwał się zupełnie znienacka. A potem zapanowała taka straszna cisza. Spytałam, co się stało? A na to pielęgniarka stojąca najbliżej mnie odparła, że nic. Uśpili ją. Proszę się nie przejmować, powiedziała, porządnie się wyśpi, a kiedy się zbudzi, nie będzie o niczym pamiętała. I wtedy zobaczyłam dziecko. Aż do tego momentu w ogóle nie zauważyłam, że ono tam jest. Pielęgniarka zobaczyła, że na nie patrzę, więc podeszła z nim do mnie i ułożyła je w moich ramionach. Przyjrzałam

mu się i wtedy coś mnie napadło. Byłam wtedy bliska zmiany postanowienia, chciałam powiedzieć, że jednak nie, nie chcę go. Bo on pachniał nią.

On nią pachniał.

Z tym się nigdy nie uporałam.

Ale wtedy...

... myślałam, że on zrozumie te słowa. Powtórzyłam mu je: penetracja i upust płynu. Wkułam je na pamięć, tak samo jak wkuwałam francuskie czasowniki wiele lat wcześniej. Myślałam, że to pomoże. Myślałam, że to rozwiąże problem. Włożyłam moją koszulę nocną różanej barwy. Tymczasem on się odsunął, zgarnął swoją poduszkę i powędrował na drugą stronę pokoju. Chyba nie wierzyłam, że wyjdzie, dopóki nie doszedł do drzwi. Myślałam, że tylko tak spaceruje nerwowo, że może idzie po coś. Ale nie. Doszedł do drzwi, otworzył je, wyszedł, zamknął je za sobą. I we mnie też coś się wtedy zamknęło. I dokładnie następnego dnia ukryłam się przed nim i rodzicami, a potem pojechałam do szpitala, gdzie zostałam przyjęta przez doktora, który powiedział...

... zapach tego herbatnika przyprawia o mdłości. Wezmę go i wepchnę pod poduszkę, dzięki temu nie będę czuła tego zapachu i...

... więc gapiłam się na to dziecko, bo myślałam, że nie będę w stanie tego zrobić, myślałam, że jednak będę musiała je oddać, i nagle spostrzegłam, do kogo ono jest podobne. Zobaczyłam to. Aż do tego momentu raczej nie do końca rozumiałam, co się stało, co ona zrobiła. Ze ona to z nim zrobiła. I wtedy poczułam w sobie gniew. Jak ona mogła to wiedzieć, a ja nie? Była ode mnie młodsza, nie taka ładna jak ja, z pewnością nie taka wykształcona jak ja, nawet nie była mężatką, a mimo

to udało jej się...

... poszłam tam, bo po prawdzie to nie wiedziałam, dokąd jeszcze mogę pójść. Matka by mi nie pomogła, i zresztą nie mogłam jej powiedzieć, po prostu nie odbywałyśmy tego typu rozmów, wizyta u tego specjalisty nie zdała się na nic, właściwie to wszystko pogorszyła. A ja naprawdę strasznie pragnęłam mieć dziecko. To pragnienie było jak ból głowy, jak kamyk w bucie. To coś okropnego, pragnąć czegoś, czego nie możesz mieć. To cię zupełnie pożera. Z powodu tego pragnienia zupełnie nie potrafiłam myśleć jasno. Uznałam, że nikomu innemu nie mogę się zwierzyć. I tęskniłam za nią. Naprawdę tęskniłam. Minęło wiele miesięcy, odkąd wyjechała, dlatego więc wzięłam taksówkę. Podczas jazdy byłam taka podekscytowana, niesamowicie podekscytowana. Nie umiałam zrozumieć, dlaczego nie zrobiłam tego wcześniej. Stale myślałam o tym, jaką zrobi minę, kiedy tam wejdę. Ale ten doktor przyjął mnie u siebie, zanim się do niej dostałam, i kiedy powiedział tamto, powiedział o niej i o dziecku...

... nigdy nie wrócił do naszego pokoju. Spał na korytarzu, a kiedy umarła matka i ja odziedziczyłam dom, przeprowadziliśmy się tam i on wziął sobie pokój, który dawniej należał do mojej babki, podczas gdy ja zajęłam znowu ten, który w przeszłości dzieliłam z...

I trzyma fotografię. Trzyma ją w dłoniach. Patrzy na nią i wie. Znowu myśli o tych wszystkich liczbach, o dwójkach i ósemkach, które razem tworzą osiemdziesiąt dwa oraz dwadzieścia osiem. I myśli o tym, co jej się przydarzyło dwudziestego ósmego dnia miesiąca pod koniec lata. Czy raczej w ogóle o tym nie myśli. W ogóle nie musi. To wiecznie przewija

się przez jej umysł. Ona to ma, cały czas, słyszy to. Ona tym jest.

Wie, kim jest ten mężczyzna. Wie, kim był. Widzi to wszystko teraz. Rozgląda się po pokoju, w którym kiedyś przez całą zimę przechowywało się ich letnie ubrania, w cedrowych skrzyniach – delikatnie poskładane sukienki z bawełny i muślinu, które obie rzadko kiedy ubierały w edynburskim klimacie. W niektóre słoneczne dni w sierpniu zdarzało się, że je wyjmowały, roztrząsały, wietrzyły i wreszcie wkładały. Nie pamięta, jak często się to działo. Ale zamiast wysokiej skrzyni z mnóstwem płytkich szuflad, którą matka uważała za tak przydatną do bluzek we wzorek i cienkich szali, teraz stoi tam telewizor. Rzuca migotliwą, niebieskawą łunę na całe wnętrze.

Spogląda znowu na mężczyznę z fotografii. Na jego ramionach siedzi mała dziewczynka. Są na dworze. Konary drzewa wystają poza kadr. Mężczyzna wykrzywia głowę do góry, by coś powiedzieć dziewczynce. Dziewczynka wczepia palce w jego włosy; mężczyzna swoimi palcami oplata jej kostki, trzymając ją z całej siły, jakby się bał, że mogłaby pofrunąć do nieba, gdyby ją puścił.

Esme przygląda się uważnie twarzy mężczyzny i widzi, w tych płaszczyznach i kątach, w kształcie tej czaszki, wszystko, co kiedykolwiek chciała wiedzieć. Widzi to, rozumie to: był mój. Niemalże wyciąga ręce w stronę tej wiedzy i bierze ją sobie. Wkłada ją niczym stary płaszcz. Był mój.

Obraca się w stronę dziewczyny, która stoi obok niej, i ta dziewczyna jest tak podobna do matki Esme, tak bardzo podobna, że mogłaby uchodzić za nią – a jednak w tym dziwnym, wielowarstwowym ubraniu, z tymi krótko przystrzyżonymi włosami, z asymetryczną grzywką, jest tak

niepodobna do jej matki, że aż się Esme zbiera na śmiech, kiedy o tym myśli. I widzi, że ta dziewczyna też jest jej. Co za myśl. Co za historia. Pragnie wziąć tę dziewczynę za rękę, dotknąć tego ciała, które jest jej ciałem. Chce do niej przylgnąć, prędko, na wypadek gdyby miała pofrunąć do nieba, niczym latawiec albo balon. A jednak nie odfrunęła. Zamiast odfrunąć, robi dwa kroki w stronę krzesła i siada, z fotografią na kolanie.

Kiedy cię usypiają, to zanim całkowicie stracisz świadomość, jest najpierw taki moment, kiedy twoje prawdziwe otoczenie odciska ślad na rozkołysanym, imaginistycznym delirium, które cię chwyta w swoje władanie. Przez krótki czas zamieszkujesz dwa światy, dryfujesz między nimi. Esme zastanawia się przez chwilę, czy lekarze o tym wiedzą.

Podnieśli ją wtedy z podłogi: była bezwładna jak szmaciana lalka gigantycznych rozmiarów. Nad nią, na suficie biegały już tysiące mrówek, a kątem oka widziała szarego psa, biegnącego pod ścianą korytarza, z pyskiem tuż przy podłodze.

Dwaj mężczyźni nieśli ją między sobą, tego raczej była pewna. Każdy trzymał ją za jedną rękę i jedną nogę, przez co jej głowa zwisała luźno z karku, napełniając się zimną już krwią z całego ciała, a to, co jeszcze zostało z jej włosów, niemalże szorowało podłogę. Wiedziała, dokąd ją niosą. Była w Cauldstone dostatecznie długo. Szary pies zdawał się podążać jej śladem, iść razem z nią, ale krótko potem pomknął przez korytarz i wyskoczył na zewnątrz przez okno. Czyżby to okno było otwarte? Mogło tak być? Prawdopodobnie nie. A jednak czuła jakby lekki wiatr na swojej skórze, ciepły wiatr, napływający nie wiadomo skąd, i zobaczyła osobę, która wyłoniła się zza jakichś drzwi. Ale to się nie mogło dziać naprawdę, bo tą osobą była jej siostra, która szła po suficie, do góry

nogami. I miała na sobie żakiet Esme. Albo żakiet, który kiedyś należał do Esme. Ten z cienkiej, czerwonej wełenki, który kiedyś tak się jej podobał. Była zwrócona tyłem do Esme i się oddalała. Esme obserwowała ją z tęsknotą. Jej siostra. Coś takiego. Tutaj. Próbowała coś powiedzieć, próbowała zawołać ją po imieniu, ale wargi jej nie słuchały, język nie chciał pracować, a zresztą nie mogła być prawdziwa. Ani razu do niej nie przyszła. Za chwilę miała wylecieć za okno jak tamten szary pies, jak te wszystkie mrówki, które dostały skrzydeł i wchodziły jej na twarz maleńkimi, haczykowatymi odnóżami.

... zdawało się pasować. To wszystko. Wydawało się zbyt dobre, by mogło być prawdziwe. Naprawdę pragnęłam mieć dziecko, z całej duszy. To było tak, jakby jakiś anioł zstąpił z nieba i powiedział: ono może być twoje. No to więc poszłam do ojca, bo oczywiście nic nie mogło się dziać bez niego. Poprosiłam o rozmowę w jego gabinecie i kiedy mówiłam, siedział za biurkiem i wpatrywał się w swoją zaplamioną atramentem suszkę. Milczał, kiedy skończyłam mówić. Czekałam, stojąc tam w moich porządnych rzeczach, bo z jakiegoś powodu uznałam, że należy dobrze się ubrać, by móc wyrazić tę prośbę, jakby to miało pomóc mojej sprawie. Nie widziałam innego sposobu, żadnego innego końca mojej tortury. Zdaje się, że mu to powiedziałam, drżącym głosem. Spojrzał na mnie surowo, bo niczego nie cierpiał bardziej niż kobiet, które płaczą. Powtarzał to dostatecznie często. I westchnął. Skoro uważasz, że tak będzie dobrze, moja droga, powiedział i gestem kazał mi wyjść z pokoju. Ta chwila była dla mnie czymś zdumiewającym, kiedy wyszłam na korytarz i uwierzyłam, że to się może ziścić, że tak może być. Ale powinnam

zaznaczyć bardzo jasno, że nigdy nie było moją intencją...

... takie niesamowicie łatwe. Wszystkim mówiłam, że wyjeżdżam na kilka miesięcy, na południe. Tak, wyjeżdżam się przewietrzyć. Lekarze mówią, że w moim stanie najlepszy będzie ciepły klimat. Tak, dziecko. Tak, to cudowne. Nie, Duncan nie jedzie ze mną. Biuro, rozumiecie. Wszystko takie niesamowicie łatwe. Jedyny problem z kłamaniem jest taki, że musisz pamiętać, co komu powiedziałaś. I to było łatwe, bo wszystkim mówiłam to samo. Idealne rozwiązanie. Wspaniałe, stuprocentowo idealne rozwiązanie. Nikt by nie wpadł na nic mądrzejszego. Powiedziałam Duncanowi: spodziewam się dziecka, wyjeżdżam. Nawet na niego nie spojrzałam, by sprawdzić, jak zareagował. Czasami mi się wydaje, że matka domyśliła się wszystkiego. Ale nie jestem pewna. Być może ojciec coś powiedział, aczkolwiek on utrzymywał, że będzie najlepiej, jeśli matka się nigdy nie dowie. Gdyby się zorientowała, to nigdy...

... Jamie co jakiś czas wracał do Edynburga ze swoją żoną Francuzką, później z jakąś drobną Angielką, a jeszcze później, wiele lat później, z jakąś głupiutką dziewczyną o połowę od niego młodszą. Dziecko wziął na ręce raz. Pojawił się bez zapowiedzenia, siedziałam właśnie z Robertem na dywanie w salonie. Pamiętam, że dopiero raczkował. Przyszedł, chociaż raz sam, kiedy Duncana nie było, i powiedział: Aha, syn i spadkobierca, ja za to milczałam. I nadal nie byłam w stanie mówić, kiedy pochylił się, zgarnął dziecko z podłogi, podniósł je wysoko w górę i powiedział: Zuch chłopak, bardzo dzielny. Dzieciak spojrzał wtedy na niego, przyjrzał mu się bardzo uważnie, tak jak to zawsze robią dzieci, po czym wykrzywił dolną wargę, otworzył usta i zawył. Wył i wył. Wyrywał się i szamotał,

więc musiałam go mu odebrać. Musiałam zabrać go na górę, jak najdalej, i zrobiłam to z zadowoleniem. Tuliłam go do siebie, kiedy się wspinałam po schodach i szeptałam mu do ucha: szeptałam prawdę. Wymówiłam ją na głos po raz pierwszy. I jedyny. Powiedziałam...

... dni, kiedy to nie było takie łatwe. Kim był ten ktoś, kto to nie potrafił utrzymać tajemnicy i musiał wyszeptać ją rzece? Nie pamiętam. Zdarzały się takie dni, kiedy to było bardzo trudne. Gdyby znalazł się choć jeden człowiek, z którym mogłabym o tym porozmawiać, przed którym mogłabym się wyspowiadać, byłoby mi lepiej. A jednak raz tam wróciłam, bo czułam, że tak należy. I wtedy zabrali mnie do tego okropnego miejsca, które wyglądało jak jakieś lochy, i poinstruowali, że mam tam zajrzeć przez małą dziurkę w drzwiach z żelaznym zamkiem. I w tej *camera obscura* zobaczyłam jakieś stworzenie. Istotę. Od stóp do głów pozawijaną jak mumia, tyle że ta mumia miała twarz, która była naga, rozpołowiona i krwawiła. Ta istota pełzała i pełzała w kółko, wciskając jedno ramię w wyścielaną ścianę, mamrocząc coś do siebie. Ależ to nie ona, powiedziałam wtedy, a oni mi na to, że owszem tak, to ona. Spojrzałam jeszcze raz, zobaczyłam, że może jednak mają rację i...

... więc powiedziałam temu doktorowi, o tak, adopcja, doskonały pomysł. Ja je osobiście przysposobię. A on na to: Godne podziwu, pani Lockhart. I dodał: Zatrzymamy Euphemię jeszcze przez jakiś czas, żeby sprawdzić, jak z nią jest, a potem może... Powiedziałam mu wtedy, że się zgadzam. Nic dodać, nic ująć. Ale nigdy nie było moją intencją, żeby ona...

Iris przytomnieje znienacka i leży przez chwilę, zdumiona, wpatrzona

w sufit. Coś ją obudziło. Jakiś hałas, obcy ruch w domu? Jest jeszcze wcześnie, przed świtem, za żaluzjami panuje świetlista, wodnista szarość, większa część wnętrza jest spowita w cieniu.

Przewraca się na bok, starając się znaleźć przyjemną, niezmiętą część poduszki, naciąga kołdrę na szyję. Myśli o Esme, w pokoju obok na pojedynczym łóżku, i o Aleksie na kanapie. Właśnie przychodzi jej na myśl, że w jej domu będzie tłoczno za dnia, kiedy nagle dociera do niej, co ją obudziło.

Nie był to do końca sen, tylko raczej wędrówka po własnych śladach. Chodziła po dolnych piętrach domu, takim, jaki był za czasów jej babci. Wyszła z salonu przez ciężkie, dębowe odrzwia, minęła hall, frontowe drzwi z kolorowymi szybkami, za którymi promienie słońca skupiały się i rozciągały w postaci czerwonych trójkątów i niebieskich kwadratów, potem po schodach na górę, poświstując spódnicą wokół nagich łydek, na górny podest. Właśnie mijała sypialnię, gdzie...

Iris przewraca się ze złością na drugi bok, ubija, szarpie poduszkę. Powinna coś poczytać. Żeby jakoś sobie pomóc w zaśnięciu. Powinna iść do łazienki. Albo do kuchni, napić się czegoś. A jednak nie chce tam iść. Nie chce tak się błąkać w środku nocy, bo a nuż...

Naraz coś jeszcze przychodzi jej do głowy, sprawiając, że niemal siada. W tym śnie miała na sobie tę samą suknię, frywolną, popołudniową suknię, którą nosiła w czasie, gdy... Pada na plecy, drapie się jak oszalała po włosach, rozkopuje kołdrę, bo jest jej gorąco, jest jej tak gorąco, dlaczego tak jej gorąco, dlaczego to zakichane łóżko jest takie niewygodne? Zaciska powieki i ze zdziwieniem stwierdza, że jest bliska łez. Nie chce, absolutnie nie chce o tym myśleć.

W taką samą suknię była ubrana tamtego dnia, kiedy babcia ich nakryła. Iris zakrywa twarz dłońmi. Tak skutecznie pogrzebała to wspomnienie, tak kompletnie przestała o nim myśleć, że równie dobrze tamtego zdarzenia mogło wcale nie być. Jest nieledwie tak, jakby na nowo napisała własną historię. Wymazując tamten dzień, kiedy Kitty ich przyłapała.

Iris zerka prędko na ścianę, która odgradza jej sypialnię od salonu. Ma ochotę splunąć na nią, cisnąć w nią czymś, wrzasnąć: Jak śmiesz! Nie ma wątpliwości, że jego obecność tutaj wywiera jakiś złowrogi wpływ na jej myśli podczas snu.

Tamten dzień, kiedy Kitty ich nakryła. Iris właśnie wróciła do domu po dłuższej nieobecności; to był koniec jej pierwszego roku na studiach. Sadie i Alex odebrali ją z dworca i Sadie powiedziała, że po drodze wstąpią do babci na herbatę. Iris i Alex nie widzieli się z sobą jakby od wieków. I teraz musieli siedzieć obok siebie, w mrocznym, ciężkim od brokatowych draperii pokoju, który babcia nazywała salonem, przed tacą pełną maleńkich kanapek, herbatników i masła, popijać herbatę w porcelanowych filiżankach. Babcia rozmawiała o swoich sąsiadach, o zmianach w edynburskim ruchu jednokierunkowym, wypytywała Iris o studia i zwróciła uwagę, że wygląda dość niechlujnie.

Iris próbowała słuchać. Próbowała zjeść więcej niż jeden herbatnik, ale była nakręcona jak sprężyna. Alex, który siedział obok niej na kanapie, z pozoru słuchał uważnie wszystkiego, co mówiła Kitty, a mimo to cały czas jego dłoń ocierała się o jej udo, jego palce skubały cienką tkaninę jej sukienki, jego rękaw dotykał jej nagiego ramienia, jego stopa trącała jej stopę. Iris musiała wyjść z pokoju. Musiała iść na górę, żeby się uspokoić,

wziąć kilka głębokich wdechów w samotności łazienki. W końcu stamtąd wyszła, gasząc za sobą światło, przeszła przez podest i w momencie, kiedy dochodziła do szczytu schodów, ktoś ją złapał, złapał w garść jej sukienkę i pociągnął ją do wnęki z wysokim zegarem. Zaczęli się szamotać, gwałtownie, pośpiesznie, gładząc i obmacując się nawzajem rękoma, starając się znaleźć miejsce, w którym byłoby im wygodnie, które zapewniłoby im dostateczną bliskość. On sapał jej ciężko do ucha, ona wgryzała się w gładki mięsień jego ramienia i któreś z nich powiedziało: nie możemy, musimy tam wracać. Iris uważa, że to była ona. Aleksowi wyrwał się wtedy z ust cichy jęk desperacji, po czym pchnął ją na ścianę, zaczął gwałtownie zrywać z niej sukienkę i kiedy rozległ się odgłos rozpruwanych szwów, Iris usłyszała coś jeszcze. Kroki kogoś, kto wchodził po schodach, coraz bliższe. Odepchnęła od siebie Aleksa dokładnie w momencie, gdy na podest weszła jej babcia. Zobaczyła ich, popatrzyła na nich oboje, przyłożyła dłoń do ust, a potem zamknęła oczy. Przez chwilę żadne z nich się nie ruszało. A potem Kitty otworzyła oczy i zaczęła nerwowo, bez końca zacierać dłonie. Alex odchrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu nic nie powiedział. A Kitty spojrzała na Iris. Patrzyła na nią bardzo surowo i bardzo długo. To spojrzenie tak wytrącało z równowagi, tak przeszywało na wskroś, że Iris musiała zagryźć wargę, żeby nie krzyknąć, żeby nie powiedzieć: Proszę, babciu, proszę, nie donieś na nas.

Kitty się odwróciła. Zeszła na dół, bardzo uważnie stawiając stopy. Iris i Alex usłyszeli stukanie jej obcasów w hallu, potem drzwi do salonu otworzyły się i zamknęły, a oni stali w półmroku podestu, czekając, aż znowu usłyszą jakiś dźwięk, głośne sapnięcie, wrzask, że na schodach

zadudnią kroki Sadie. Czekali długo, stojąc z dala od siebie, nie patrząc na siebie. A jednak nic się nie zdarzyło. Czekali przez wiele kolejnych dni, na telefon, na wizytę, że Sadie powie: Muszę porozmawiać z wami obojgiem. A jednak wciąż nic się nie działo. Nie mówiąc nic nikomu, Iris zmieniła program swoich studiów, biorąc rosyjski, która to decyzja oznaczała natychmiastowy wyjazd do Moskwy, na cały rok. Tam dostała wiadomość, że Alex wyjechał do Nowego Jorku i że zaręczył się z dziewczyną o imieniu Fran. Tak czy owak, Iris nigdy więcej nie dotknęła Aleksa.

Iris z zaciśniętymi zębami wpatruje się w wariacką plątaninę pęknięć na suficie. Chwyta kołdrę, strzepuje ją nerwowo, potem znowu ją odrzuca na bok. Patrzy z furią na dzielącą ich ścianę. Ty gówniarzu, ma ochotę wrzasnąć, wynoś się z mojego domu! Teraz już nigdy nie zaśnie.

A jednak chyba zasnęła. Bo jakieś z pozoru kilka sekund później osnuwa ją zewsząd coś, co pewnie jest kolejnym snem – dziwny, wywołujący panikę poklatkowy film animowany o tym, jak zgubiła psa na dworcu kolejowym. Wbija się w poduszkę, jęcząc, starając się znaleźć drogę powrotną. A potem, za horyzontem kołdry, widzi brzeg swetra, trzy guziki.

Esme stoi obok jej łóżka, z rękoma założonymi na piersiach, przygląda się jej z wysoka. Wnętrze sypialni wypełnia jaskrawe, żółte światło. Iris podnosi głowę, odgarnia włosy z oczu. Przez chwilę nie może mówić. Zerka na toaletkę i z ulgą widzi, że jej blat jest pusty. Zeszłego wieczoru wyniosła noże.

– Esme – chrypi – czy ty...

Ale Esme wchodzi jej w słowo.

– Czy możemy odwiedzić dzisiaj Kitty?

– Uhm. – Iris usiłuje usiąść. A tak nawiasem, która to godzina? Czy ma coś na sobie? Patrzy w dół. Przynajmniej od góry ma – coś zielonego. Nie ma pojęcia, co dokładnie.

– Jasne – mówi. Grzebie pod poduszką w poszukiwaniu zegarka. – Jeśli... co tylko chcesz.

Esme przytakuje, odwraca się i wychodzi z pokoju. Iris pada z powrotem na poduszkę i podciąga kołdrę pod brodę. Zamyka oczy i jasne poranne słońce jarzy się czerwono za jej powiekami. Jest o wiele za wcześnie jak na pobudkę w niedzielny poranek.

Wstaje i znajduje Aleksa w kuchni, razem z Esme. Oboje pochylają się nad mapą Stanów Zjednoczonych i Alex opowiada o wyprawie samochodowej, którą on i Iris odbyli wspólnie piętnaście lat wcześniej.

– Dobrze się czujesz? – pyta, nie podnosząc głowy, kiedy Iris mija go po drodze do zlewu.

Przytakuje milcząco, zapalając gaz pod czajnikiem. Opiera się o płytę kuchenki. Alex pokazuje na mapie park narodowy słynący z kaktusów.

– Wcześnie wstałeś – zauważa Iris.

– Nie mogłem spać. Ta kanapa jest piekielnie niewygodna, sama wiesz. – Alex przeciąga się, jego T-shirt podjeżdża w górę torsu, pokazując pępek, linię włosów znikającą pod nisko zawieszonym pasem dżinsów. Iris odwraca wzrok, patrzy na Esme, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie jest za dużo jak na nią. Ale Esme jest wciąż pochłonięta mapą.

– Tak się czuję, jakbym właśnie zmienił strefę czasową – ciągnie Alex. – Oczywiście to niemożliwe. Nie wiem, co to jest. Jakbym nie mógł za czymś nadążyć. Może za życiem. Może ta kanapa ma na mnie dziwny wpływ.

Iris marszczy brew. Jest za wcześnie na tego typu rozmowy.

Mają do zabicia jeszcze godzinę, zanim w domu opieki, gdzie przebywa Kitty, zaczną się godziny odwiedzin, więc wszyscy troje wyprawiają się na Blackford Hill. W trakcie wspinaczki Iris obraca głowę we wszystkie strony, przyglądając się szklistej szarości morza na horyzoncie, miastu rozciągającemu się między wzgórzem a wybrzeżem, rozczochranym krzewom janowca, Esme, która idzie z rozcapierzonymi palcami, w sukni łopoczącej na wietrze niczym zasłona w oknie, Aleksowi, który idzie w niewielkiej odległości od nich i rzuca patyki psu, czerwonemu latawcowi na wietrze, parkingowi, kilku samochodom, kobiecie popychającej dziecięcy wózek, mężczyźnie, który właśnie wysiada z samochodu... Stwierdza najpierw, że ten mężczyzna jest atrakcyjny, przystojny, a dopiero potem zauważa, że jest w nim coś znajomego, w tych włosach, w tym ruchu, jakim pociera się po karku, w ruchu, jakim bierze towarzyszącą mu kobietę za rękę.

Iris zatrzymuje się jak wryta. A potem się odwraca. Jeszcze zdąży uciec. On jej nie zauważy, żadne z tych dwojga jej nie zauważy, może uda jej się podkraść do samochodu i nie będą musieli się spotkać. On jednak obraca się, by objąć żonę ramieniem, i kiedy to robi, jego wzrok natrafia na Iris. Iris czeka, nieruchomo, zamieniona w słup soli. A on ją rozpoznaje i zdejmuje rękę z ramienia żony. Widać, że się waha, że nie wie, co teraz zrobić, czy zwyczajnie wsiąść do samochodu, razem z żoną, zatrzasnąć drzwi i odjechać.

Ta żona już ją jednak zauważyła. Jest za późno. Iris przygląda się, jak mówi coś do niego, pyta o coś. Zostawiają samochód, z otwartymi drzwiami, i idą w jej stronę. On nie ma wyboru, Iris to widzi, ale ją samą

chwyta odruch, żeby rzucić się do ucieczki. Gdyby teraz poderwała się do biegu, to nic nie musiałoby się zdarzyć. Ale obok niej jest Esme, a nieco dalej Alex. Jak mogłaby ich zostawić?

– Iris – mówi Luke.

Iris mało przekonująco udaje, że dopiero teraz ich zauważyła.

– A, cześć!

Luke i jego żona podchodzą do nich i się zatrzymują. On już jej wprawdzie nie obejmuje, za to ona wciąż trzyma go za rękę. Rozsądna kobieta, myśli Iris. Chwila milczenia. Patrzy na Luke'a w poszukiwaniu wskazówki. Jak on to rozegra? W którą stronę skoczy? Luke tymczasem kieruje spojrzenie w inny punkt i dopiero teraz dociera do niej, że obok jej łokcia zmaterializował się Alex, z patykiem dla psa w ręku.

– Cześć, Luke! – mówi, wyrzucając patyk wysoko w powietrze, przymuszając psa do biegu na przełaj. – Dawno się nie widzieliśmy. Co u ciebie?

Iris widzi, że Luke jakby się wzdryga.

– Alexander – mówi Luke, chrząkając.

– Alex – poprawia go Alex.

Luke kiwa głową.

– Cieszę się, że cię widzę.

Alex wykonuje osobliwy ruch głową, jakimś sposobem nadając aż dwa komunikaty: „pamiętam cię" i „nie lubię cię".

– Wzajemnie – mówi.

Luke staje na palcach, po czym zaczyna przytakiwać. Iris łapie się na tym, że ona też przytakuje. I przytakują tak przez dłuższą chwilę. Luke nie jest w stanie spojrzeć jej w oczy i pała mu twarz; Iris nigdy wcześniej nie

widziała, by się rumienił. Stwierdza, że sama z kolei nie jest w stanie spojrzeć na jego żonę. Próbuje, próbuje przenieść wzrok w tym kierunku, ale za każdym razem, gdy już jest blisko, dzieje się coś dziwnego i jej oczy zbaczają w inną stronę, jakby ta żona wytwarzała jakieś negatywne pole siłowe, za potężne jak na nią. Milczenie narasta, zaciemniając powietrze między nimi wszystkimi, i Iris łamie sobie głowę w poszukiwaniu czegoś do powiedzenia, jakichś wymówek, powodów, dla których powinni już iść, kiedy, ku jej przerażeniu, dociera do niej, co właśnie mówi Alex:

– A to pewnie jest twoja żona, Luke? Nie przedstawisz nas sobie?

Luke zwraca się ku swojej żonie, jakby zupełnie zapomniał o jej istnieniu.

– Giną – mówi, adresując to do dzielącego ich gruntu to jest Iris. Ona... My, aaa, my... – zamiera mu głos.

Zapada chwila nieprzyjemnego milczenia i Iris z zaciekawieniem czeka, co on powie teraz. Co to może być? Pieprzymy się, kiedy tylko mamy okazję? Poznaliśmy się na cudzym weselu, kiedy ty leżałaś w łóżku z grypą? Nie chciała mi dać swojego numeru telefonu, więc się dowiedziałem, gdzie pracuje, i chodziłem tam codziennie, aż wreszcie zgodziła się ze mną umówić? To dla niej zamierzam cię zostawić?

– Iris... Iris ma sklep – wyjaśnia.

Z gardła Aleksa wyrywa się jakiś zdławiony odgłos; Iris wie, że Alex ledwie powstrzymuje się od śmiechu, i postanawia, że później da mu popalić, i to tak, że sobie popamięta.

A jednak Giną się uśmiecha i wyciąga rękę, a na jej twarzy nie ma pretensji, nie ma zazdrości. Iris podaje jej rękę, myśląc: Mogłabym ci zniszczyć życie.

– Miło mi – mruczy i nie potrafi spojrzeć na tę osobę, nie potrafi mentalnie zaakceptować sylwetki kobiety, którą on zdradza, kobiety, która dzieli z nim dom, łóżko, życie. Chciałaby, ale nie może.

W końcu jednak udaje jej się spojrzeć na Ginę, zmusza się i widzi, że Giną jest drobną kobietą o jasnych włosach ściągniętych przepaską i że trzyma w ręku lornetkę, a kiedy Iris skupia się na tej lornetce, dostrzega coś jeszcze. Giną jest w ciąży. Bez cienia wątpliwości jest w ciąży – jej ciało wybrzusza się pod swetrem z czarnej wełny.

Iris wpatruje się dostatecznie długo w ten brzuch, by go zapamiętać. Widzi ściegi w tkaninie swetra, widzi srebrną zapinkę w futerale lornetki, widzi, że żona Luke'a miała niedawno robiony manikiur i że to francuski manikiur.

Iris ma wrażenie, że się roztapia, że tętno łomocze jej w skroniach i że naprawdę chciałaby stąd iść, że wolałaby być wszędzie, tylko nie tu, a w tym czasie Giną zagaduje Luke'a, zauważa, że jest zimno, pyta, czy będą się wspinali do szczytu wzgórza, i w samym środku ich rozmowy Esme nagle odwraca się w stronę Iris. Ma krzywą minę. A potem ujmuje Iris za przegub dłoni.

– Musimy iść – obwieszcza. – Do widzenia. – Odciąga Iris i popycha ją na ścieżkę, na odchodnym obdarzając Luke'a kosym spojrzeniem.

Kiedy samochód zajeżdża pod dom, Iris zauważa, że jej dłonie nie przestały się trząść, że jej serce nadal bije chaotycznie, zbyt szybko. Otwiera i zamyka schowek w desce rozdzielczej, gdy tymczasem Alex wysiada i pomaga Esme przy wysiadaniu. Iris opuszcza lusterko i prędko się sobie przygląda; stwierdziwszy, że wygląda obłąkańczo, odgarnia

włosy z twarzy, otwiera drzwi i wysiada.

Kiedy idą przez parking i wchodzą do środka przez szklane drzwi, Iris unika wzroku Aleksa. On zaś lawiruje między nimi, z rękoma w kieszeniach. Iris wsuwa rękę pod ramię Esme i podchodzi razem z nią do recepcji, gdzie je obie zgłasza.

– Chcesz też wejść – rzuca w stronę Aleksa – czy zaczekasz tutaj? Nie namawiam, to zależy od...

– Wejdę – mówi Alex.

Wszyscy troje docierają do drzwi pokoju Kitty.

– Jesteśmy – mówi Iris.

Esme się zatrzymuje. Ogląda się w lewo, w stronę tego miejsca, gdzie ściana spotyka się z sufitem. Robi to w taki sam sposób jak ktoś, kto właśnie zobaczył ptaka przelatującego po niebie albo poczuł nagły podmuch wiatru. Splata dłonie, po czym pozwala im bezwładnie zawisnąć przy bokach.

– To tutaj? – pyta.

Pokój jest słoneczny, słońce wpada przez balkonowe drzwi. Kitty siedzi na fotelu, tyłem do wejścia. Jest ubrana w ciemnoszarą bluzkę, sweter, tweedową spódnicę oraz wypastowane buty turystyczne; wygląda, jakby miała zaraz poderwać się z miejsca i wyruszyć na długą pieszą wycieczkę. Iris widzi, że dopiero co odwiedziła ją fryzjerka – włosy ma zaczesane w srebrnoniebieskie fale.

– Babciu – Iris wchodzi do środka – to ja, Iris.

Kitty obraca głowę w jej stronę.

– Tylko wieczorami – odpowiada – bardzo rzadko za dnia.

Iris momentalnie traci rezon, ale się opanowuje.

– Jestem twoją wnuczką, Iris, i...

– Tak, tak – mówi z irytacją Kitty – ale czego ty chcesz?

Iris siada obok niej na podnóżku. Czuje nagle, że jest zdenerwowana.

– Przyprowadziłam ci gości. A właściwie to jedną osobę. Bo ten tutaj, ten mężczyzna, to jest Alex. Nie wiem, czy go pamiętasz, ale... – Robi głęboki wdech. – To jest Esme.

Iris ogląda się na Esme, która stoi obok drzwi, zupełnie nieruchomo, z głową przekrzywioną na bok.

– Coś ty zrobiła z włosami? – wrzeszczy Kitty, sprawiając, że Iris wzdryga się nerwowo. Odwraca się i widzi, że Kitty adresuje to do niej.

– Nic – mówi zbita z tropu. – Musiałam je ściąć... Babciu, to jest Esme. Twoja siostra, Esme. Pamiętasz swoją siostrę? Przyszła do ciebie z wizytą.

Kitty nie podnosi oczu. Patrzy z determinacją na pasek swojego zegarka, skręcając go w palcach, i Iris przychodzi do głowy, że Kitty czasami rozumie więcej, niż to zdradza. W pokoju coś się napręża i miesi, a Kitty niezmordowanie wałkuje w palcach swój pasek od zegarka, łańcuszek ze złotych kółek. Ktoś gdzieś gra na pianinie i czyjś wątły głos przebija się przez melodię.

– Witaj, Kit – mówi Esme.

Kitty gwałtownie zadziera głowę i z jej ust zaczynają wypadać słowa, bez chwili pauzy czy zastanowienia, jakby miała je przygotowane.

– ... siedzisz tak tutaj z tymi nogami, na poręczy fotela? To zupełnie nieważne, coś ty czytała. I co ja miałam zrobić? Wszystkie moje szanse zostały zniszczone. Wyglądasz dokładnie tak samo, dokładnie tak samo. To nie byłam ja, przecież wiesz. To nie ja. Ja go nie wzięłam. Po co miałabym je chcieć? Skąd taki pomysł? A zresztą to było najlepsze

wyjście. Musisz to przyznać. Ojciec też tak uważał. I doktor. Nie wiem, po co tu przyszłaś, nie wiem, dlaczego tu jesteś, czemu tak na mnie patrzysz. Było moje, zawsze było moje. Spytaj, kogo chcesz. – Wypuszcza pasek. – Ja go nie wzięłam – mówi całkiem wyraźnie. – To nie ja.

– Czego nie wzięłaś? – pyta Iris.

Esme po drugiej stronie pokoju rozprostowuje ręce. Kładzie je teraz na biodrach.

– Przecież wiem, coś ty zrobiła – mówi.

Kitty spuszcza wzrok. Cały czas skubie swoją spódnicę, jakby zobaczyła, że coś do niej przywarło. Iris przenosi wzrok z jednej siostry na drugą, a potem patrzy na Aleksa, który stoi obok Esme. Alex wzrusza ramionami i się wykrzywia.

Esme wchodzi głębiej do pokoju. Dotyka łóżka, patch-workowej narzuty, wygląda przez okno, ogarniając wzrokiem ogród, dachy miasta. A potem rusza w stronę fotela, na którym siedzi jej siostra. Patrzy przez chwilę na Kitty, potem wyciąga rękę i dotyka jej włosów, jakby chciała je wygładzić. Kładzie dłoń na srebrzystoniebieskich falach na skroni Kitty i tak ją zostawia. To dziwny gest i trwa krótki moment. Potem odejmuje rękę i mówi do otaczającego ją powietrza:

– Chciałabym, żeby mnie zostawiono sam na sam z siostrą.

Alex i Iris idą w głąb korytarza. Idą szybko. W którymś momencie jedno z nich sięga do dłoni tego drugiego. Iris nie umiałaby stwierdzić z pełnym przekonaniem, które z nich to było. Tak czy owak trzymają się za ręce, ze splecionymi palcami, pokonują kolejno wszystkie zakręty i wychodzą na słońce. Idą aż do samochodu i tam dopiero się zatrzymują.

– Jezu – mówi Alex i wypuszcza powietrze, jakby cały czas

wstrzymywał oddech. – O co tam chodziło? Wiesz?

Iris przekrzywia głowę, żeby na niego spojrzeć. Słońce jest za jego plecami, dlatego stał się czarną sylwetką, zamazaną i zasmużoną światłem. Uwalnia rękę z jego uścisku i opiera się o maskę samochodu, przyciskając wnętrza dłoni do rozgrzanego metalu.

– Nie wiem – mówi – ale myślę...

– Myślisz, że co? – Alex podchodzi, staje obok niej.

Iris odpycha się od samochodu. Bolą ją ręce, jakby długo nimi nie ruszała. Próbuje uporządkować myśli. Kitty i Esme. Esme i Kitty. Wszystkie szanse zniszczone. Nie chciała puścić dziecka. Zawsze było moje. Przecież wiem, coś ty zrobiła.

– Myślę, żenię wiem.

– Czyżby?

Iris nie odpowiada. Otwiera samochód i wsiada do środka, za kierownicę, i po chwili Alex do niej dołącza. Siedzą razem w samochodzie, przyglądając się mężczyźnie z kosiarką, który równymi pasami strzyże trawnik, potem mieszkańcowi domu w podeszłym wieku, który idzie po ścieżce. Iris rozmyśla o Esme i Kitty, ale nęka ją coś, co musi koniecznie powiedzieć Aleksowi.

– Nie wiedziałam – mówi roztargnionym tonem. – Nie wiedziałam o żonie. Że jest w ciąży. Nigdy nie...

Alex patrzy na nią z ukosa, z głową przechyloną przez oparcie. Patrzy tak na nią długą chwilę.

– A, miłość – mówi. – Wiem.

Siedzą razem w samochodzie. Alex sięga do jej ręki i Iris pozwala mu ją ująć. Leży tam, na kolanach jego dżinsów. Rozprostowuje kolejno jej

palce, jeden po drugim, po czym pozwala im zgiąć się z powrotem.

– Czy zastanawiasz się czasami – pyta cicho – co my robimy?

Iris patrzy na niego. Nadal powtarza te słowa w swojej głowie. Ja go nie wzięłam. Przecież wiem, coś ty zrobiła.

– Słucham?

– Powiedziałem – powtarza Alex cicho, przez co Iris musi nadstawić ucha, żeby go usłyszeć – czy zastanawiasz się czasami, co my robimy? Ty i ja?

Iris sztywnieje. Poprawia się na fotelu; dotyka kierownicy. Staruszek przystanął pod jednym z drzew i teraz gapi się na coś ukrytego wśród jego konarów. Może na ptaka? Iris delikatnie wyszarpuje rękę, ale Alex mocno ją trzyma.

– Zawsze byłaś tylko ty – mówi. – Wiesz przecież.

Iris wyrywa rękę, otwiera drzwi z taką siłą, że aż słychać zgrzytanie zawiasów. Wyskakuje z samochodu i staje tyłem do niego, przyciskając dłonie do uszu.

Słyszy, że za nią otwierają się drugie drzwi, jego kroki na żwirze. Obraca się gwałtownie. Alex pochyla się nad dachem samochodu, jedną ręką wyciąga papierosa z paczki.

– Czego ty się tak boisz, Iris? – Uśmiecha się do niej, jednocześnie zapalając zapalniczkę.

Esme trzyma w dłoniach poduszkę. Poszewka – z wytłaczanego adamaszku barwy burgunda – jest wypchana pianką. Na brzegach złota lamówka. Obraca ją w jedną stronę, potem w drugą. Robi dwa kroki przez pokój siostry i odkłada poduszkę na kanapę. Robi to ostrożnie, opierając ją

o drugą taką samą, pilnując, by wyglądała tak samo jak wtedy, kiedy ją wzięła.

Dwie kobiety w pokoju. Jedna siedzi, druga stoi.

Esme czeka chwilę, wyglądając przez okno. Drzewa trzęsą głowami w jej stronę. Słońce wychyla się zza chmur i natychmiast wysuwają się cienie: spod drzewa i zegara słonecznego, spod kamieni ułożonych dookoła fontanny, spod nóg tej dziewczyny, Iris, która stoi obok samochodu z chłopcem. Znowu się kłócą i dziewczyna jest zła, gestykuluje i obraca się gwałtownie, to w jedną stronę, to w drugą. Jej cień obraca się razem z nią.

Esme cofa się od okna, ale nie spuszcza wzroku z dziewczyny i chłopca. Żeby nie patrzeć na nią. Jeśli się postara, to na razie jeszcze nie będzie musiała o tym myśleć. Jeśli tak trzyma głowę, to niemal jej się wydaje, że jest sama w tym pokoju, że zupełnie nic się nie stało. Jaka to ulga: hałas ustał, wszystko się uspokoiło. Esme jest z tego zadowolona. Jedna siedzi, druga stoi. Jej dłonie wydają się puste, teraz kiedy odłożyła poduszkę, więc zaciska jedną z drugą. Siada. Nadal zaciska dłonie, wkładając w to całą siłę, na jaką ją stać. Przygląda się tym dłoniom. Stawy bieleją, paznokcie różowieją, pod skórą naprężają się ścięgna. Wciąż trzyma twarz odwróconą.

Za nią, obok łóżka, z sufitu zwisa czerwony sznurek. Esme zauważyła go, kiedy weszła do tego pokoju. Wie, co to takiego. Wie, że jeśli za niego pociągnie, to gdzieś rozlegnie się dzwonek. Za chwilę wstanie. Przejdzie przez pokój. Przejdzie po dywanie, trzymając twarz odwróconą, bo nie musi nic widzieć, bo nie chce tego widzieć jeszcze raz, nie chce, żeby się odcisnęło w jej pamięci jeszcze mocniej niż teraz, mocniej niż będzie

potem odciśnięte, i pociągnie za czerwony sznurek. Pociągnie za niego z całej siły. Ale na razie posiedzi sobie tutaj. Poświęci na to kilka minut. Będzie przypatrywała się słońcu, dopóki ono znowu nie zajdzie, dopóki zegar słoneczny nie straci swojej wskazówki, dopóki ogród nie pogrąży się w łagodności, w cieniu.

– Niczego się nie boję! – krzyczy Iris. – A już na pewno nie boję się ciebie, jeśli o to pytasz.

Alex zaciąga się głęboko papierosem i wyraźnie się nad tym zastanawia.

– Nie sugerowałem, że się boisz. – Wzrusza ramionami. Tak się tylko składa, że zależy mi na tym, żeby ci przeszkadzać w życiu. Zwłaszcza że twoje życie jest związane również z moim.

Iris rozgląda się wokół rozszalałym wzrokiem. Zastanawia się, czy nie uciec, czy nie wskoczyć do samochodu i nie odjechać, przygląda się kamykom pod swymi stopami i zastanawia się, czy nie cisnąć garścią tych kamyków w Aleksa.

– Przestań – mówi zamiast tego łamiącym się głosem. – Po prostu przestań. To było... to było tak dawno temu, byliśmy dziećmi i...

– Nie, wcale nie byliśmy dziećmi.

– A właśnie że tak.

– Nie byliśmy. Ale nie będę się z tobą o to wykłócał. Teraz nie jesteśmy dziećmi, prawda? – Alex uśmiecha się do niej szeroko, wypuszczając kłąb dymu. – Sęk w tym, że ty – wiesz, że to prawda. Zawsze liczyłaś się tylko ty i wiesz, że zawsze byłem tylko ja.

Iris gapi się na niego. Nie wie, jak na to odpowiedzieć. W głowie ma

pusto, gładko, żadnego pomysłu. Nagle, gdzieś za nią, rozlega się tupot stóp na żwirze i Iris odwraca się przestraszona. Dwaj pielęgniarze w białych uniformach spieszą w stronę domu. Jeden trzyma pager. Iris omiata wzrokiem front domu opieki. Za jednym z okien widać przelotnie jakiś ruch, po chwili już nic.

– Chodzi o to, Iris – mówi za jej plecami Alex – ja tylko uważam...

– Ciiii – ostrzega go, wciąż patrząc na budynek. – Esme...

– Co?

– Esme – powtarza Iris, wskazując ręką budynek.

– Co z nią?

– Muszę...

– Co musisz?

– Muszę... – zaczyna od nowa i nagle to coś, co było dotąd odsunięte na peryferie jej umysłu, zaczyna jakby sunąć do przodu niczym łódka, która zerwała się z cum i podryfowała samopas. Cały czas moje. Nie chciała puścić. I czy masz podobiznę swojego ojca. Iris przykłada dłoń do ust. – O Boże!

Zaczyna iść, najpierw powoli, potem znacznie szybciej w stronę budynku. Alex idzie tuż za nią, wykrzykuje jej imię. Ona jednak nie chce się zatrzymać. Dochodzi do głównych drzwi, otwiera je zamaszyście i puszcza się biegiem przez korytarz, pokonując zakręty tak szybko, że zderza się barkiem ze ścianami. Musi być tam pierwsza, musi dopaść Esme pierwsza, zanim zrobi to ktoś inny, musi jej powiedzieć, musi jej powiedzieć: Proszę. Proszę, powiedz mi, że tego nie zrobiłaś.

Kiedy jednak dociera do pokoju Kitty, korytarz jest zatłoczony: są tam mieszkańcy domu w kapciach i szlafrokach, zza drzwi wylewają się ludzie

w uniformach. Ich twarze zwracają się ku niej, blade jak wnętrza dłoni.

– Przepuśćcie mnie! – Iris naciera na te twarze, na tych ludzi. – Błagam!

W pokoju jest jeszcze większy tłok, jeszcze więcej nóg, ciał i głosów. Tyle tych głosów, wszystkie coś jazgoczą, wykrzykują. Ktoś każe wszystkim się rozejść, natychmiast wrócić do swoich pokojów. Ktoś inny krzyczy do telefonu, ale Iris nie rozumie słów. Widzi gwałtowny ruch dwóch osób pochylających się nad kimś albo czymś na fotelu. Dostrzega przelotnie parę butów, nogi. Turystyczne buty dobrej jakości i grube, wełniane rajstopy. Odwraca głowę, przymykając oczy, a kiedy znowu je otwiera, widzi Esme, która siedzi przy oknie, z dłońmi splecionymi na kolanach. Patrzy prosto na Iris.

Iris siada obok niej. Bierze ją za rękę. Musi tę rękę wyrwać z uścisku drugiej ręki i czuje, że jest bardzo zimna. Nie ma pojęcia, co powiedzieć. Alex jest teraz przy niej, rozpoznaje przelotny nacisk jego dłoni na ramieniu i słyszy jego głos, mówiący komuś, że nie, nie mogą zadawać pytań i żeby zechcieli odejść. Iris czuje pokusę, by wyciągnąć rękę i dotknąć go, tylko na chwilę. Poczuć jego znajomą cielesność, upewnić się, że to naprawdę on, że on naprawdę tu jest. Ale nie może wypuścić Esme.

– Słońce nie zaszło – mówi Esme.

– Słucham? – Iris musi się pochylić, żeby ją usłyszeć.

– Słońce. Już więcej nie zaszło. Więc i tak go pociągnęłam.

– Ach tak. – Iris ściska dłoń Esme obiema dłońmi. – Esme – szepcze – posłuchaj...

– Ale osaczają ich ludzie w uniformach, coś pomrukując, pokrzykując, spowijając je wielką, białą chmurą. Iris nie widzi nic oprócz

wykrochmalonej, białej bawełny. Ta bawełna napiera na jej barki, włosy, zakrywa jej usta. Zabierają Esme, zabierają ją z kanapy, próbują wyrwać jej dłoń z dłoni Iris. Iris jej nie puszcza. Ściska tę dłoń jeszcze mocniej. Pójdzie razem z nią, pójdzie jej śladem przez tę biel, przez tłum, przez próg, przez korytarz i dalej.

Podczas pisania tej powieści korzystałam z wielu książek, zwłaszcza z *The Female Malady: Women, Madness and English Culture, 1830-1980* Elaine Showalter (Virago, London 1985) oraz *Sanity, Madness and the Family* R. D. Lainga (Penguin, London 1964) [wyd. polskie: R. D. Laing, A. Esterson, *Zdrowie, szaleństwo i rodzina. Rodziny schizofreników,* Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995].